

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2
im. Hansa Christiana Andersena
w Radomiu

I TY MOŻESZ ZOSTAĆ BAŚNIOPI SARZEM

Prace wybrane
nadesłane na
XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki

RADOM 2021

Organizatorzy konkursu serdecznie dziękują wszystkim, którzy wsparli naszą inicjatywę. Bez ich życzliwości nie byłoby możliwe propagowanie konkursu i nagrodzenie zwycięzców.

Patronat honorowy:

Minister Edukacji Narodowej
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Marszałek Województwa Mazowieckiego
Mazowiecki Kurator Oświaty
Prezydent Miasta Radomia

Patronat medialny:

Gazeta Wyborcza w Radomiu
Radio Plus w Radomiu

Sponsorzy:

DAFI Anna Figarska, Daniel Figarski
FUEGO Monika Kalotka Tatar, Paweł Tatar
Gazeta Wyborcza w Radomiu
Gospodarstwo rolne Jędryszek Mieczysław
Jędryszek Jacek
Korycki Grzegorz
Kuratorium Oświaty w Warszawie Delegatura w Radomiu
METBUD Michał Zięba sp. j.
Radio Plus w Radomiu
Rajkowski Rafał Wicemarszałek Województwa Mazowieckiego

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2
im. Hansa Christiana Andersena
w Radomiu

I TY MOŻESZ ZOSTAĆ BAŚNIOPI SARZEM

Prace wybrane
nadesłane na
XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki

Nagrody i wyróżnienia sfinansowali sponsorzy.

Projekt okładki: Ewa Gut

Wybór tekstów: Monika Figura, Renata Janikowska, Anna Machnio,
Sława Sowa

Korekta: Monika Figura

Redaktor techniczny: Artur Jaroszek

Koordinator: Edyta Jędrzysek, Aneta Wątorska

Konsultacje: Marek Sternalski

Copyright© Radom 2021

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2
im. Hansa Christiana Andersena w Radomiu
ul. Batalionów Chłopskich 16, 26-600 Radom
tel. 48 331 16 53, fax. 48 331 41 35

WWW: <http://www.psp2.radom.pl>
e-mail: sekretariat@psp2.radom.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Spis treści

SPIS TREŚCI	5
WSTĘP	8
BAŚNIE NAGRODZONE	9
O WĘGIELKU, KTÓRY CHCIAŁ BYĆ DIAMENTEM	9
BAŚŃ O GUZIKU, KTÓRY MARZYŁ.....	12
ANIA I PORTRET	14
DZIEWCZYŃKA Z CICHEGO MIASTECZKA	16
MONIUSZKOWSKA BRZOZA	18
KRÓLOWA ŚNIEGU CZ. 2	20
WARSZAWSKIE SZATY CESARZA	29
ODWILŻ	30
TAJEMNICZE HERBATY	33
BAŚNIE INNE	35
BAŚŃ O DWÓCH RYBAKACH	35
BAŚŃ O LISKU OBROŃCY	37
BAŚŃ O MAGU KASZUBIE	38
BAŚŃ O SKĄPYM JÓZKU I DWÓCH WÓRKACH	40
BAŚŃ O STOLEMACH	42
BUCIKI Z NAPISEM	43
COLINECZKA	45
CZARODZIEJSKI KAMIEŃ	47
DAR MORZA	49
DOBRY CZŁOWIEK.....	50
DYS I ELIZA	52
DYWANIK BABCI KATARZYNY	54
DZIEŃ SŁONECZNIKA	55
FRANCIK I TA JEDYNA.....	57

GŁUPIE MYSZĄTKO	59
JAK POSTACI Z BAJKI MALOWAŁY ŚWIAT	61
JAK ZWYKŁY ŚWIAT STAŁ SIĘ NIEZWYKŁYM.....	62
KRÓLEWSKA JABŁOŃ	63
KSIĄŻĘ NA KASZUBACH.....	65
MYSZ KOŚCIELNA	67
NADODRZAŃSKA BASZTA	69
NIEOCZEKIWANA PRZYGODA.....	71
NIEZWYKŁY SEN	73
OGIEŃ	75
O NADZIEI, KTÓRA MOŻE POJAWIĆ SIĘ ZNIKĄD	77
O ZUZANCE.....	79
PTASZYNA Z ZIELONEJ DOLINY	81
RZĘKA PASŁĘKA – GRANICA ŚWIATÓW	83
SEN O STOKROTCE	85
SIŁA WYOBRAŹNI	87
UKRYTE PIĘKNO	89
WIGILIJNE CUDA	91
WODY NIOSĄCE ŚPIEW	93
ZACZAROWANE LUBSKIE PLATANY	95
ZAPOMNIENIE	97
UCZESTNICY XIV OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO.....	99

Drogi Czytelniku,

masz przed sobą cyfrowe wydanie XIV pokonkursowego tomiku baśni. Niestety, już drugi raz pandemia nie pozwoliła na podsumowanie Ogólnopolskiego Konkursu „I ty możesz zostać baśniopisarzem” realnym udziałem zwycięzców i społeczności Publicznej Szkoły Podstawowej nr 2 im. Hansa Christiana Andersena w Radomiu. Zachęcam Was do spotkania ze zdobywczynią Grand Prix i tytułu Odkrywcy Krainy Baśni Zuzanną Ordon (26 min. nagrania z uroczystości). Kolejny raz wspaniali młodzi baśniopisarze wykazali się wyobraźnią, znajomością swojego regionu i kunsztem literackim. Gratuluję wszystkim nagrodzonym, a także biorącym udział w Konkursie. Gratuluję ich Rodzicom i Nauczycielom. Dziękuję za odkrywanie ich talentów. Jestem przekonany, że udział w naszym Konkursie przyczyni się do ich rozwoju.

„... gdy człowiek sam nie da rady, prawdziwi przyjaciele przyjdą mu z pomocą” - *Zamieszanie w krainie baśni* Zuzanna Cholewa. Kolejny raz Pani Monika Figura i Jej przyjaciele wzorowo poradzili sobie z XIV edycją Konkursu. Serdecznie dziękuję Jury za owocną pracę i nauczycielom szkoły: Renacie Janikowskiej, Sławie Sowie - Dąbkowskiej, Annie Machnio, Edycie Jędryszek, Anecie Wątorskiej i Arturowi Jaroszkowi. Serdecznie dziękuję wszystkim Sponsorom, bez których nie byłoby wspaniałych nagród.

Marek Sternalski

Wstęp

XIV raz mieliśmy przyjemność zebrać w tomik wybrane prace spośród nadesłanych na Ogólnopolski Konkurs Literacki *I ty możesz zostać baśniopisarzem*, którego pomysłodawcą jest Dyrektor Publicznej Szkoły Podstawowej nr 2 im. Hansa Christiana Andersena w Radomiu: Marek Sternalski. Patronat honorowy sprawowali: Minister Edukacji Narodowej, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałek Województwa Mazowieckiego, Mazowiecki Kurator Oświaty, Prezydent Miasta Radomia. Nasi wieloletni patroni medialni to Gazeta Wyborcza i Radio Plus w Radomiu.

W pracach jury konkursowego uczestniczyli: starszy wizytator Mazowieckiego Kuratorium Oświaty w Warszawie Delegatura w Radomiu: Grażyna Syta, redaktorka naczelna Gazety Wyborczej w Radomiu: Katarzyna Ludwińska, dziennikarka z Radia Plus Radom: Elżbieta Warchoł oraz nauczycielki języka polskiego: Monika Figura, Renata Janikowska, Anna Machnio i Sława Sowa - Dąbkowska.

W tegorocznej edycji konkursu wzięło udział 169 uczniów szkoły podstawowej ze wszystkich województw. Autorzy baśni i wierszy najchętniej czerpali pomysły z: *Brzydkiego kaczątka*, *Calineczki*, *Dzielnego ołowianego żołnierzyka*, *Dziewczynki z zapałkami*, *Królowej śniegu*, *Księżniczki na ziarnku grochu*, *Nowych szat cesarza*. Uczestnicy przenieśli swoich bohaterów w miejsca im znane, a my zobaczyliśmy ich oczami piękne rzeki, jeziora, spacerowaliśmy ulicami wiosek, miast, podziwiając zamki, pałace, ogrody. Wyobrażaliśmy sobie barwne, ludowe stroje. Przywołanie smakowitych potraw zachęcało do prób kulinarnych. Opowieści nawiązywały do obrzędów wigilijnych, karnawałowych i wielkanocnych, do historii o zbójnikach, demonach.

Z treści prac wynika, że w życiu należy mówić prawdę, choć nie jest łatwo, nie warto oceniać innych po pozorach, nie powinno się tracić nadziei, martwić się na zapas. Warto natomiast doceniać zwykłą codzienność, cieszyć się drobnostkami, szczęściem rodzinnym, czasem spędzonym w gronie przyjaciół. Wyłania się też przesłanie, że na zmianę postępowania nigdy nie jest za późno, gdy się tego pragnie. Ciekawa narracja i wyraziste postacie sprawiają, że z przyjemnością poznaje się opisane historie.

Marysia Łobodzińska napisała: „Warto czytać książki, a wtedy wyobraźnia człowieka nie będzie znała granic”. To cenna myśl.

Zespół redakcyjny

Baśnie nagrodzone

Zuzanna Ordon

*Praca zdobyła Grand Prix konkursu,
a jej autorka tytuł Odkrywczy Krainy Baśni.*

O węgielku, który chciał być diamentem

Działo się to nie tak dawno temu, w grudniu. Ach, jaka pyszna była wtedy zima, jak cudownie skrzył się świeży śnieg w promieniach słońca! A napadło go tyle, że pozakrywało okienka do piwniczek. Dzieci od samego ranka zjeżdżały na saneczkach i nartach z pobliskiej górki. A, niech tylko wóz z węglem podjechał, od razu doczepiały saneczki lub łapały za burty fury i fiu...

Tak było na ziemi, a wiele, wiele metrów pod jej powierzchnią, na jednej ze śląskich kopalń, w bardzo ciemnym korytarzu, żył sobie mały węgielku, który miał na imię Zeflik. Strasznie narzekał on na swój los. Nie podobało mu się to, że jest czarny jak smoła, a to utyskiwał, że mieszka w ciasnocie, że słońca nie widzi. I tak w koło. Wolałby być piękny i błyszczący jak jego daleki kuzyn - diament, o którym to swego czasu opowiadała stara sąsiadka.

Pewnego dnia marudzenie węgielka usłyszał Karlik, młody górnik, który urabiał węgiel w ścianie. Akurat zrobił sobie przerwę i sięgnął po jedzenie.

- Witej bajtliku, skuli czego tak urzykosz? Ciynżkõ robić, kej czowiek słyszy ciyngiym takie utyskiwano¹ - rzekł Karlik z przekąsem.

- Jo jest Zeflik, a urzykom, bo... żech jest oszpetny i czõrny. Chciołbych blyndować kej dyjamynt i chciołbych zdobić chyrc szwarych freł² - odparł Zeflik.

- Jee! Zefliku, trza ci wiedzieć, co wõngel je barzij przidajny ludziom niż dyjamynty³- powiedział górnik i uważnie spojrział w oczy małemu kamykowi.

Po chwili dodał:

- Poć sy mnõm, to pokoża ci, co jo miynia⁴.

Karlik wsadził bryłkę węgla do kieszeni i tak oto Zeflik wyjechał szybem po raz pierwszy w życiu na świat.

¹ Witaj maluchu, czemu tak ciągle narzekasz? Ciężko pracować, jak człowiek słyszy takie utyskiwania.

² Jestem Zeflik, a marudzę, bo... jestem brzydki i czarny. Chciałbym lśnić jak diament i ozdabiać szyje pięknych dam.

³ Och Zefliku, musisz wiedzieć, że węgiel jest znacznie bardziej potrzebny ludziom niż diamenty.

⁴ Chodź ze mną, a pokażę ci, co mam na myśli.

Mężczyzna przyprowadził Zeflika do swojego domu, nieopodal progu którego leżała niewielka kupka węgla. Mały węgielek nie mógł się nadziwić, był pewien, że w środku dostrzeże wreszcie diamenty.

Po wejściu przyglądał się skromnym meblom w dwóch izdebkach, sprzętom kuchennym, bielącym się w oknach firankom, świętym wymalowanym na obrazach.

Wtem z kuchni wyszła Erika, żona górnika i poprosiła męża na kolację. Kiedy Karlik zjadał smakowity żur, Zeflik obserwował przez szpary w piecyku, jak ogień wesoło skacze po węglu.

- Czamu u wõs niy madyjamyntow?⁵

Erika, która zagniała ciasto na kołacz, parsknęła śmiechem i machnęła szmatką, wzniecając przy tym w gorącą chmurkę z białej mąki. Biedny Karlik zachłysnął się zupą.

- Zefliku, dyjamynty som wiela wert, nie koźdego stykać na nie. Wõngel je przidajny koźdymu, dõwo ciepłõść, poradzi õgrzywać i idzie uwarzyć jõdło⁶ - powiedział poważanie młody górnik, tuląc swoją żonkę. - I jo chca ci dzisiõj to wytuplikować. Tyś je o wiela zõcniejszy dlo ludkow aniżeli dyjamynty i sztyjc przidajny!⁷

Mały kamyczek zmrużył świecące oczka, gdy wtem do kuchni wpadł pięcioletni malec. Jasna czuprynka opadała mu na wesołe czoło. Chłopiec podbiegł do taty, grzecznie się z nim przywitał, a potem pokazał mu nowe rysunki.

- Òbõczcie tatulku, namalowołzech, jak ty i uja fedrujecie wõngel, a świynto Barbõrka dõwo na wõs pozõr. A tukej⁸ - chłopiec wyciągnął kolejną kartkę - òbõcz, idzie ku wõm som Skarbek.⁹

Zeflik przyglądał się czarnym obrazkom dziecka, które przypominały mu tak bardzo jego ciemny korytarzyk w kopalni. Ach, jak w jednej chwili bardzo zatęsknił za domem.

- Zeflik, dej pozõr, moj synek namalowoł te õbrõzki wõnglym¹⁰ - powiedział po chwili Karlik.

A Zeflik nie wiedział, co dodać.

Erika podeszła do synka, pogłaskała go po głowie i pochwaliła za ładne prace, po czym zwróciła się małego węgielka.

⁵ Dlaczego u was nie ma diamentów?

⁶ Zefliku, diamenty są bardzo drogie, mogą sobie na niego pozwolić nieliczni ludzie. Węgiel jest potrzebny wszystkim, daje nam ciepło, możemy się dzięki niemu ogrzać i ugotować strawę.

⁷ I to właśnie staram się dziś ci wytłumaczyć. Jesteś o wiele cenniejszy dla ludzi niż diamenty i zdecydowanie bardziej potrzebny.

⁸ Zobacz, tato, namalowałam, jak ty i wujek kopiecie węgiel w ścianie. Czuwa nad wami święta Barbara. A tu...

⁹ ...zobacz, sam Skarbnik idzie do was.

¹⁰ Popatrz uważnie, Zefliku, mój synek narysował te obrazki węglem.

- Dej pozõr Zeflik, to prõwda, dyjamynt je paradny, dyć ino mõjidło. Wõngel õgrzywio i sprõwio, iże robi sie ciepłość we sercu. Kõzdy kõnsek wõngla, kery tu widzisz, to cijnżko robota mojego ślubnego i inkszych grubiorzy.¹¹

*Bodej jõ to już han kejsi słyszot*¹²... - pomysłał Zeflik i przypomniał sobie całą opowieść starej sąsiadki. „Wõngel to czõrne serce. Serce gruby. Òna dõwo ludziom to, co mo nojzõcnijsze. Blyszczõnce õgniyem wõngle - to szczodrõk żywota”.¹³

- Põdż bajtlik, czas wrõcać do dõm¹⁴ - powiedział Karlik do Zeflika, biorąc go do ręki.

- Wielce wom dziynkujã kamracie i proszã, nie chowejcie mie do kabzy, chca spoziyrać na świõt¹⁵ - rzekł węgielek.

Młody górnik przywdział kapotę, opatulił się szalikiem i wszedł na wieczorny mróz. W świetle gazowych latarni ośnieżone uliczki wyglądały magicznie.

Gdy doszli na niewielki rynek, dostrzegli grupkę ludzi, grzejących się przy małych koszach, w których żarzyły się pięknie bryłki węgla. Zeflik zeskoczył z dłoni Karlika wprost do piecyka.

- Dziynkujã wõm za wszystko!¹⁶ - powiedział Zeflik. - Napytej synka, coby i mie namalowo!¹⁷ - dodał, gdy w płomieniach ognia lśnił niczym najpiękniejszy diament.

Wykorzystano: *Słownik Gõrnoślonskij godki*, Bogdan Kallus, Pro Loquela Silesiana, Chorzów 2015.

¹¹ Słuchaj, Zefliku, diamenty są piękne, to prawda, ale mogą stanowić tylko zewnętrzną ozdobę. Węgiel zaś ogrzewa ludzi i sprawia, że ciepło im robi się w sercu. Każda bryłka, którą tu widzisz, to ciężka praca mojego męża i innych górników.

¹² Chyba już to kiedyś słyszałem.

¹³ Węgiel to czarne serce. Serce kopalni. Ona daje ludziom, to co ma najcenniejsze. Lśniące ogniem węgle to dar życia.

¹⁴ Chodź, maluchu, pora wracać do domu.

¹⁵ Dziękuję ci bardzo, przyjacielu. Mam prośbę jednak, nie chowaj mnie do kieszeni, chcę popatrzeć na świat.

¹⁶ Dziękuję wam za wszystko.

¹⁷ Poproś synka, aby mnie też namalował.

Baśń o guziku, który marzył

Był sobie guzik. Taki zwykły, niczym niewyróżniający się guzik. Ludzie uwielbiają wszystko udziwniać, więc wytwarzają guziki złote, pozłacane, bogato zdobione, pełne wymyślnych ornamentów. Ale ten guzik był całkiem zwyczajny, ot co. Wykonano go z drewna mahoniowego w zakładzie guzikarskim na przedmieściach Warszawy, wydrążono cztery dziurki i wypolerowano. Różnił się od innych jedynie niedoskonałością: jedna z jego dziurek była umiejscowiona asymetrycznie, a na kawałku drewna, z którego został wykonany, widniało kilka przebarwień. Początkowo uznano to za błąd rzemieślnika, jednak mimo wszystko został przeznaczony do sprzedaży. Och, jakaż to była radość, gdy dowiedział się, że nie spędzi reszty życia na śmietniku, tylko zobaczy piękny świat!

Włożono go do pudełeczka z tysiącem innych guzików i posłano w świat, a właściwie do zakładu mistrza krawieckiego. W ciemności i ciszy, mąconej jedynie postukiwaniem kół dorożki, guzik nie widział wiele, ale już sama podróż dryndą - bo tak w potocznie nazywano dorożki w dawnej Warszawie - była nie lada przeżyciem. Właściciele dorożek zwano dryndziarzami. Dryndy nazywano także „sztajnkellerami”, od nazwiska właściciela fabryki powozów na warszawskim Solcu, albo „taksówkami na owies” ze względu na ulubione pożywienie koni. Trzeba Wam wiedzieć, że przed wojną dorożka była najpopularniejszym środkiem indywidualnego transportu.

Klucząc po zaspanych uliczkach stolicy dorożka dotarła do starej kamienicy na Starym Mieście. Guzik obawiał się, że nowy właściciel natychmiast się go pozbędzie, a tu spotkała go miła niespodzianka. Jako jeden z pierwszych guzików ze swojego pudełka został przyszyty do męskiej koszuli, tuż przy kołnierzyku! Ludziom może się to wydawać banalne, ale dla guzika to wielkie wyróżnienie, gdy jest przyszyty wysoko. Różnił się odrobinę od innych guzików na śnieżnobiałej koszuli, ale właściciel nie dbał o to.

W taki to na wskroś zwyczajny sposób rozpoczęła się przygoda guzika z poznawaniem świata. Bardzo szybko przekonał się, że ten świat nie jest taki ciekawy, jak sobie wyobrażał. Każdy tydzień wyglądał tak samo: w poniedziałek koszulę, do której był przyszyty, zdejmowano z wieszaka na pranie i przez dwa dni składano w ciemnościach na dnie szafy. W środę była stamtąd wyjmowana, właściciel ją zakładał i wychodził do pracy. Dom, dorożka, ulica, praca z przerwą na posiłek, później znowu praca, ulica, dom. Po powrocie koszula wracała do kosza na brudną bieliznę, gdzie leżała w ciemności do soboty, kiedy robiono pranie - godzina mąk piekielnych wśród szczypiących fal szarego mydła, żeby ponownie trafić do miski, a stąd na suszarkę. Życie guzika umiłał tylko stary zegar z kurantem, należący do właściciela koszuli i gipsowe sztukaterie, które zdobiły sufit mieszkania. Możecie się więc domyśleć, że nie było to życie, o jakim marzył guzik. Pragnął wyrwać się z rutyny i stać się kimś więcej, choć w skrytości serca wiedział, że to prawie niemożliwe. Był w końcu tylko małym, niedoskonałym guzikiem, a co taki guzik może zrobić, by zmienić swój los i uczynić życie mniej monotonnym?

Jak to czasem bywa, życie płata figle, a guziki się urywają. Tak było i tym razem. Ku uciesze guzika (a prawdopodobnie rozpaczy właściciela), pewnego pochmurnego dnia nitka, która trzymała guzik przy koszuli, została przerwana i guzik odpruł się od koszuli, spadając prosto na zabłocony staromiejski chodnik, tuż przy krawężniku. Nie posiadał się z radości - w końcu miał szansę zobaczyć prawdziwy kawałek świata! Nie mógł jednak się ruszyć z miejsca, guziki nie mają przecież takich zdolności. I kiedy już prawie stracił nadzieję, po całym dniu wpatrywania się w niebo, został w końcu podniesiony. Ktoś przypatrywał mu się i mówił do siebie: „Co się stało, że odpadł? Przecież był dobrze przymocowany!” Był to właściciel sklepu pasmanteryjnego przy ul. Piwnej 26 na Starym Mieście.

I tak nieoczekiwanie nasz guzik znalazł się na jednym ze słynnych warszawskich szyldów. Co więcej, nie był sam, ale w towarzystwie igły i agrałki, wpisanych w okazały okrąg z metaloplastyki, ozdobiony przepyszną dekoracją w postaci falbanki. Był to szyld semaforowy, zawieszony prostopadłe do ściany budynku. W dawnej Warszawie szyldy były prawdziwymi dziełami sztuki zdobniczej. Widniały na fasadach wielu kamienic i stanowiły tradycyjny element ulic handlowych. Szyldy semaforowe informowały o funkcjach lokali, nad którymi się znajdowały, tak jak nasz guzik, który dumnie wypinał pierś, informując o sklepie pasmanteryjnym swojego właściciela.

Mijały kolejne dni. Guzik rozglądał się z wysoka i widział wiele. Początkowo napawał się swoim szczęściem, ale gdy przyszedł deszcz i sypał śnieg, było mu zimno i coraz bardziej smutno. Dość miał już przygód, gwaru ulicy, tęsknił za właścicielem koszuli i ciepłym domem.

- Proszę, pomóżcie mi! - zawołał pewnego dnia do gołębi, które siedziały na parapecie szaro-niebieskiej kamienicy, niedaleko szyldu. Jeden z gołębi skinął łebkiem i usiadł na szyldzie. Począł dziobać guzik, by sprawić, że odzepi się od szyldu. Po dłuższej chwili cel został osiągnięty i guzik spadł, wprost do jednej z przejeżdżającej dorożek. Pozostał tam długie tygodnie. Znow był deptany, było mu tak samo zimno, jak kiedyś na chodniku i na szyldzie, W taki właśnie sposób trwał, czekając na szczęśliwe zakończenie swojej podróży.

Zima zbliżała się ku końcowi i przedwiośnie radośnie nastrajało świat na najpiękniejszą porę roku: wiosnę. Guzikowi nie udzielała się ta radosna atmosfera, przeciwnie, był przygnębiony tak bardzo, jak tylko przygnębiony może być guzik. Leżał pod stopami kolejnych pasażerów i smutno patrzył w niebo. Kiedy nagle został podniesiony i schowany do ciepłej kieszeni nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Znow był w mieszkaniu właściciela śnieżnobiałej koszuli, gdzie zegar z kurantem wygrywał znajomą melodię. Ogarnęła go niezmierna radość. Przygody i podróże są wspaniałe, pozwoliły mu zobaczyć kawałeczek innego świata, jednak nigdzie nie było mu tak dobrze, jak tu, w domu. Nareszcie wrócił tam, gdzie było jego miejsce.

Ania i portret

W mieście historycznych pamiątek po najwybitniejszych władcach Polski, mieście przepojonym sztuką i literaturą, mieście, gdzie Wisła, królowa polskich rzek, łśni u stóp Zamku Wawelskiego mieszkała zwyczajna rodzina. Była tak typowa, niczym nieróżniąca się, że nikt na nią nie zwracał uwagi. Jednak jej upodobania mogły zadziwiać - niedzielne popołudnia spędzała na Rynku miasta, wśród roślin i pomników zdobiących Planty, karmiła gołębie przed Sukiennicami, jadła kremówki na tarasie Muzeum Narodowego, słuchając hejnału mariackiego granego z wyższej wieży kościoła. Jednak świat zainteresowań najmłodszej przedstawicielki rodziny zaczął się poszerzać.

Pewnego dnia mała Ania poszła na przedszkolną wycieczkę do Muzeum Książąt Czartoryskich. To jedno z najstarszych muzeów w Polsce, składa się z trzech budynków: Pałacu Czartoryskich, Klasztoru i Arsenalu Miejskiego. W tych przepięknych salach eksponuje się malarstwo europejskie z XIII i XVIII wieku, grafikę, sztukę starożytną, zabytki kultury greckiej, egipskiej. Jak powiedział przewodnik, historia miejsca zaczyna się w 1876 roku, gdy to książę Władysław Czartoryski przeniósł zbiory wraz z księgozbiorem z Puław do Krakowa. Wiele lat trwała organizacja przestrzeni muzealnej. W czasie drugiej wojny światowej naziści wykradli z muzeum kilkaset dzieł sztuki i eksponatów, większość z nich przepadła bezpowrotnie.

Czarnookiej Ani najbardziej przypadła do gustu galeria malarstwa europejskiego. Może dlatego, że sama pięknie rysowała, a obrazy do niej najbardziej przemawiały. Chodziła od płótna do płótna i zachwycała się wspaniałym kunsztem mistrzów pędzla. A była tam *Dama z gronostajem*, *Zwiastowanie*, *Portret dworzanina*, *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* i wiele, wiele innych. Nie mogła oderwać od tych malowideł wzroku. Im dalej szła, tym bardziej delectowała się i zatracala w gamie tęczyowych odcieni namalowanych arcydzieł. Nagle stanęła i jej oczom ukazał się przepiękny widok. Był to *Portret chłopca w polskim stroju* Caspara Netschera. Urzekły ją oczy tego chłopca, zamiast bijącego z nich blasku, widziała w nich olbrzymi smutek i rozpacz. Młodzian był ubrany w niebieską pelerynę, kapelusz i długi kontusz. Niestety, nim zdążyła się zastanowić, z transu wybudził ją głos pani wychowawczynie, która wołała wszystkie dzieci, by wracały do przedszkola. Oddalając się od Muzeum Czartoryskich, rozmyślała o przygnębionym chłopcu, jego rodzinie, ich stylowi życia. Refleksji tej towarzyszyły dźwięki hejnału mariackiego.

Minęło kilka dni, ale Ania nie mogła uwolnić się od myśli o nieznanym. Poprosiła rodziców, aby jeszcze raz mogła udać się do muzeum. Mimo zdziwienia i pytań zgodzili się. Kiedy znów zobaczyła kilkuletniego szlachcica, usłyszała cichutki szept: „Pomóż mi, pomóż mi”. Zdziwiona zaczęła się rozglądać, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Odwróciła głowę do obrazu i poczuła, jak ktoś łapie ją za ramiona i wciąga w nieznaną. Nim zdążyła krzyknąć, znalazła się w obcym miejscu. Była ciemna noc, wiał zimny wiatr a gdzieś w oddali słychać było wycie wilków. Bardzo się

przestraszyła, zdrząła w obawie o swoje życie, jednak niespodziewanie ktoś wyszeptał delikatnie do jej ucha:

- Nie bój się, nic ci nie grozi.

Uniosła wzrok i zobaczyła chłopca o blond włosach.

- To ty mnie wołałeś? Jak się tutaj znalazłam? - pytała zadziwiona dziewczynka.

- Uspokój się i usiądź! Powiem ci wszystko od początku - spokojnym głosem odrzekł młodzieniec.

- Moja mama jest bardzo chora, lekarze nie znają lekarstw na jej chorobę, dlatego szukam pomocy, a tylko ty zwróciłaś uwagę na mój zmartwiony wyraz twarzy. Wszyscy koło mnie przechodzą obojętnie.

- To może zawołam swoich rodziców, oni mogą ci pomóc, ja jestem jeszcze za mała - zaproponowała.

- Nie, nie, tylko ty, dziewczynka z innej epoki, możesz mi pomóc! - głośno wzburzył się rozmówca. - Jestem szlachcicem i zapłacę każdą cenę, aby tylko dostać lekarstwo.

- W plecaku mam syrop i lekarstwo na gorączkę i przeziębienie. Ostatnio byłam chora i mama wykupiła w aptece receptę przepisaną przez lekarza. Mogę ci to dać, myślę, że pomoże?

- Bardzo ci dziękuję. Nie mogę wchodzić do komnaty mojej mamy, bo wszyscy mówią, że to choroba zaraźliwa, ale przekażę tacie, który zakłada specjalny strój chroniący przed morowym powietrzem. On zaaplikuje to mamie. Jak przyjdiesz następną razą do muzeum, spotkasz mnie, to rozpoznasz po moich oczach, czy mama wyzdrowiała.

Gdy chłopiec wypowiedział te słowa, sześciolatka znalazła się w sali wystawowej obok swoich rodziców. Wrócili do domu, a dziewczynka, pełna nadziei, nie mogła doczekać się następnej wizyty w Muzeum Czartoryskich. Po miesiącu znowu znalazła się w galerii obrazów. Szybko pobiegła do ulubionego dzieła, a tam ku wielkiej swej radości zobaczyła, że chłopiec nie tylko miał promienne oczy, ale też leciutko się do niej uśmiechał. Była z siebie dumna, że przypomniała sobie o tych lekarstwach przepisanych przez doktora i mogła pomóc. W domu mama, zabierając rzeczy do prania, znalazła w kieszeni miniaturę obrazu *Portret chłopca w stroju polskim* i dziwne stare monety. Kiedy zapytała córkę o to znalezisko, usłyszała niezwykłą historię, ale i tak nie uwierzyła w spotkanie z postacią z obrazu. Pochwaliła jednak córkę za dobre serce i wrażliwość na krzywdę innych.

Nie wiadomo, co nas spotka w życiu, więc warto pomagać innym. Uśmiech czy rozmowa nie kosztuje nas nic, a drugiemu człowiekowi daje nadzieję i wiarę w lepsze jutro. Bądźmy otwarci, pamiętając, że dawanie sprawia więcej satysfakcji niż branie.

Dziewczynka z cichego miasteczka

Na wschodzie Polski leży małe miasteczko Chełm. Centrum stanowi widoczna z daleka Chełmska Górka z Bazyliką i jej wieżami.

Tutaj zawsze ludzie żyli wolniej i spokojniej, korzystając ze skarbów otaczających miasto lasów, zasobów małej rzeki Uherki, jak również trudząc się drobnym rzemiosłem albo handlem.

Ale niech nie zwiedzie nikogo sielski klimat panujący w okolicy. Jak to zwykle bywa, nie wszyscy żyli tam w dostatku i dobrobycie.

Taki los spotkał też małą dziewczynkę Zosię, która mieszkała ze swoimi rodzicami i rodzeństwem w małym, wynajmowanym mieszkaniu przy ul. Lubelskiej.

Choć kamienica była okazała, rodziców Zosi było stać tylko na czynsz za najmniejsze z mieszkań znajdujące się tuż przy piwnicy.

Zosia tęsknie patrzyła w stronę bogatych balkonów, wielkich okien z pięknymi firanami i pelargoniami. Jednak rozumiała sytuację swojej rodziny. Choroba mamy bardzo nadwyrężyła ich już i tak skromny budżet. Pracował tylko tata. W swoim małym kiosku sprzedawał wyszywanki mamy oraz wytworzone przez siebie drewniane zabawki i powstałe z resztek drewna zapałki. Rodzina żyła skromnie, ale w zgodzie. Mimo niedostatku dziewczynka była szczęśliwa. Pomagała, jak tylko mogła. Bardzo często pakowała część rzeczy ze sklepu taty i spacerując po mieście, sprzedawała.

Nastaly jednak gorsze czasy, bo przyszło to, czego wszyscy się najbardziej obawiali. Matka zmarła. Teraz to Zosia, jako najstarsza z dzieci, sprawowała opiekę nad rodzeństwem. Tato pracował dużo dłużej, by zapewnić rodzinie byt, chociaż i tak zarobione pieniądze wystarczały ledwo na czynsz. Jedyнным posiłkiem, na który było ich w tej chwili stać były kanapki z dżemem, przygotowanym jeszcze przez mamę.

Pewnego dnia Zosia poszła do piwnicy po słoik dżemu. Zauważyła, że to już ostatni. Z jej oczu popłynęły łzy. Zrozpaczona usiadła przy szafce, szlochając. Poczula, że plecami lekko przesunęła mebel. Jej oczom ukazały się stare drzwi. Otworzyła je, myśląc, że za nimi znajduje się druga część piwnicy. Było ciemno, jednak wyczuła strome schody. Po zejściu przypomniała sobie o paczce zapałek, które miała w kieszeni. Oświecając drogę małym płomykiem, szukała jedzenia. Pomimo tego, że bała się, co może ją tam spotkać, chęć pomocy rodzinie pchała ją do przodu. Zosia chodziła ciemnymi, wilgotnymi korytarzami, co jakiś czas zapalając kolejną zapałkę. W pewnym momencie malutkie światło, jakie dawała zapałka, zgasło. Dziewczynka bez wahania sięgnęła po kolejną, nie wiedząc jeszcze, że to była już ostatnia. Kiedy to zrozumiała, bardzo się przestraszyła. Szukała nerwowo drogi do domu, co chwila powtarzając sobie, że schody będą tuż za rogiem. Jednak tylko błędziła... Wyczerpana, myślała już tylko o tym, żeby się położyć i zasnąć. Bezsilna, zmęczona płaczem i ciągłym chodzeniem usiadła na zimnej podłodze. Sama nie wiedziała, kiedy zasnęła. Po pewnym czasie obudził ją blask. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała świetlistą sylwetkę.

- Kim jesteś? - zapytała pomimo lęku.

- Jestem duchem z podziemi kredowych - odpowiedziała postać.
- Duchem? - wyjąkała przestraszona.
- Tak, ale z natury jestem dobry, więc nie zrobię ci krzywdy. Nazywam się Bieluch.
- A ty? - kontynuował swoim niskim, ale przyjemnym i miłym głosem.
- Jestem Zosia - odezwała się cicho, dalej nie dowierzając temu, co się stało.
- A więc, co cię do mnie sprowadza, Zosiu? - spytał.
- Myślałam, że za drzwiami jest druga część piwnicy. Zgubiłam się, szukając jedzenia - szlochając, opowiedziała mu swoją całą historię.

Duch odwdzieczył się tym samym.

- Kiedyś byłem niedźwiedziem i mieszkałem niedaleko - na wzgórzu, pod trzema dębami. Zawsze pomagałem mieszkańcom, gdy byli w niebezpieczeństwie. Pewnego dnia chełmianie wybudowali świątynię i zapalili święty znicz. Oślepiiony ogniem zapadłem się pod ziemię. Jednak kiedy świątynia została zaatakowana, pojawiłem się w ostatniej chwili i rozgromiłem najeźdźców. Mieszkam tu bardzo długo, podziemia znam jak własną kieszeń. Jest tu wiele korytarzy, które ciągną się pod całym miastem. To nic dziwnego, że się zgubiłaś. Mogę zaprowadzić cię do domu - odparł.

- Jestem ci wdzięczna, ale bardzo chce mi się pić.

Krętymi korytarzami niedźwiedź zaprowadził Zosię do starej studni. Kiedy dziewczynka ugasiła pragnienie, pokazał jej jeszcze jedno miejsce. Była to Komnata Życzeń.

- Spełnię jedno twoje życzenie, jeśli wypowiesz je w ciemności, z ręką położoną na kredowej ścianie - powiedział duch.

- Niestety to, o czym marzę, jest niemożliwe do spełnienia. Moja mama już nie wróci. Pragnę, aby nasza rodzina znowu mogła żyć w spokoju, a tata nie martwił się codziennie o rachunki.

- Dobrze. Oto szkatułka ze złotem. Twój ojciec będzie mógł spłacić wszystkie długi, nie będzie musiał się już przepracowywać i będzie was stać na życie pod dostatkiem. Jeśli szkatułka się opróżni, wystarczy szczerza prośba, a ponownie się napełni. Ale pamiętaj, tylko wtedy, gdy prośby popłyną z czystego serca. Zły człowiek w szkatułce znajdzie tylko kawałki kredy.

Po chwili Zosia znalazła się w swojej piwnicy. Była tak oszołomiona, że nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło. Jednak w dłoniach nadal trzymała ciężką szkatułkę. Nie, to nie był sen.! Wróciła do swojego mieszkania i opowiedziała wszystko zdumionemu ojcu i rodzeństwu, a duch Bieluch dotrzymał obietnicy. Życie rodziny powoli wracało do normalności.

Ta historia, nie została zapomniana, ponieważ tato Zosi postanowił opowiedzieć ją swoim znajomym, a ci przekazywali ją z pokolenia na pokolenie.

Teraz zwiedzanie chełmskich podziemi kredowych jest atrakcją turystyczną i czasami pojawia się w nich biały duch. Podobno można go spotkać w jednej z kredowych komór. Jest łagodny i dobry dla ludzi, ale nie znosi intruzów i śmiałków chcących odnaleźć ukryty skarb. Wówczas krzyżuje im plany i przez długie godziny szukają drogi wśród podziemnych korytarzy.

Moniuszkowska brzoza

Jedna jest tylko kraina taka, w której w odwiecznym szczęściu łask wrodzonych, w której wśród grozy i postrachów rzuconych pospiesznie w stronę zagubionych, a z czasem nawet zapomnianych mieszkańców tamtejszych lasów, można ujrzeć dwa odmienne, a jakże dobrze znane podejścia do życia. Bo w terenach pięknych, których granic ludzki wzrok za życia nie dojrzy, które się zwą Dolnym Śląskiem i z tej nazwy dumnie cieszą się szacunkiem, spotkać można tak przedziwną i różnorodną przyrodę, którą owe są obdarzone. Albowiem każdy przybysz powiada, że nie jest mu dane takim pięknem oczy sycić. I chociaż z miłością patrzy się na te lasy, tam rozrośnięte, to któż zbadał ich przepasane obszary, któż poznał życia i problemy tamtejszych obywateli, któż tu szczerze może przyznać, iż był w jądrze tej zielonej gęstwiny? A mieszka tam wśród ogromu jodeł, sosen i świerków, w lesie rozmiarów drobniejszych od otaczających go dostojnych swym gabarytem lasów mieszanych, czy tych wiosennych bukowych, w których tak wielu się kocha, chudziutka brzoza samosiejka, która sama nie wie co, tam robi.

Pewnego letniego wieczoru rozmawiała z jednym z setki swych prześlicznych dzieci:

- Któregoś dnia, mój drogi, gdy chłody na nasze słoneczne, radosne ziemie przybędą, wietrzysko wstrętne, okrutne nas rozdzieli, porozwiewa mi moje dzieci po świecie, a mnie w jesienne rzuci słoty. - Powiedziała z łzami w oczach, które w blasku zachodzącego słońca były, jak paląca się świeca w ciemnościach.

- Nie bój się, matulko, my jesteśmy dzielne listki i nie damy się wiatrowi! A jeżeliby nas okrutnik pożarł, my twe dzieciątka silne i nie straszne dla nas obce strony. - Powiedział złociutki listek, próbując pocieszyć matkę, choć dobrze wiedział, że nie ma takiego, który by był gotów rozstać się z najbliższą, i jakże bardzo kochaną osobą, który by mógł pogodzić się z losem przymusowej tułaczki z dala od rodzinnych stron.

Czas upływał nieubłagalnie szybko, jakby na złość biednej brzozie. Nastawała jesień, już żaden listek nie miał wątpliwości, iż nie ma odwrotu. Każdego ranka czym większy chłód, nie pozwalał im zapomnieć o smutnym rozkazy przeznaczenia. W końcu nad rodziną zapanowała rozpacz, a dzieci pogrążone w płaczu przybrały szafranowe barwy. Nie dziwiło to zatroskaną matkę, gdyż w letnich rozmowach z promykami słońca nie raz słyszała: „Jesienią czerwonymi łzami się przyodziejiesz”. I tak jak chorym, nieszczęśliwym, stęsknionym czy pogrążonym w czarnej żałobie istotom rozpaczliwym, często się wydaje, że mękę, jaką jest ich codzienność, lepiej skrócić jest śmiercią, tak niejednemu listkowi przybycie okrutnego wietrzyska miałyby być tą ulgą. Jednakże w głębi wiedzieli, iż nie ma w tym rozumowaniu ani żdźbła prawdy.

Nadeszła chwila kresu dla bezbronnych młodych istotek. Ach, jaki to był przeraźliwy moment. Któż widział, taki bezlitosny, bestialski, bezwzględny i niemiłosierny żywiol, który mógłby uczynić coś równie niegodziwego. A przecież w dni letnie, wiosenne, gdy rozbrzmiewał w pobliżu niewinny, bezbronny śmiech malutkich listków, dało się widzieć ogromną przyjaźń między ową rodziną i miłutkim wiatkiem, który ich roznosił do tańca i wspólnego szumiącego śpiewu unisono. Jednak wiatr pod wpływem zimna nabierał surowości i równie szybko zapominał, jak to było razem z brzozą tańczyć walca.

Od tragicznego zdarzenia minęło kilka elegijnych dni, aż promykowi słońca udało się zawitać do brzozy.

- Witaj, moja chmurna jak noc brzozo, moje kondolencje.

- Witaj, najsympatyczniejszy z sympatycznych, cały las o mnie mówi i śmieją się ze mnie jodły, świerki i sosny, żem zła matka, nietroskliwa i słaba, bo mych biednych dzieci nie zdołałam uchronić i przy mnie utrzymać. Czyż one nie mają racji? Ich dzieci dzielne wciąż są przy nich - powiedziała brzoza.

- Porzuć te myśli frasośliwe, by nie były dla ciebie udręką. Byłaś dobrą matką, czego dowodem było szczęście twoich dzieci, które cię kochają nad życie. Nikomu nie było dane ich uchronić. Nawet najłżejsza zima, by ci je odebrała.

Rozmawiali tak jeszcze długo aż do zaśnięcia słońca.

Lecz wbrew zło życzącym śmiechom i wyzwiskom sąsiadów brzoza nie straciła chęci życia. Czas złagodził jej żalobę, co nie zmniejszyło jej miłości do dzieci i nie oznaczało próby zapomnienia o nich. Biedna matulka nie chciała być pretensjonalna, chociaż wydawać by się komuś mogło, iż wśród grona innych matek zamieszkujących las miała do tego największe prawo. Potrafiła przez całą zimę być wdzięczna za wszystko to, co miała. Dziękowała za odwiedziny dziecięcia, za to, że może czasem porozmawiać z promykiem, czy za to, że jest zdrowa i za samo życie. Odwrotnie zaś zachowywały się jodły, świerki i sosny, które narzekały na wszystko, nie doceniając tego, co mają.

Nadeszła wiosna, która wzruszona historią biednej matki i jej podejścia do życia postanowiła odnaleźć i oddać brzozie dzieci. Świat nie widział dotąd, tak nieskazitelnie czystej radości, jaka panowała w tej rodzinie już do końca. Owa brzoza jest przykładem potwierdzającym prawdomówność słów, iż jeżeli się chce, można wybudować pałac na bagnie, plaży, czy w każdym niesprzyjającym budowie miejscu, a ów pałac może być silniejszy od tego na dobrym gruncie zbudowanym, jeśli w jego budowę włożono więcej czasu, miłości i serca. A także pokazuje, iż miłość umacnia się pokonanymi przeszkodami, bo czyż miłość dramatyczna, pełna problemów i rozstań siłą losu nie jest piękniejsza od tej, na którą się nie zapracowało?

Jego magia zła była,
Ludzi wnet odmieniła
wszystkich wokół.
Kto przez szkło lustra patrzył
Dobra już nie wypatrzył
nigdy więcej.
Tylko zło i brzydotę,
Miast radości zgryzotę
i nieszczęście.
Tego lustra okruchy
W sercu Kaja i w oku
dom swój miały.
Wszystko widział już innym,
Takim brzydkim i zimnym
był świat cały.
Teraz pewnie powiecie,
Że Wy o tym już wiecie
od tak dawna.
Bo to *Śniegu Królowa*,
Baśń prastara, nie nowa,
całkiem ładna.
Ach, nic bardziej mylnego!
- Powiem Tobie, kolego -
Słuchaj tylko!
Bo ja swoją historię
Zaraz Tobie opowiem,
już za chwilkę.
Czy to sen był, czy jawa,
Czy to tylko zabawa
lub marzenie?
Tej krainy lodowej
I złej Śniegu Królowej
me wspomnienie?
Jak więc było? - pytacie -
No, opowiedz nam, bracie,
dalej, śmiało!
Jak w świat lodu trafiłeś,
Co wśród śniegu robiłeś,
co się stało?
Gdy wieczorem spać miałem,
To o Kaju myślałem,
nim zasnąłem.
Rano oczy otwarłem,
Cały w strachu zamarłem,
tak się bałem.

Wokół śnieg i miasteczko,
A w nim wita mnie dziecko,
roześmiane.
To jest Kaj wraz z kolegą
I już Gerda podbiega
pośród sanek.
Ach, jak było wesoło,
Wszyscy bawią się wkoło
tak radośnie!
Zimę spędzić tam chciałem,
Bo przyjaciół zyskałem,
aż do wiosny.
Skąd Ty jesteś? - pytali -
No i wszyscy słuchali,
mnie uważnie.
Jestem z polskiej krainy,
Gdzie są góry, równiny,
morze także.
Łąki, lasy, jeziora,
Miasta, wiosek też sporo
w całym kraju.
Zimą śnieg, latem słońce,
Wiosną kwiaty kwitnące,
pięknie w maju.
Jest Mazowsze, Mazury
I Podhale - tam góry,
Tatry nasze.
I Kujawy, Pomorze,
Czyli ziemie nad morzem,
i Podlasie.
A wśród miast i miasteczek
Moje ważne jest w świecie,
i jedyne.
Bo to Gród Kopernika
I stolica piernika
- z tego słynie.
Kaj i Gerda zdziwieni,
Inni we mnie wpatrzeni.
- O czym mowa?
Bo pierników nie znają
I o smak ich pytają,
wciąż od nowa.
Mam pierniki w tobołku,
Kładę szybko na stołku.
Niech skosztują!

Katarzynki, serduszka,
Pojedynczo, w paczuszkach,
im smakują.

Ile było radości,
Śmiechu i serdeczności
dnia każdego!

Ile zabaw wśród śniegu,
To na sankach, to w biegu.
Cóż miłszego?

Dni beztrosko płynęły,
Aż tu nagle stanęły
wielkie sanie.

A w nich Śniegu Królowa
Pośród futer się chowa.
Co się stanie?

Wszystkie dzieci zabrała
I wnet gdzieś odjechała,
hen, daleko!

Tylko ja sam zostałem,
Bo za głaz się schowałem,
tuż za rzeką.

Cóż mam zrobić - myślałem?
I ze smutku płakałem
do wieczora.

Jak uwolnić mam dzieci?
Pośród śniegu, zamieci,
z rąk potwora?

Choć strachliwy nie byłem,
Niecو w życiu przeżyłem,
to się bałem.

Walczyć w krainie lodu
Ze złą Śniegu Królową?
Nie, nie chciałem!

Ale dzieci te znałem,
Szczерze je pokochałem
sercem całym.

Na ratunek im spieszyć
I wolnością się cieszyć
z nimi chciałem.

Więc ruszyłem ich śladem,
W sercu mając obawę,
czy podołam.

Niczym Gerda, co Kaja
Niegdyś uwolnić chciała.
Gerdo! - wołam.

Czy mój głos gdzieś usłyszysz,
Gdy się zamieć uciszy
w kraju lodu?
Może myślą przywołam,
Może pomóc jej zdołam?
Hej, do przodu!
We wspomnieniach baśń miałem,
Wnet jej słowa wspomniałem,
i wiedziałem
Jaką drogę przebyła,
Kaja jak uwolniła,
też tak chciałem!
Popłynąłem więc rzeką,
Razem z nurtem daleko,
małą łódką.
Gdzie staruszka mieszkała,
Moich słów wysłuchała,
z wielkim smutkiem.
Piękny ogród tam miała,
Róże mi pokazała,
kwiatów pole.
Co je Gerda kochała,
Z nimi Kaja wspomniała,
ich oboje!
Potem wronę spotkałem,
Ją o drogę spytałem,
więc wskazała
Pałac, a w nim królową,
Co karetę mi nową
w drogę dała.
Nią do lasu wjechałem,
Rozbójników spotkałem.
Ile strachu!
Rozbójniczka tam mała
Renifera mi dała.
Ruszaj, brachu!
Droga była daleka,
Trudna tak dla człowieka
w śniegu krajach.
Poprzez mroźną Laponię,
Potem zimną Finlandię
w świata skrajach.
Tam przestrzenie ogromne,
Chatki ludzi są skromne,
na Północy.

Tam, gdzie pałac Królowej
Rozświetlony jest zorzą
w dzień i w nocy.
W wielkiej sali lodowej
Był tam tron dla Królowej,
piękny, lśniący.
Wokół dzieci gromadka
Niczym zwierzaków stadko,
z zimna drżących.
Są zmarznięte i sine,
Ich spojrzenia tak zimne
jak lód wokół.
Układają tam puzzle,
Ich wysiłki są próżne,
pośród mroku.
Co ułożyć z nich mają?
Jakie słowo wybrała
zła Królowa?
„Wieczność” - to słowo chciała.
Wolność zaś obiecała
Pani Lodu.
Cóż mam począć? Co robić?
Jak mam dzieci uwolnić?
Hej, pomocy!
Czy Królowa gdzieś ruszy?
Dzieci zostawi w guszy
którejś nocy?
Choć zmarznięty, zmęczony,
Ciepłej stawy spragniony,
strachu pełen.
Plan w mej głowie kiełkował,
Wszystkie myśli zajmował.
Już wiedziałem!
Kiedy tylko Królowa
Wyruszyła gdzieś w drogę
pośród chłodu.
Szybko wbiegłem do sali,
I tam dzieci zastałem,
puzzle z lodu.
Chciałem ścisnąć, całować,
Się przytulić, radować,
lecz nic z tego!
Wcale mnie nie poznały,
Nieruchomo wciąż stały.
Hej, kolego!

Wnet tobołek chwyciłem,
Co na plecach nosiłem
w tej podróży.
Tam pierniki schowałem,
Co spotkanym dawałem,
niech im służą!
Tej staruszce, królowej,
Rozbójniczce tej małej
też je dałem.
I Laponkę, i Finkę,
I spotkaną dziewczynkę
częstowałem.
Bo pierniki moc mają,
Jak legendy podają
od lat wielu.
Tam imbiru i miodu
Dużo nie bez powodu,
przyjacielu.
Katarzynki naprędcę
W dzieci włożyłem ręce
pełen wiary.
Miód i imbir lód stopił,
I ten w sercu, i w oku,
słowo daję!
Co z puzzlami - spytacie?
Odpowiedzi czekacie,
patrzac na mnie.
Same się poruszały,
W nowe słowo składały
całkiem zgrabnie.
I nie było to słowo,
Co żądała Królowa.
Nie, nic z tego!
Ale „Przyjaźń” - naprawdę,
Słowo tak bardzo ważne
dla każdego.
Bo to przyjaźń zwycięża,
Bez żadnego oręża,
ma tę siłę.
Burzy mury, lód kruszy,
Zło jej nie zdoła ruszyć,
ni na chwilę.
I to przyjaźń sprawiła,
Śnieg i lód roztopiła
w sercach dzieci.

Pałac wnet opuścili
I do domu wrócili
wśród zamieci.
Ja wraz z nimi wróciłem,
Kilka dni tam spędziłem
z Gerdą, Kajem.
Potem się pożegnałem
I pierniki im dałem,
swym zwyczajem.
Na pamiątkę przygody,
Wygód i niewygody
w tej krainie.
By ich pamięć nie zgasła
I we wioskach i miastach.
Niech nie zginie!
Co ze Śniegu Królową,
Tą złą Damą Lodową?
Tego nie wiem.
Czy na dzieci poluje,
Czy się dostać próbuje
dziś do Ciebie?
Ale jedno wiem dobrze
I powiedzieć to zdążę
w tejsze baśni.
O przyjaźni pamiętam
I wspominam jej piękno,
zanim zasnę.
Bo to tylko coś warte,
Co jest w sercu zawarte.
Wierz mi, proszę!
Nic to srebro czy złoto,
Kiedy miłość i dobro
w sercu nosisz.
Czas zakończyć już baśń tę,
Czas zapomnieć o waśniach,
w domach Waszych.
Dobro niechaj zwycięża,
Przyjaźń będzie orężem
po wsze czasy!
I niech słowa tej baśni
Nie pozwolą Wam zasnąć
bez wspomnienia
Złej tej Śniegu Królowej
I krainy lodowej,
co się zmienia,

Jan Szuba

Praca otrzymała wyróżnienie Radia Plus.

Warszawskie szaty cesarza

Chodź, siadaj, opowiem Ci.
Było to w mieście, a może wsi.
O tutaj, patrz, tam gdzie daleko,
za siódmą górą, za siódmą rzeką.
Nie wiem, czy dzisiaj, czy wczoraj to było,
w pamięci jakoś się to rozmyło.
Jadłem kanapkę, tak sobie zwyczajnie,
nagle spostrzegłem, że ktoś patrzy na mnie.
Tak niecodziennie był jakoś ubrany,
coś jakby na kształt piżamy.
Miał też koronę na swojej głowie,
a więc to cesarz we własnej osobie.
Stał taki smutny i bardzo samotny,
spytałem go, czemu jest taki markotny.
Swoją historię mi opowiedział,
Jak nagi w karecie wśród tłumu siedział.
Śmiali się z niego wszyscy poddani,
przez próżność swoją dał się omamić.
Do krawca z Warszawy więc go zabrałem,
zaczął go mierzyć z wielkim zapalem.
Żaden garnitur, koszula, sandały,
w ogóle mu się nie spodobały.
Ale ten krawiec miał fach mistrzowski,
uszył mu prędko strój kurpiowski.
By o swych smutkach zapomniał na zawsze,
zrobiłem wycieczkę przez całe Mazowsze.
Każdym miasteczkiem był oczarowany,
a każdą potrawą aż zafascynowany.
Najbardziej jednak mu się spodobał
Zamek Królewski - Warszawy ozdoba.
„Zostanę tutaj” - rzekł mi radosny.
„Posiedzę sobie na Zamku do wiosny,
potem do domu powrócę spokojny,
zakończę wszystkie okrutne wojny.
Będę już dobry dla swoich poddanych,
i będę chodził skromnie ubrany”.

Grzyb Zuzanna

*Praca otrzymała Nagrodę Dyrektora
Publicznej Szkoły Podstawowej nr 2
im. Hansa Christiana Andersena w Radomiu
Marka Sternalskiego.*

Odwilż

W kraju pełnym zieleni latem i bieli zimą, w regionie płaskim a zarazem tak różnorodnym, gdzie rosną wierzyby i dęby pną się w górę, płynęła wspaniała rzeka. Nad wodą wyrosła, tak jak przebiśnieg przebija puch mroźny, dziewczyna o oczach zielonych jak pola i włosach czarnych jak żyzna ziemia. Rosła dumnie, lecz ludziom jej duma nie odpowiadała. Zamknięto ją więc za murem szlachetnej instytucji, lecz zbyt ciasnej dla duszy tak niezwyklej i nawykłej do wolności. Historia ta nie jest pełna akcji i wybuchów, lecz prawdy o człowieku oraz świecie jak i o dobroci serc szczerých. Wysłuchajcie dzieteczki moje opowieści o niefrasobliwej dobroci, która szła w parze z odwagą.

Lodowaty wiatr huczał w brudnych oknach starego liceum katolickiego. Zgrzybiała siostra zakonna wykładała właśnie lekcję, gdy wychudła dziewczuszka wystrzeliła swoją bladą ręką w górę. Padło pytanie o wyjście do toalety. Gdy wyrażono zgodę, dziewczyna szybkim ruchem pochwyciła plecak i uciekła za drzwi.

Dość miała nudy. Cierpiała zamknięta w zimnych murach. Wymknęła się z gmachu szkolnego i udała się do pobliskiego lasu. Kochała świeże powietrze i zapach sosen. Ze swojego tornistra wyjęła paczuszkę rwoków, pysznych kluseczków. Szła sobie beztrąsko, gdyż znała te tereny bardzo dobrze. Miałki śnieg trzeszczał dziewczynce pod stopami. Zagajniki nikły rozmazane, gdy biegła szybko i zwinnie między grubymi i czarnymi jak noc konarami drzew. Nie baczyła na to, że brudzi palto. Hasała wśród drzew bez strachu przed upadkiem. Wiedziała, gdzie wystają konary. Jakaż ona była odważna! Żadna z dziewcząt w klasie nie była jej przyjaciółką. Nie przeszkadzało jej to, bowiem żadna z młodych, kształtujących się kobietek, nie posiadała cech, które ona tak sobie ceniła. Nie lubiły one biegać, wołały czesać swoje włosy oraz haftować. Inne z pogardą obserwowały jej niedbalstwo i energiczność. Padła ofiarą niechęci klasowych prymusek, już w pierwszej klasie, gdy na lekcji zajadała się po kryjomu sójkami, podczas modlitwy.

- Podczas modlitwy! Masz ty dziewczę rozum i godność człowieka? - krzyczała wtedy starsza zakonnica, po donosie, rzecz jasna.

Wszystkie uczennice dążyły do samodoskonalenia. Tylko ona jedna szkoliła się w zajęciach, jak to nazywano, niegodnych. Czasem, dziewczęta z równoległych klas posyłały jej nikłe uśmiechy, lecz znikwały one pod gromkim spojrzeniem tysiąca oczu, niczym pod naporem stu srebrnych noży. Choć chciały być jak ona, nie miały odwagi utworzyć w swym szeregu tarczy, która by te sztylety odparła.

- Haniu, gdzie twoja kamizelka? - zapytała kiedyś jej koleżanka z ławki.

- Po drodze oddałam bezdomnemu, zamarzłby -mówiła szczerze.

- Ależ Haniu! Złamałaś zasady, siostra dyrektorka da ci naganę - z przejęciem mówiła dziewczynka.

- Święci też łamali zasady na rzecz dobra i uczciwości - mówiła z gorliwością.

Tak więc młoda, dobra i odważna Hanna siedziała na kamieniu pod wielkim dębem i wiązała sznurowadła swych schodzonych glanów. Robiło się coraz zimniej. Podążała w głąb lasu. W pewnym momencie spostrzegła nieznane jej drzewo, o obcym kształcie i zapachu. Jej zaskoczenie było co najmniej ogromne. Myślała, że zna wszystkie zagajniki. Z czystej ciekawości zapuściła się jeszcze dalej. Motywacją był płacz w oddali. Ciche łkanie przejęło ją do głębi. Ruszyła szybko w stronę zawodzącego głosu. Pod uschniętą brzozą znalazła leżącą klacz, piękną gniadą, lecz smutną.

- Czegoż ci trzeba, kobyłko? Czy to ty tak zawodzisz? - spytała cichutko, zbliżając się z ostrożnością.

- Płaczę, bo dopadła mnie niemoc, a wraz ze mną schną drzewa - koń przemówił ludzkim głosem, patrząc jej prosto w oczy bez przestrachu.

Emanował spokojem. I choć jego kłęb parował, w dotyku zimny był jak lód.

- Nie masz pana, który by się tobą zajął?

Lata nauki w kamiennej szkole, próbowały wypłenić z jej głowy bajki słyszane za dziecka. Nie pamiętała nic o gadających koniach, ale gotowa była uwierzyć we wszystko. W końcu cuda się dzieją i objawiają się odważnym oraz prostolinijnym.

- Czekam na Karachunę, dziecinko.

- Och nie! - zakrzyknęła.

Znała to imię. Pamiętała opowieści o księżnej zimy, który zabiera martwych na drugą stronę. Jej babka zawsze używała imienia wymienionego przez klacz.

-Nie umrzesz, ja ci pomogę. Klaczkco, wstań. Chodź za mną. Zaprowadzę cię do ciepłej stajni.

- Nie rozumiesz, dziecinko. Zresztą jestem zbyt słaba, by iść, czekam na Karachunę - mówiła bardzo spokojnie.

-Wracaj do siebie. Jeśli teraz nie pójdziesz, zostaniesz w zaspach przez najbliższe dni.

- Zostanę.

Krótką chwilkę zajęło Hani podjęcie decyzji. Woląta zmarznąć, byle tylko pomóc temu pięknemu stworzeniu. Zdjęła płaszcz i opatuliła nim kłęb kobyłki. Pozostałymi rękami i kiszoną kapustą nakarmiła konia, skazując siebie na głód. Z torby wyjęła koc i aspirynę. Okryła łeb i szyję zwierzęcia pledem i podała lek. Na dnie kieszeni kurtki znalazła kilka ostatnich zapalek. Ułożyła stosik z suchego chrustu - a przynajmniej najsuchszego, jaki znalazła. Z wielką ostrożnością i pieczołowitością zapaliła patyczek z siarką, by podpalić stosik. Rozdmuchała nikły płomień, by zrobić się większy i cieplejszy, a sama przytuliła się do wierzchowca, by oddać mu jak najwięcej ciepła.

Zapadła straszna noc. Nagle usłyszała wycie wilka w głuszy. Cała wataha poczęła niemiłosiernie zawodzić. Wnet zza pnia wyłonił się ogromny pies z kłami przywykłymi do rozszarpywania mięsa. Lęk obleciał gniadą klacz, tak samo i Hankę. Gdyby teraz uciekła, wilki rzuciłyby się na osłabioną kobyłę. Pozostanie przy niej, też mogło skończyć się tragicznie.

- Och nie!

Dziewczyna pochwyciła palący się konar i zamachnęła nim w stronę zwierzęcia, zrywając się na równe nogi. Stanęła prosto i ruszyła z ogniem w dłoni na wilka, który złęknioty warknął i cofnął się o krok. Gdy w uniesieniu sparzyła największego ze sfory, wilki poczęły się wycofywać. Udało jej się. Atak został odparty. Był jednak inny

problem. Ognisko zgasło, a dziewczyna była spocona i zaczynała marznąć. Próbowwała jeszcze raz rozpalic ogień, lecz nie było to tak łatwe. Po chwili zgasła ostatnia zapalka. Drżąca Hania przytuliła się więc do klaczy, ani myśląc, by zabrać jej koc i samej się okryć. Zrobiła się senna. Po chwili, mimo walki wewnętrznej, zasnęła ze zmęczenia i chłodu.

Dziewczynkę obudziło uderzenie zimna. Podniosła powieki i ujrzała coś niespodziewanego. Pochylała się nad nią mroźna postać, opatulona w szaty ze szronu. Karachun - białogłowa.

- Ocaliłaś mego konia - usłyszała świszczący głos.

Po chwili zauważyła gniałą, wesoło kłusującą wokóło.

- Gdybyś się nią nie zajęła, zginęłaby tu. Nie zdążyłabym jej uratować. Co chcesz w ramach podziękowania, skarbie?

- Ach nic, mroźna królowo. Nic mi nie trzeba.

Śnieżna mara uśmiechnęła się na te słowa i przyłożyła dłoń do odmrożonego policzka Hani.

- Twoja odwaga i dobroć serca mnie zachwycają, dziecko. Ozdrowię cię i dam ci na drogę posag, jako nagrodę. Proś, o co chcesz.

Hania zastanowiła się chwilę.

- Daj mi, proszę, rozważę i siłę, by pomagać biednym i słabym. O pani, proszę ulecz wszystkich chorych i daj radość tym smutnym.

Królowa Śniegu uleczyła dziewczynę i podarowała jej dzbanek, który każdy napój do niego wlany, zmieniał w lekarstwo na wszystkie choroby blakające się po świecie. Na palec włożyła jej pierścień, rozjaśniający się bladym światłem, gdy właściciel rozmawiał z osobą o sercu czystym jak dziecięca łza. Na koniec, torba Hani została wypchana klejnotami, tak pięknymi i tak błyszczącymi, iż żaden bogaty król nigdy podobnych na oczy nie widział.

- Idź, i siej dobro, bądź słońcem w deszczu i ogniem w zimę. Chlubo ziemi nadwiślańskiej, światelku w mroku, niech góry zalesione kłaniają ci się do stóp.

Haneczka wróciła do szkoły, która zdała jej się weselsza i cieplejsza niż zwykle. Szła odwilż, dziewczyna to czuła. Pragnęła być ową odwilżą dla ludzi dobrej woli. Żyła zgodnie z prawem natury i czyniła dobro, jak nikt jeszcze, a przy tym ją samą omijały wszelkie nieszczęścia, jak gdyby jakaś niewidzialna dłoń ją przed owymi chroniła. Czasem, gdy czuła powiew zimowego wiatru, zdawało jej się, iż to Królowa Śniegu głaska ją po głowie.

Tajemnicze herbaty

Całkiem niedawno i nie tak daleko, i nie za górami, i nie za lasami, a tuż obok mieszało małżeństwo Gerdaczy. Bardzo się oni kochali, spędzali wspólnie wolny czas, pracując w swoim ogrodzie. Szczęście rodziny zakłócał tylko brak dziecka. Karolina i Baltazar Gerdaczowe już siedem lat starali się o potomka. Kiedy już wszelka nadzieja „umarła”, pojawiła się niespodziewanie w ich domu ciotka Anastazja Plotka, która słynęła z cudownych umiejętności. Mogła ona wyczarować i małego lizaka, i wprowadzić zgodę między zwaśnionych ludzi. Gdy ciotka odwiedziła dom Gerdaczy, powiedziała do pani Karoliny:

- Jest rada na twoje nieszczęście, moja duszko.

Tajemniczo uśmiechnęła się i ofiarowała miód z czarnoleskiej lipy, który miał moc uspokajającą. Karolina popijała wieczorem herbatkę z miodem i stawała się coraz spokojniejsza. Szybko okazało się, że spodziewa się potomka. Jakież było zaskoczenie małżeństwa, gdy zamiast jednego dziecka, pojawiły się na świecie trojaczki: dwóch chłopców i jedna dziewczynka. Radość rodziców przeplatała się ze smutkiem. Jacek i Wacek byli pięknymi chłopcami, o wielkich, niebieskich oczach oraz ujmującym uśmiechu. Aurelia, mimo pięknego imienia, nie zachwycała swoim wyglądem, a nawet odstraszała. Miała odstające uszy, ogromne usta oraz grube nogi. Wszędzie tam, gdzie pojawiała się, mama Gerdaczowa słyszała żarty i docinki na temat wyglądu swojej córeczki. Pani Karolina popłakiwała w ogrodzie, bojąc się o przyszłość Aurelki. Pytała:

- Kto polubi lub pokocha moją córunię? Jak ona poradzi sobie w życiu?

Córeczka, gdy była dzieckiem, ciężko znosiła krytykę otoczenia. Wyśmiewali ją rówieśnicy, nazywając brzydkim kaczątkiem. Nikt do niej nie mówił po imieniu, nikt się z nią nie bawił, koleżanki nie zapraszały na urodziny. Odrzucona i upokorzona dziewczyna uciekła z domu rodzinnego. Znalazła schronienie u ciotki Plotki. Dorastając, stawała się coraz ładniejsza: kręcone, blond włosy zakrywały uszy, duże usta harmonijnie współgrały z twarzą, była coraz bardziej pewna siebie i samodzielna.

Pewnego dnia zdecydowała się wyjechać do dużego miasta. Olśniewała urodą i wdziękiem, dlatego burmistrz miasta zaproponował dziewczynie udział w konkursie na najpiękniejszą twarz roku. Mimo wahań Aurelia wzięła udział w zabawie i ku ogromnemu zaskoczeniu, przede wszystkim jej samej, wygrała konkurs. Była bardzo szczęśliwa. Ciesząc się swoim sukcesem, potrafiła przechodzącego obok mężczyznę. Spojrzała mu w oczy i w tym momencie poczuła szybsze bicie serca, ogień w gardle oraz nieznanne uczucie. Napotkany mężczyzna - Robert Radziwiłł - też oniemiał. Wydawało się, że zdarzenie to nic nie będzie znaczyło dla obojga. Los chciał jednak inaczej i młodzi ludzie po kilku dniach spotkali się ponownie, podczas premiery *Księżniczki na ziarnku grochu* w miejscowym teatrze. Od tego momentu stali się nierozłączni, wiedli ciekawe i szczęśliwe życie, ale niestety do czasu ...

W czasie najkrótszej nocy w roku, w święto płodności, urodzaju, radości i miłości nazywanej na Mazowszu Nocą Kupały okoliczni mieszkańcy zebrali się nad rzeką. Rozpalili ogniska, w których palono zioła. Odbywały się wróżby i tańce. Dziewczęta puszczały w nurt rzeki wianki, wróżąc sobie w ten sposób swoją małżeńską przyszłość. W noc świętojańską - w święto, które związane jest z letnim przesileniem Słońca, Aurelia również puściła na wodę wianek z polnych kwiatów. Jej ukochany Robert pochwycił go, co według tradycji miało znaczyć szybkie zamążpójście panny. Tu pojawiła się przeszkoda - związku tego nie akceptowała Anna - matka Roberta, która uważała, że Aurelia pochodzi ze zbyt niskiego rodu. Zarzucała młodej dziewczynie nieznamość zasad *savoir-vivre*'u oraz plebejskie wyczucie smaku. Matka obiecała, że wyrazi zgodę na małżeństwo tylko z taką dziewczyną, która przejdzie pozytywnie „test herbaty”. Niestety, Aurelka nie dostała nawet szansy przystąpienia do tego egzaminu i musiała zrezygnować z dalszej znajomości z Robertem. Oboje bardzo cierpieli, ale matka była nieugięta. Córki znajomych arystokratek częstowała tajemniczą herbatką. Jednak, żadna z nich nie mogła zdać testu.

Dotychczasowe życie Aurelki nauczyło ją walki o swoje marzenia, dlatego dziewczyna zdecydowała się na fortel. Podając się za córkę zmarłej arystokratki, pojawiła się w domu Radziwiłłów. Matka Roberta poczęstowała Aurelię herbatą. Anna, testując podniebienie dziewczyn, dodawała malutką grudkę soli do każdej, aromatycznej herbaty.

- O, herbatka jest wykwintna, wyczuwam w niej glóg, żurawinę, czarną porzeczkę i domieszkę soli - powiedziała szczerze Aurelia.

Okazało się, że trudne lata dzieciństwa, częsta krytyka rówieśników uczyniła Aurelkę osobą bardzo wrażliwą, również na smaki. Anna była zadowolona, po sześciu miesiącach serwowania herbatek, spotkała wyczekiwaną osobę. Przytuliła ją mocno i powiedziała z radością:

- Witaj w rodzinie! Właśnie tak wrażliwej osoby poszukiwałam dla mojego syna. Wiem, że dobrze rozpoznasz jego potrzeby, będziesz mu dobrą żoną i matką waszych dzieci.

Aurelia wiedziała, że musi wyjawić swój podstęp, zdjęła przebranie i wszystko było jasne... Matka Roberta oniemiała ze zdziwienia. Nie ukrywała też swojej złości. Dziewczyna próbowała ratować sytuację.

- Bardzo kocham pani syna, wiem, że on darzy mnie też uczuciem. Proszę zrozumieć, jesteśmy dla siebie stworzeni, dlatego wymyśliłam ten podstęp - wyznała Aurelia, opuszczając zawstydzone oczy.

Zapanowała długa, niezręczna cisza. Robert przytulił Aurelię.

- Kocham was obydwie: ciebie Anno jako matkę, a ciebie Aurelio jako narzeczoną. Nie każcie mi wybierać. Cieszymy się wszyscy naszą miłością! - powiedział Robert.

- Moi drodzy, przepraszam was. Czasem oceniam ludzi po wyglądzie, nie widząc ich głębi, to duży błąd - przyznała Anna i po chwili namysłu dodała z drżeniem w głosie:

- Teraz błogosławię wam na dalsze, wspólne życie.

Łzy pojawiły się w oczach kobiety, a Aurelia z Robertem pokłonili się, dziękując szczerze za błogosławieństwo.

Wkrótce odbył się ślub szczęśliwej pary, młodzi założyli rodzinę. Borykali się z wieloma ludzkimi problemami, ale dzięki miłości potrafili wszystko pokonać...

Baśnie inne

Błażej Korbut

Baśń o dwóch rybakach

We wsi nad Narwią mieszkało dwóch wędkarzy. Jeden miał na imię Henryk, a drugi Władysław.

Henryk był dobrodusznym człowiekiem, łowił dużo ryb, ale sprzedawał tylko te, które miały wyśmienity smak. Natomiast sam spożywał te ryby, które nie nadawały się na sprzedaż. Zarabiał mało, pomimo że jego towar był dobrej jakości. Pomagał też najbiedniejszym, przekazując im swoje niesprzedane ryby. Spędzał wiele godzin nad rzeką, często mimo kapryśnej pogody, gdzie nieraz wiatr i fale Narwi zrywały mu żyłkę z wędki. Ciepła, letnia pogoda na Podlasiu rekompensowała mu niedogodności jesieni. Rozkoszował się krzykiem żurawi podczas wschodu słońca nad pobliskimi łąkami oraz rechotem nawojujących się żab. Ciarki przechodziły Henrykowi po plecach, gdy słyszał wycie watahy wilków w podłomżyńskim lesie.

Władysław był całkowitym przeciwieństwem Henryka. Człowiek ten był pyszny i butny, ludzie w skrytości nazywali go dusigroszem. Miał jednak smykałkę do handlu. Potrafił za wysoką cenę sprzedać wszystkie ryby, nawet te, których świeżość pozostawiała wiele do życzenia. Majątek Władysława stale się powiększał. Jednak mężczyzna nie zwracał uwagi na błagania żebraków, którzy prosili o wsparcie. Wśród nich była słynna w tych okolicach szeptucha. Rozzłoszczona skąpstwem i obojętnością Władysława rzuciła klątwę na rybaka. Mężczyzna jednak nie przejął się słowami staruchy i przegonił ją ze swego stoiska.

Wędkarze codziennie zjawiali się na targowisku w centrum wsi. Henryk docierał tam pieszo, a Władysław dojeżdżał swoim powozem, zaprzężonym w konie. Mijając podążającego Henryka, przyspieszał konia, aby nie wspomóc go podwózką na targ.

Na rynku sprzedawano ubrania, gliniane naczynia, różnego rodzaju chleby domowego wypieku, sery, których woń drażniła powonienie kupujących oraz przedmioty codziennego użytku. Rybacy posiadali własne stoiska. Stoisko Henryka było małe. Uwielbiał je ozdabiać suszonymi ziołami, gałązkami świerku. Miał on zazwyczaj stałych klientów, którzy odwiedzali go raz w tygodniu, aby zakupić u niego świeżą rybę. Stragan Władysława był okazały. Znajdowały się tam duże ilości ryb. Mężczyzna ciągle zyskiwał nowych klientów, jednak jego ryby nie zachwycały smakiem tak jak ryby jego konkurenta.

Pewnego dnia Henryk zauważył, że Władysław nie pojawił się na rynku. Jednak nie zmartwił się nieobecnością swojego sąsiada, ponieważ wiele razy zdarzało się bogaczowi nie usługiwać na targu. Pod koniec dnia Henryk wiedziony jakimś niezrozumiałym przeczuciem, przyszedł odwiedzić Władysława i sprawdzić, czy przypadkiem nie zmoęła go jakaś choroba. Niestety, nie zastał rybaka. Następnego dnia ponownie stragan bogacza był zamknięty. Zaczęły pojawiać się pogłoski

o porwaniu Władysława, a Henryk był coraz bardziej niespokojny o życie i zdrowie sąsiada.

Tej nocy we śnie Henryka pojawił się zmizerowany Władysław, który błąkał się po lesie. Henryk słyszał szum wzburzonej Narwi oraz wycie wilków. Przerażony tym obrazem wstał, ubrał się i wyruszył w podróż. Wyczerpująca wyprawa poszukiwawcza Henryka trwała aż dwa dni. Nie zatrzymywał się on ani na chwilę, ponieważ bał się o Władysława. Nagle, wśród leśnych ostępów, pod zmurszałym pnem powalonego przez burzę drzewa, zauważył dygoczącego z zimna Władysława.

- Sąsiedzie, już śpieszę z pomocą! - krzyknął przejęty Henryk.

- Ratuj mnie! - błagał Władysław.

Henryk uwolnił sąsiada od przyciskającego go pnia i pomógł poszkodowanemu w powrocie do domu.

Wszystko powoli wracało do normy. Na targowisku znowu rozlegały się nawoływania Władysława, który szybko wrócił do zdrowia i reklamował swój towar. Ludzie gadali, że nieszczęście Władysława to skutek kłątwy szeptuchy. Jednakże Władysław pozostał aroganckim i obłudnym człowiekiem.

Pewnego dnia Władysław wrócił do domu po całodziennej pracy na rynku. Przebrał się i zmęczony położył do łóżka. W pewnym momencie poczuł odrażający, nieprzyjemny zapach dymu. Wyszedł na zewnątrz, aby zobaczyć, co się dzieje i zastał dom Henryka w płomieniach. Stał, wpatrując się w trzaskające płomienie, które pożerały dom sąsiada. Psy na pobliskich podwórkach wyły niepokojąco. Nagle jakaś niezrozumiała siła pchnęła Władysława w kierunku gorejącej chałupy. Wskoczył on do zapalonego domu. W kłębach gryzącego i duszącego dymu zobaczył nieprzytomnego sąsiada. Wyciągnął Henryka z sideł ognia. Niestety chciwość Władysława zwyciężyła nad rozsądkiem. Rybak nie chciał zostawić pieniędzy Henryka w chacie.

- Władysławie, nie idź tam, ponieważ dom zaraz się zawali! - ostrzegął go Henryk.

- Nic mi się nie stanie. Pieniądze też są ważne.

- Nie posiadam żadnego bogactwa! Nic nie jest ważniejsze od życia! - krzyczał rybak.

Niestety Władysław nie słuchał sąsiada. Wrócił do płonącego domu w poszukiwaniu oszczędności. Nagle strop chaty pękł i dach przygniótł jego ciało. Władysław zginął w płomieniach. Po raz drugi został przygnieciony ciężarem drewna. Zachłanność mężczyzny doprowadziła do jego zguby. Nikt już nie słyszał ostatnich słów Władysława, w których żałował swojego postępowania.

Henryk żył długo i dobrze mu się wiodło.

Pamiętaj, że pieniądze nie przynoszą człowiekowi szczęścia, bo bogatym jest ten, kto dużo daje, a nie ten, kto bogactwo posiada.

Baśń o lisku obrońcy

„Szczęście można znaleźć tam, gdzie ludzi zadawała drobiazg,
bo kochają i są kochani”

Hans Christian Andersen

Była jesień. Wszystkie drzewa w lasach już ubrały kolorowe szaty. Nawet wieś i miasta wyglądały jakby inaczej. Czuć chłodny powiew wiatru, który kołysze drzewa, gałęzie, unosi barwne liście. Oto w takim czasie zdarzyła się niezwykła historia...
Postępujcie!

Pewnego jesiennego dnia obok wsi niewielkiej w lesie ciemnym i gęstym żył sobie mały lisek. Także był on niewielki, chytruskim go nazywali. Bo jak to w baśniach bywa - co lis - to chytrus. Jednak ten mały Lisek miał serce wielkie. I płakał, gdy słyszał: „Hej, chytrusku! Tylko nie kradnij!”

- Oj jakże ja bym chciał, by zauważyli mój urok i widzieli w nim miłość!

Tak Lisek płakał i łezki wylewał do pięknego, czystego leśnego strumyka. Ale w odbiciu wody nie zobaczył liska, a potężnego wilka. Pobiegł więc szybko do lasu. Kolorowe liście unosiły się wysoko jakby wprawione w ruch za sprawą magii. Drzewa szumiały. Do tego przebijało się rozświetlające słońce, które oślepiło leśną zwierzynę.

- O! Patrzenie! Wilki zawitały w nasze strony! Jaką masz piękną szaro-srebrną sierść obrońco! - chwalił go królik.

- Niestety, nie obronię was, przyszedłem po pomoc. To ja, lisek. Nie chcę, abyście myśleli, że będę waszym obrońcą!

- Ha! Przecież tu w lesie nie ma magii! Wilku, marna z ciebie pomoc, skoro próbujesz przechytrzyć samego liska - odpowiedziała oschło szara kaczka.

Więc wilk znowu pogrążył się w płaczu nad strumykiem. Wtem usłyszał psy myśliwskie, strzelanie, coraz głośniejsze kroki. Psy wciąż szczekały tak, jakby nie istniały już inne dźwięki. Zagłuszały szum lasu, zwierzęta i wszystko! Myśliwi byli już bardzo blisko. Wilk pędził co sił w łapach. Kiedy jeden z myśliwych już celował w kaczkę, wilczek obronił ją całym ciałem.

Jednak kula nie zrobiła nawet rany na ciele wilka. Psy myśliwskie zaczęły wyć na alarm:

- To wilki! Wracajcie do wioski!

Kiedy myśliwi z psami wracali na wieś, wilk zamienił się znów w liska, a wszystkie zwierzątka w pięknym lesie zaniemówiły ze zdziwienia. Nagle, ten ciemny i gęsty las rozjaśniał.

Od tamtego czasu wszyscy w lesie nazywają lisa - obrońcą.

Baśń o magu Kaszubie

Pomiędzy drzewami rozległej puszczy wznosiła się wioska zbudowana głównie z drewnianych domów, nieco podgniłych i krytych strzechą. Dookoła nich stały różne zagrody ze świniami i kurami. Mieszkańcy chodzili po wsi, załatwiając swoje sprawy. Niestety to lato przyniosło marne plony, a większość trzody pozdychała na nieznaną chorobę. Ta sama tragedia tyczyła się również potomstwa wieśniaków, które umierało od razu po narodzeniu. Woda tam miała gorzki, niezdrowy posmak i rdzawy kolor, gdyż wielkie jezioro, z którego czerpano wodę, nagle wyschło, pozostawiając po sobie tylko błotnistą dziurę. Kontakt wioski z zewnętrznym światem urwał się z powodu podwojonej liczby zbójów w lasach. Modlitwy mieszkańców zdały się na nic, a modlili się oni w nadziei na odmianę losu i do bogów słowiańskich, i do Boga chrześcijańskiego. Ale gdyby tego było mało, pan ziem owych podwyższył podatki, nie zważając na kataklizm. I w takim brudzie, nieurodzaju i strachu żyli mieszkańcy przez następne miesiące.

Pewnego wiosennego dnia, do prawie już pustej po zimie wioski, przybył nieznany nikomu starzec. Zęby jego były nienaturalnie ostre, a oczy przekrwione, jakby od wielu dni nie spał. Dłonie miał długie, praktycznie bez paznokci, porośnięte wrzodami. Przechodząc obok pierwszych domów mruknął coś pod nosem w niezrozumiałym języku. Dotarłszy do pierwszych skulonych ze strachu wieśniaków, uśmiechnął się i usiadł na pobliskim pieńku. Nawet w pozycji siedzącej górował nad nimi przynajmniej o pół metra. Wyjął drewnianą fajkę i zdjął futrzaną czapkę, pod którą pomiędzy jego rzadkimi, siwymi włosami wznosiły się baranie czarne rogi. Na ten widok wszyscy mieszkańcy odskoczyli na bok, wykrzykując coś.

- Witajcie, mam na imię Kaszub i jestem wędrownym, jakby to powiedzieć, magiem.

Zaczął rozmowę głosem tak wysokim, że wieśniacy pozatykali uszy.

- Witaj Kaszubie, magu wędrowny! Czy można wiedzieć, co ciebie do nas sprowadza? - skłonił się najstarszy, przygarbiony mężczyzna.

- Myślę, że ma wizyta nie powinna być zaskoczeniem, zważywszy na wasze położenie. Każdą plagę zawsze można cofnąć za drobną opłatą... - Kaszub prychnął i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czyli jesteś w stanie cofnąć te wszystkie kataklizmy? - spytał jeden z mieszkańców.

- Tak, ale jak już mówiłem, za drobną opłatą - stwierdził Kaszub, zacierając owróżdzone ręce.

- Jedyne, co musielibyście mi dać to drewniany krążek oznaczony krwią waszą jako podpis, że wasze ziemie nazwiecie na moją cześć Kaszubami.

Wieśniacy odeszli się naradzić, a Kaszub wyjął pookreślony różnymi cyframi i nazwami krążek. Mieszkańcy przyjęli tajemniczą propozycję. Każdy musiał więc upuścić na niezwykle przedmiot trochę krwi ze swej ręki. Po zebraniu szkarłatnej zapłaty wędrowiec wycofał się do lasu, a dni znów miały piękne i rześkie, pełne pokoju i miłości. Plony rosły znakomicie, dzieci rodziły się zdrowe i silne, a woda wróciła do jeziora. Wszystkie rzeczy układały się po myśli wieśniaków do czasu, gdy

najstarsza, dwunastoletnia dziewczynka zaginęła. Początkowo mieszkańcy uznali za winnego swojego pana, lecz doszły do nich wieści, że również jego córka została porwana. Ku rozpaczy wszystkich po jakimś czasie zniknęła kolejna córka, która dorosła do wieku dwunastu lat. A co dziwne, zawsze w dniu zniknięcia, blizny po oddaniu krwi magowi piekły niemiłosiernie. Rada starszych owej wioski uzgodniła plan działania - wyprawę do kapłana z sąsiedniej wioski, by zapytać, co począć dalej.

Śmiałkowie wędrowali tydzień, w nocy chowali się przed zbójcami i biesami do nor i krzaków, zaś w ciągu dnia przemykali niczym cienie po obrośniętej mchem, trawą i grzybami leśnej posadzce. Dotarłszy na miejsce, młodzieńcy zobaczyli rozpacz i nieszczęście, choć plony sąsiadów były obfite, a krowy dawały dużo mleka. Ku ich zdziwieniu w wiosce owej nie było ani jednej dziewczynki powyżej lat dwunastu, co nasuwało myśl, że i ich takie samo nieszczęście spotkać musiało. Przechodząc między domostwami, śmiałkowie dotarli do zaniedbanego, drewnianego kościołka, w którym urzędował kapłan. Nie był chrześcijaninem, ale i nie był też poganinem. Starał się łączyć wierzenia różnych stron. Znany był też z tego, że nie bał się głęboko w puszcze zaglądać, by spotykać się z demonami. Przekraczając próg kościołka, usłyszeli jego słowa:

- Nic nie mówcie, znam powód waszej wizyty - mruknął duchowny.
- Więc wiesz, jak pomóc naszej diabatwie? - zapytał najstarszy ze śmiałków.
- Wiem i właśnie dlatego przygotowałem dla was to.

Wypowiadając te słowa, wskazał długi czarny róg kozy.

- Gdy znajdziecie Kaszuba, najpierw przebijcie tym rogiem jego serce, a potem wszystkie krążki, jakie nosi na piersi. Nasi wysłannicy niestety nie przetrwali tej próby...

Gdy skończył mówić, wyprosił przybyszy z kościoła. Za wskazówkami księdza wieśniacy zabrali czarny róg i wybrali się w puszcę. Im dalej szli, tym było ciemniej i zimniej. Nie potrzebowali długiego czasu, by dotrzeć do starej chaty pokreślonej zakazanymi symbolami. Pierwszy przez skrzypiące drzwi przestąpił najsilniejszy z nich, a że była noc, zastał Kaszuba leżącego w łóżku. W sąsiedniej izbie na posłaniach leżało dwanaście dwunastoletnich zaginionych dziewcząt. Najodważniejszy śmiałek widząc Kaszuba od razu rzucił się, by wbić mu kozi róg w serce. Gdy dokonał już tego czynu, a czarna krew spłynęła po posłaniu, wszystkie zebrane dzieci wstały z posłań i poczęły krzyczeć w niezrozumiałych językach. Gdy śmiałek zniszczył też krążki, dzieci padły omdłałe. Wynosząc ich ciała, zauważono, że jedna z dziewczynek miała na sobie królewską suknię, a pod jej materacem było ziarno grochu. Gdy dzieci przebudziły się, wędrowcy zapytali ją, dlaczego spała na ziarnku grochu, a ona wytłumaczyła im że Kaszub chciał znaleźć dla siebie prawdziwą kaszubską królowiankę i każda z nich musiała przejść ten dziwny test. Od tamtego czasu ziemie te zwą się dumnie Kaszubami.

Baśń o skąpym Józku i dwóch workach

Dawno, dawno temu, kiedy po polach i lasach wałęsały się skrzaty, a na dnie jeziora czyhały topielce istniała pewna mała wioska zamieszkała przez lud rdzennie kaszubski. Każdy miał jednoizbową chatę z drewnianym wychodkiem i chlewikiem koło chałupy. Cała ludność miała także własną ziemiankę z zapasem buraków, ryb i piwa na zimę. To znaczy prawie cała. Na samym końcu wioski, gdzie blask z domowych latarni już nie sięgał, żył stary Józk. Mieszkał w wielkim domu zbudowanym z kamienia i krytym dachówką. Był starym i wysuszonym skąpcem o zimnych oczach. Prowadził wielki sklep rybny na wschód od wioski. Swoje towary zdobywał, zatrudniając pokaźną rzeszę ubogich rybaków, którzy za nieznacznym wynagrodzeniem oddawali mu połowę swoich połowów, przez co przymierali głodem. Jednak rozpalonego chęcią zysku Józka niewiele to obchodziło. Z domu wychodził rzadko, chyba że do wsi sprowadzał go jakiś interes. Widzący go ludzie spluwali za siebie i mawiali: „Do kaduka z nim”.

Józk miał jeszcze jedną bardzo osobliwą cechę, mianowicie choć jego majątek całkowicie przewyższał sumę majątków wszystkich mieszkańców wioski i spokojnie mógłby w dostatku żyć do końca swoich dni, on nadal nie przestawał się bogacić. Ciągle chciał tylko więcej, więcej i więcej. Chadzał często po karczmach, gdzie wsłuchiwał się w opowieści zgrzybiałych starców o skarbach i okazjach.

Pewnego deszczowego dnia, kiedy Józk akurat siedział przy kuflu ciemnego piwa, do karczmy wszedł garbaty starzec o podkrążonych oczach i bardzo pomarszczonej twarzy. Usiadł koło baru i rozpowiadał historię o dukacie, który po wydaniu zawsze wraca do właściciela. Słyszac to stary Józk zbliżył się nieco do mówiącego i wsłuchał się w jego wywód.

- Powiadam wam, przy wiosce są rozstaje dróg z wielkim drzewem na środku. Na jednej z jego gałęzi zobaczycie możecie wisielca skazanego za praktykowanie czarnej magii. Trzeba przyjść tam w bezksiężycową noc, kiedy czarna północ hukac zacznie. Wtedy będziecie musieli zrobić rzeczy następujące: złapiecie powieszzonego za jego lewicę i podetniecie mu żyły martwe, napijecie się wypływającej z nich smoły i zarecytujecie słowa następujące: „Wzywam i zaklinam potęgę cienia, którego światło rozproszyć nigdy nie da rady, niechaj przybywa tu o tej czarnej godzinie i jej moc na moje ciało spłynie!”

Zanim jednak garbus dokończył swoją wypowiedź, słuchający rozeszli się po karczmie, nie chcąc słuchać o rytuałach, o czarnej magii się ocierających. To znaczy, prawie wszyscy, bo Józk dalej siedział i słuchał, aż mu zimne oczy lodowatym ogniem zaczęły płonęły.

- Wracający dukat? Ile cudów mógłbym nim dokonać, ile zarobić!- mówił po cichu do siebie.

Następnej nocy Józk udał się na zupełnie ciemny rozstaj dróg, a kiedy usłyszał pohukiwanie północy, wyjął długi nóż i podciął zmarłemu magowi żyły lewej ręki. Z przecięcia zaczęła wypływać wrząca smoła, a mrok wokół rozstaju znacznie się pogłębił. Kiedy Józk napił się czarnego płynu, poczuł jak wypala mu on duszę i umysł. Ostatkiem sił przeszedł do drugiej części rytuału, wyprostował się i wyrecytował

donośnym głosem słowa podane przez garbatego. Zaraz potem snop bardzo jasnego księżycowego światła padł na trupią twarz wisielca. Ku zaskoczeniu Józka, powieki trupa maga otworzyły się. Zamiast ludzkich oczu zobaczył zachodzące bielmem źrenice, które przyglądały się mu bacznie. Nim zdążył wypowiedzieć jakiegokolwiek zdanie, wisielec przemówił przesywającym, chłodnym głosem:

- Witaj Józku, jam jest Smętek, pan kaszubskich diabłów.

- Skąd znasz me imię? - wybełkotał Józka.

- Wiem o tobie wszystko, nawet to, do jakiej gospody chodzisz.

- Ty byłeś garbusem z karczmy! - krzyknął z wytrzeszczonymi oczami Kaszub.

Na to zdanie Smętek kiwnął trupią głową.

- Chcę złożyć ci propozycję. Dam ci dwa dary, a ty będziesz musiał wybrać, który weźmiesz, a który oddasz biednym chłopom. W zamian nic nie oczekuję.

Józka spojrział na wisielca, pod którym właśnie pojawiły się dwa worki, jeden ze złotymi dukatami, a drugi z małym, brudnym i cherlawym ptakiem, którego odgłos brzmiał podobnie do muczenia krowy, a dziób przypominał ropiejący wrzód.

- Wybieraj! - powiedział diabeł smętnym głosem.

Józka ani myślał zrzekać się worka pełnego złota na rzecz brudnych chłopów. Bez dłuższego namysłu wziął do ręki worek z pieniędzmi i przełożył go przez ramię.

- Wybrałeś... - wyszeptał Smętek i zniknął w mroku.

Stary sklepikarz wrócił do domu wesół wielce i położył się spać do swego aksamitnego łoża. Jednak pech chciał, że kiedy Józka spał, został napadnięty przez od dawna obserwującego go okolicznego zbója, Scybóra. Zaszlachtował on bezbronnego posiadacza złota, a sam zabrał majątek ze sobą. Rano chłopci znaleźli worek z potwornie brzydkim ptakiem i ciało Józka ukryte gdzieś w okolicznych krzakach. Samotne kacząc chłopci zabrali do wioski, a następnie wykarmili je i wyleczyli. Kiedy cały bród i szlam z jego piór zdrapali, okazały się białe niczym płatki śniegu, a dziób pokryty był warstwą błyszczącego złota. Zadbany ptak zapłakał rzewnie, a miast łez wielkie brylanty mu z pięknych oczu spływały. Widząc to, najstarszy z chłopów rzekł:

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale dziękuję ci, stary Józku, że byłeś taki skąpy.

Baśń o Stolemach

W bardzo odległych czasach tereny dzisiejszych Kaszub zamieszkiwali Stolemowie. Były to olbrzymy, wzrostem kilkakrotnie przewyższające ludzi. Odnaczały się hartem ducha i ogromną siłą fizyczną. Społeczność ta miała spokojne usposobienie, jednak szybko się irytowała i wówczas popadała w gniew. Mówi się, że sposób życia tych wielkoludów wpłynął na ukształtowanie terenów, które zamieszkiwali.

Jeden Stolem, imieniem Józka, wyróżniał się spośród innych. Był bardzo drobnej budowy, nieśmiały i nie miał krzepy jak jego bracia, którzy urządzali sobie zawody w kopaniu dołów i rzutach głazami. Chociaż inni się z niego wyśmiewali, on sobie z tego nic nie robił. Chodził swoimi ścieżkami i dużo rozmyślał. Marzyły mu się dalekie podróże.

Pewnego razu na Kaszuby nadciągnęła straszna burza i deszcz padał kilkanaście dni. Nawałnica zniszczyła domy Stolemów. Jednak najgorsze było to, że ciężko zachorowało najmłodsze Stolemiątko. Jego życie było zagrożone. Niestety, nie można było zrobić naparu z rozgrzewających ziół, gdyż krzesiwo do rozpalania ogniska zamokło. Dawne podania mówiły, że w tej sytuacji mogły pomóc tylko niezwykle zapałki od dziewczynki z zapałkami z baśni Hansa Christiana Andersena.

- Gdzie jej szukać? Kto podejmie się takiej wyprawy w nieznane? - pytali siebie nawzajem Stolemowie.

To była okazja dla Józka.

- Ja pójdę! Ja ją odnajdę! - krzyknął sam zdziwiony swoją odwagą.

Jego ciekawość świata przewyciężyła strach.

Zapakowawszy jedzenie i picie, Józka wyruszył w podróż. Siedmiomilowe buty przeniosły go do Krainy Baśni. Tam, niestety straciły swoją moc. Gdy zapadał zmrok, Stolem nagle spostrzegł młodzieńca pucującego kufer. Ponieważ był już bardzo zmęczony, postanowił odpocząć i zapytać go o dalszą drogę.

- Przepraszam, szukam dziewczynki z zapałkami. Wiesz może, gdzie ona mieszka?

- Niestety nie, ale znam kogoś, kto może ci pomóc. Wejdz do kufra, podrzucę cię do Calineczki. Ona jest królową kwiatów i wie o wszystkim, co dzieje się w naszej Krainie Baśni - odrzekł właściciel kufra.

Gdy przybyli na miejsce, Calineczka wysłuchała opowieści Stolema i widząc, że przybył tu w szlachetnym celu, postanowiła mu pomóc.

- Kieruj się na północ. Przemieszczaj się jednak bardzo cicho, bo tereny te przemierza zła Królowa Śniegu, która ma serce zimne jak lód i może na zawsze uwięzić cię w swoim pałacu. A teraz najważniejsze - musisz zdobyć zapałki najpóźniej przed wigilią nowego roku, bo później dziewczynka będzie ze swoją babcią w niebie u Boga - powiedziała królowa kwiatów.

Józka podziękował za wskazówki i ruszył w dalszą drogę. Szczęśliwie uniknął spotkania z Królową Śniegu. Wkrótce dotarł do tajemniczego miasteczka. Był ostatni dzień roku. Zaczynało się ściemniać. Już tracił nadzieję na znalezienie celu swojej wyprawy, gdy nagle spostrzegł jakąś bosą postać z gołą głową. Podbiegł do niej.

- Kim jesteś? Ale mnie wystraszyłeś! - powiedziała nieznajoma.

- Jestem Stolem Józkiem z Kaszub i potrzebuję twoich zapalek.
 - Proszę. Cieszę się, że ktoś z nich dzisiaj skorzysta.
 - Dziewczynko z zapalnikami, wiem jaki los cię spotka, może pójdziesz ze mną? Kupię ci jakieś ciepłe ubranie i buty.
 - Nie, dziękuję ci, Józku. Ja już chcę się spotkać z moją babunią. Tak bardzo za nią tęsknię.
- Józek pożegnał się z dziewczynką i ruszył pospiesznie na Kaszuby. Gdy przybył, rozpalono ogień i przygotowano napar z ziół. Stolemiątko wypilo herbatę i wkrótce odzyskało zdrowie i siły. Stolemowie tak się cieszyli, że urządzili wielki bal, na który zaprosili postacie z Krainy Baśni Andersena. Przybyli między innymi: Calineczka ze swoim orszakiem, pasterka i kominiarczyk, Gerda z Kajem, Dziewczynka z zapalnikami wraz z babcią. Na końcu dotarł syn kupca, który przyleciał na pięknym łabędziu. Niestety, jego latający kufer uległ zniszczeniu. Na uroczystości podano zupę brzadową, czyli z suszu z kluskami, oraz szmurowany pomuchel (dorsza), a na deser pyszne ruchanki, czyli placuszki z resztek ciasta chlebowego i kuch z kruszonką.
- Na koniec najstarszy Stolem wyciągnął tabakę, sypnął ją sobie na przednią część dłoni i powiedział do starszyny:
- Chcem le so zażęc.

Zuzanna Jasiulewicz

Buciki z napisem

W miasteczku na północy Polski mieszkała mała Pola. Miała dwóch młodszych braci. Była to wspaniała rodzina.

Pewnego dnia mama dziewczynki poprosiła ją, by przyniosła ze strychu świąteczne skarpetki. Pola szybko tam poszła, ale bardzo się bała, bo przypomniała sobie historię o warmińskim demonie Kłobuku, którą opowiadała jej mama. Ze strachu i pośpiechu potknęła się o zielone pudełko, z którego wypadły małe, czerwone buciki. Pochyliła się, by dokładnie je obejrzeć i zobaczyła napis: Załóż mnie, a przeżyjesz przygodę. Bardzo ją to zaintrygowało, więc od razu zapragnęła je założyć. Przymierzyła buty, a w momencie ich nałożenia stało się coś dziwnego. Poczowała chłód i głośny szum jakby leciała samolotem. Popatrzyła przed siebie i... z niedowierzaniem ujrzała piękną, srebrzystobiałą postać. Rozpoznała w niej Królową Śniegu. Dziewczynka oczom nie wierzyła, a królowa patrzyła na nią jasnoniebieskimi oczami. Obok niej siedział Kaj. W ogóle się nie ruszał, był bardzo smuty i prawie zamarznęty. Pola chciała mu pomóc, zaczęła biec w jego stronę, ale Królowa Śniegu zatrzymała ją silną śnieżycą i powiedziała:

- On nie czuje zimna, jest tu szczęśliwy.

Pola doskonale знаła tę opowieść. Wiedziała, że lepiej z królową nie zadzierać, ale nie zamierzała też się poddać. Oddaliła się od zamku, aby opracować plan działania. Nagle zauważyła Gerdę, która siedziała na kamieniu i bardzo płakała. Podeszła do niej i spytała się, co się stało. Gerda nie wiedziała, skąd się wzięła na tym pustkowiu. Opowiedziała, że jej przyjaciel jest więziony przez okrutną i bezwzględną władczynię. Pola obiecała pomóc odczarować Kaja.

W oddali stał szafas. gdy doszły do niego, postanowiły się tam ogrzać i rozpałyły ognisko. Gdy zrobiło się im ciepłej, Gerda przypomniała sobie historię o diamencie z czerwoną kropką, który może przemienić serce królowej. Zastanawiały się, czy jest to prawda i gdzie można ten magiczny kamień znaleźć. Wtedy wyszedł szczur, który umiał mówić. Gryzoń powiedział, że ten cudowny przedmiot znajduje się pod lodem, w paku róży, niedaleko stąd, w małym jezioru. Można do niego swobodnie dojść i zobaczyć go. Dodał też to, że aby róża pękła i oddała diament, trzeba być obdarzonym darem przyjaźni i miłości. Niezwykle zwierzę zaproponowało swoją pomoc i zaprowadziło je w to miejsce. Dziewczynki poszły więc za nim. Trzymając się za ręce, obserwowały zamrożone drzewa. Po pewnym czasie zobaczyły jezioro, a pod cienką warstwą lodu, w niewielkiej odległości od brzegu, ujrzały czerwoną różę. Gerda ze strachem dotknęła miejsca, gdzie był kwiat. Łód od razu pękł, a róża powiedziała:

Masz dobre serce, kochasz Kaja, a twoja przyjaciółka pragnie pomagać ludziom, dlatego daję wam diament. Gdy królowa go dotknie, jej serce ogarnie ciepło, poczuje wasze dobro, miłość i przyjaźń. Stanie się dobrą istotą, będzie dawała ludziom szczęście, radość i wolność.

Dziewczynki wzięły cenny dar, podziękowały róży i poszły do królowej. Gdy ta zobaczyła taki piękny kamień, od razu go dotknęła. W tej samej chwili słońce zaświeciło, śnieg zaczął spokojnie prosić, a Kaj rzucił się Gerdzie w ramiona. Pola bardzo się wzruszyła, potrzebowała chusteczki i zatęskniła za mamą. Zdjęła buciki, bo były mokre i coraz bardziej odczuwała zimno. Wtedy znalazła się na strychu. Była zdezorientowana... Po chwili domyśliła się, że gdy zakłada buciki, to przenosi się do innych bajek, a w momencie ich zdjęć, wraca do miejsca, gdzie je zakładała.

Pola przestraszyła się trochę tego dziwnego zjawiska, ale ciekawość zwyciężyła, więc znowu włożyła buciki i niemal w tej samej chwili znalazła się w baśniowej krainie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie odczuwa chłodu. Zaciekawiona rozejrzała się i na brzegu małego stawku zobaczyła małe, szare kaczątko siedzące na brzegu gniazda. Jego bracia i siostry były zórciutkie jak słońce. Brzydkie kaczątko wyglądało na odrzucone przez resztę stada. Dziewczynka wzruszyła się jego losem i powiedziała mu, że nie powinno przejmować się swoim wyglądem, bo w przyszłości wyrośnie na pięknego łabędzia i wszyscy będą go podziwiać. Zwróciła też uwagę małym kaczątkom, że nie należy wyśmiewać się i dokuczać innym, gdy ktoś nie jest najładniejszy. W tym momencie noga utkwiała jej w błocie, a bucik się trochę zsunął i w jednej chwili znalazła się znowu na strychu. Nagle usłyszała czyjeś kroki. To tata wchodził na górę. Szybko znalazła skarpetki. Okazał się, że tata przyszedł po choinkę, zapytał ją, czy pomoże ubierać świąteczne drzewko. Dziewczynka nie mogła się doczekać tej chwili, ale ciekawość, co się stanie dalej, gdy złoży buciki, zwyciężyła. Powiedziała, że przyjdzie za chwilę. Po wyjściu taty od razu włożyła czarodziejskie buciki i przeniosła się do baśni *Dzikie łabędzie*. Pojawiła się w momencie, gdy Eliza miała umrzeć. Robiła wtedy ostatnią bluzę z pokrzyw. Pola nie wiedziała, co zrobić, czas upływał, zaczęła krzyczeć z całych sił: Eliza jest niewinna!. Niestety, jej głos nie mógł się przebić do ludzi, którzy krzyczeli:

- Zabić ją, zabić! To czarownica! Zniszczyć jej te bluzy!

Pola stanęła obok biednej Elizy i krzyknęła z całych sił:

- Ona jest niewinna!

Lecz nikt jej nie wierzył. Nagle pojawiła się Królowa Śniegu i śnieżycą rozgoniła niebezpieczny tłum ludzi. Pola była zdumiona. Królowa powiedziała, że ona pomoże

zmienić jej serce, dlatego wkroczyła do innej baśni, by pomóc w tej trudnej sytuacji. Z karocy królowej wysiadła Gerda, dziewczynki ucieszyły się ze spotkania. Wspólnie opowiedziały swoją przygodę Elizie, a ona mogła spokojnie uratować swoich braci, rzucając koszule z pokrzyw na łabędzie, które nadleciały. Wszyscy byli szczęśliwi. Dziewczynki się pożegnały. Pola zdjęła buciki i znalazła się na strychu. Siedziała dłuższą chwilę. Myślała o swoich przygodach, o dobrych uczynkach, o tym, że kiedy pomagamy innym, to pomagamy sobie, bo jesteśmy lepsi, a bez przyjaźni i miłości trudno jest przejść przez życie.

Aleksandra Langer

Colineczka

W baśniowych czasach, na Śląsku żyło bardzo dużo niezwykłych, magicznych istot - pierońskich albo kamrackich beboków. Istnieje szereg legend na ich temat, które są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jednak historia, którą zna praktycznie każdy Ślązak to przygody Colineczki. Każdy Ślązak zna jej postać, a niektórzy nawet przypuszczają, że ją spotkali. Niestety nikomu nie udało się tego udowodnić. Ja opowiem wam jej najprawdziwszą historię.

W Chałupkach, śląskiej wsi leżącej na granicy polsko-czeskiej, po dziś dzień są meandry rzeki Odry. Gdzieś na tym obszarze, lecz nikt nie wie dokładnie gdzie, rosło drzewo inne niż wszystkie inne. Niektórzy mówią, że je widzieli - wyglądało wyjątkowo, inni zaś twierdzą, że gdy przechodzili obok niego, słyszeli śpiewy i śmiechy małych dzieci. W tym drzewie żyła sobie mała Colineczka. Wiecznie szczęśliwa, miała prawie cal wzrostu. Dziewczynka była rodowitą Ślązacką. Kochała bardzo swoje gniazdko znajdujące się w korze tego magicznego drzewa. Była bardzo życzliwą osobą, zawsze pomagała swoim kamratom - mieszkańcom pobliskich terenów. Za dnia dziewczynka siedziała głównie w swoim domku lub na gałęziach drzewa i obserwowała stamtąd ludzi. Kiedy księżyc wschodził, magiczna istota opuszczała swoje miejsce zamieszkania i wyruszała na długie spacery.

Pewnej nocy postanowiła się wybrać na długą wycieczkę, spełnić swoje marzenie, czyli zwiedzić historyczny pałac w Chałupkach. Piękny, ogromny zamek, o którym pierwsze wzmianki pochodzą z 1373 roku z dokumentów księcia opolskiego Jana. Colineczka była zachwycona budowlą oraz parkiem przypałacowym. Obiecała sobie, że jeszcze tam powróci. Była ciepła, lipcowa noc. Niestety w jednej chwili niebo zakryły czarne chmury, zaczął padać deszcz, a ciemność co chwilę rozjaśniały błyski - nadciągała burza stulecia. Malutka Colineczka schroniła się na gałęzi najwyższego drzewa. Straszliwa wichura złamała konar i dziewczynka wpadła do Odry. Ostatkami sił trzymała się gałęzi. Na szczęście udało się jej dotrzeć do brzegu, jednak nie wiedziała, gdzie dokładnie jest.

Las wydawał się mroczny, a zewsząd dobiegały różne odgłosy. Przerażona dziewczyna w pewnym momencie usłyszała za sobą jakieś kroki. Gwałtownie się obróciła i przestraszyła się tego, co zobaczyła. Nie był to człowiek, tylko raczej jakaś istota nadprzyrodzona. Jej oczom ukazał się mężczyzna. Nie był wysoki, ale postać od razu wydała się jej nieprzyjacielska. Był to Utopek, ubrany w czapkę oraz kubrak,

w kolorach czerwonym i zielonym. Zgarbiona postać z bardzo brzydką twarzą pełną zmarszczek i wylupiającymi oczami, trzymała cygarete (papieros). Mieszkał w Odrze. Na dnie rzeki miał swoje królestwo. Z zasłyszanych rozmów ludzi wiedziała Colineczka, że Utopki zwabiały ludzi, a potem topiły lub więziły ich pod wodą. Po chwili ciszy stwór odezwał się przerażającym głosem:

- Cześć mała, wyglądasz uroczo. Może chciałabyś zostać tu ze mną? Pokażę ci, jak wygląda moje mieszkanie na dnie rzeki. Chodź ze mną, zamieszkasz tu.

W tym momencie Colineczka zamarła i nie wiedziała, co zrobić - uciec czy zostać. Postanowiła jednak uciekać. Pędziła, ile miała sił w malutkich nóżkach. Na szczęście przerażająca istota jej nie dogoniła.

Rozpogodziło się. Zmęczona Colineczka usiadła na chwilę na kamieniu. Co chwilę myślała, że słyszy jakieś straszne odgłosy. Szła przez chwilę w ciszy, nasłuchując nasilających się dźwięków. Poślizgnęła się i wpadła do głębokiej dziury. Spadała długo. W końcu się zatrzymała na twardej ziemi. Ujrzała podziemie, ogromną ilość korytarzy. Po chwili zorientowała się, gdzie jest - była to stara opuszczona kopalnia. Na Śląsku pełno było kopalń, w których ciężko pracowali ludzie, wydobywając węgiel - śląskie złoto. Nagle z jednego z korytarzy wypełzła jakaś postać, nie był to człowiek, więc Colineczka najadła się strachu. W ciemnościach zobaczyła stwora z czymś świecącym na głowie. Odgłosy i cień zbliżały się wielkimi krokami. W końcu dziewczynka zobaczyła w całej okazałości to, co budziło w niej tyle wątpliwości. Był to mieszkający w kopalniach Bazyliśzek ze srebrną koroną na głowie. Potwór zobaczył na szyi dziewczynki srebrny łańcuszek. Mała nie zdążyła się obrócić, Bazyliśzek już był obok. W ostatnim momencie pojawił się ktoś, kto ją uratował. Wystraszona dziewczynka po chwili namysłu zapytała:

- Kim jesteś? Nie znam cię, ale uratowałeś mi życie.

- Na pewno mnie kojarzysz, ale nie pod taką postacią. Jestem Skarbnik, duch kopalni, który ratuje życie dobrym ludziom w niebezpieczeństwie. Znam cię, jesteś bardzo życzliwą osobą, więc ci pomogłem, ratując od Bazyliśzka.

- Oczywiście, że cię znam. Każdy Ślązak cię zna. Dziękuję bardzo za uratowanie mi życia. Nie wiem, skąd się tu wzięłam, uciekałam przed Utopkiem.

- Spokojnie, Colineczko. Najważniejsze, że nic ci nie jest. Na pewno jesteś głodna po tylu przygodach. Dzisiaj niedziela, więc jak w każdej śląskiej rodzinie przystało na obiad jest rosół, kluski, rolady i modro kapusta - rzekł Skarbnik.

- Dziękuję bardzo. Jest bardzo pyszne. Zaraz muszę wracać do domu, jednak nie wiem, jak tam trafić. Nawet nie wiem, gdzie teraz dokładnie jesteśmy. Drogi Skarbniku, znasz może drogę do Chałupek? - zapytała Colineczka.

- Znam drogę na skróty. Oczywiście, że cię zaprowadzę. Chodź za mną - poprosił duch kopalni.

Poszli w jeden z korytarzy. Szli jakiś czas i po chwili dotarli do stalowej bramy. Okazało się, że są w podziemiach chałupeckiego zamku, przed bramą stalową łączącą zamek w Chałupkach i zamek w czeskim mieście Bogumin. Oba zamki należały do rodu Rothschildów. Po pożegnaniu się ze swoim nowym przyjacielem dziewczynka wróciła do swojego drzewa.

Historia Colineczki pokazuje, że warto spełniać marzenia, choć czasami napotykamy wiele trudności. Jeśli jesteś życzliwym człowiekiem, to zawsze znajdzie się ktoś, kto ci pomoże wyjść z opresji. Tak działa siła przyjaźni.

Czarodziejski kamień

Dawno temu, w przepięknej krainie Warmii, pośród gęstych lasów i niezliczonych jezior, była mała wieś. Tam przy polu złocistej pszenicy, w cieniu rosnącego dębu, stała niewielka drewniana chatka z błękitnymi okiennicami. Mieszkała w niej wdowa ze swoim jedynym synem Jędrkiem. Dobrze im było razem. Żyli skromnie, ale szanowali się i darzyli miłością. Matka całymi dniami na ganku wyplatała z witek leszczyny piękne kosze, które później sprzedawała na targu w pobliskim mieście. Nie było z tego majątku, ale wystarczało na pocziwe życie. Zdarzało się, że wracała z targu z nowymi chodakami dla jedynaka albo porcją świeżej wołowiny na pierogi. Jędrzek jak mógł, tak pomagał mamie. Był grzecznym i radosnym nastolatkiem. Miał kolegów z sąsiedztwa, z którymi lubił spędzać czas w lesie. Zbierali grzyby, jagody, bawili się w chowanego i podglądali dzieciocy.

Pewnego dnia, w czasie wędrowki po lesie, Jędrzek znalazł kamień. Nie był to jednak zwykły kamień jakich wiele na polu czy drodze. Ten był czarny i błyszczący. Chłopiec potarł go rękawem koszuli, żeby oczyścić z liści i trawy. Kamień nagle rozświetlił się i przed oczami Jędrka zaczęły przewijać się cudowne, kolorowe obrazy. Piękni uśmiechnięci ludzie w modnych buksach i kaftanach, wspaniałe nieznane miejsca, o których istnieniu chłopak nie miał pojęcia i różne przedmioty, których nie widział nigdy na oczy. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Tarł znalezisko i za każdym razem widział w nim niesamowite zjawiska, magiczne sztuczki i świat, którego nie znał. Uradowany, schował kamień do kieszeni portek i biegiem pognął do domu.

- Mamuś! Mamuś! Zobacz, co znalazłem! - wołał już od sieni.

Mama stała przy kuchni i smażyła ulubione przez syna plięnce*.

- Pokaż, synku, cóż to za skarb znalazłeś - powiedziała, wytarła ręce w kitel i pochyliła się nad otwartymi dłońmi syna.

- Przecież to kamień - stwierdziła ze zdziwieniem.

- Mamuś! Popatrz, to czarodziejski kamień! - odrzekł Jędrzek z wypiekami na twarzy i zaraz potarł czarną bryłkę rękawem.

Oczom zdumionej kobiety ukazały się barwne obrazy, z których nic nie rozumiała. Widziała kobiece stroje, kolorowe bogato haftowane chusty, zdobne kabaty i sznurowane trzewiki, jakich trudno szukać na targu w miasteczku. Westchnęła tylko i odwróciła się, żeby zdjąć plięnce z pieca. Tego dnia, jak nigdy wcześniej, obiad upływał w milczeniu. Chłopak cały czas wpatrywał się w kamień i co chwilę śmiał się radośnie. Matka tylko kiwała głową. Dni mijały, a Jędrzek coraz rzadziej rozmawiał z mamą, nie spotykał się już z kolegami, prawie nie wychodził ze swojej izby. Wciąż wpatrywał się w czarodziejski kamień, tak jakby w nim było jego prawdziwe życie. I nie wypuszczał go z rąk.

Z czasem stał się nerwowy, opryskliwy, odpowiadał półsłówkami, przestał pomagać matce i albo cały czas siedział na łóżku albo znikał na całe dni nie wiadomo gdzie. A kiedy wieczorem pojawiał się w domu, szybko przemykał do swojej izby. I marzył o tym pięknym, kolorowym, tajemniczym świecie z kamienia. Chciał być taki

jak ludzie, których oglądał, być tam gdzie oni i mieć to samo. Prawie nie spał, a nawet jeśli zasypiał, to na krótko i zawsze z kamieniem przytulonym do twarzy.

- Synku, odłóż kamień! Zjedz coś. Mam w duchówce* dzyndzałki* - prosiła zatroskana matka. Ale zwykle odpowiadała jej cisza.

Czasem tylko słyszała:

- Zaraz! Potem! Nie mam czasu!

Albo też:

- Daj mi wreszcie spokój!

Kobieta nie poznawała już własnego dziecka. Martwiła się o niego. Nie jadł, nie dbał o siebie, chodził wciąż w tych samych portkach, a sińce pod oczami świadczyły o tym, że również nie sypiał. Patrzył się tylko ciągle w ten dziwny kawałek skały. Nie wiedziała, jak mu pomóc. Siedziała samotnie przy stole, a łyżka kapąły do zimnej już karmuszeki. Traciła powoli nadzieję, że kiedykolwiek odzyska dawnego ukochanego jedynaka.

Aż nastał ostatni dzień lata. Korona dębu pokryła się złotymi kolorami, bociany już dawno odleciały, a słońce coraz szybciej chowało się za horyzont. Jędrzek siedział nad brzegiem jeziora, wpatrywał się w swój kamień i nawet nie zauważył piękna nadchodzącej jesieni. Kiedy wracał do domu przez most, nagle potknął się o wystający z deski gwóźdź, a z jego rąk wypadł czarodziejski kamień. Chłopak z przerażeniem patrzył, jak jego skarb znika pod powierzchnią wody. Wskoczył za nim, ale po krótkiej chwili wypłynął. Stracił swój bezcenny kamień bezpowrotnie. Przemoczony i zrozpaczony wrócił do domu i szlochając rzucił się na łóżko. I zasnął. I spał, spał, spał...

Tylko mama czasem zaglądała do niego i otulając go pierzyną, szeptała czule:

- Śpij Jędrus, śpij. Sen dobry na wszystko.

Kiedy chłopak wreszcie się obudził, usiadł na łóżku i rozejrzał się dookoła. Poczł jakby wrócił z dalekiej podróży. Zaczęło docierać do niego, ile ważnych rzeczy stracił, zapatrzoney w czarodziejski kamień. Zrozumiał, że świat, który w nim widział, był złudny i odległy. A ten prawdziwy jest tu, wśród bliskich mu osób i miejsc. Przegapił lato, ominęły go sianokosy, nie widział, czy w gniazdku pod strzechą wykluły się jaskółki a najgorsze, że tak bardzo zranił swoją mamę i zawiódł przyjaciół. Łzy zakręciły mu się w oczach. Wiedziony zapachem duszonej kapusty, wstał i poszedł do kuchni. Mama krzątała się przy stole. Jędrzek podszedł i mocno ją przytulił.

- Wybacz mi, mamus - wyszeptał łamiącym się głosem.

- Już dobrze, dobrze. Ważne, że wróciłeś synku - powiedziała z czułością i mocno go objęła.

- plńce - placki ziemniaczane
- duchówka - piec
- dzyndzałki - pierogi
- karmuszek - zupa gulaszowa

Dar morza

Dawno, dawno temu, za górami, za wieloma jeziorami położone od zawsze było wielkie morze, Morze Bałtyckie. Od zawsze niesamowicie tajemnicze i magiczne. Jednym z jego tajemniczych stworzeń była ryba. Magiczna ryba.

Na imię jej Rozalia. Jej nadzwyczajną zdolnością było zamienianie się w człowieka. Mieszkała w morzu już od wieków, a jeszcze nikt do tej pory nie odkrył jej tajemnicy. Tak myślała...

Rozalia każdy przytyływ przesiadywała na wyspie Wolin. Kiedy połowy księżyca nie było widać, Rozalia płynęła na brzeg wyspy i siedziała tam do końca przytyłwu. A gdy wraz z księżycem nadchodził odpływ, płynęła z powrotem do swojego podwodnego domu.

Pewnego dnia, kiedy Rozalia spała, nastąpił przytyływ. Obudziła się, ponieważ poczuła, że woda bardzo dziwnie i gwałtownie się rusza. Już zmierzała w stronę wyspy, kiedy silny prąd wodny porwał ją w drugą stronę. Obudziła się na nieznanym brzegu, już w postaci człowieka. Kompletnie nie wiedziała, jak to się mogło stać. Nie wiedziała również, gdzie się znajduje. Wstała, otrzepała się z piasku i poszła w stronę lasu położonego daleko za pasem wydm. Było ciemno i zimno, a Rozalia nie miała żadnego schronienia. Postanowiła położyć się na gęstej trawie i przenocować tę noc pod gołym niebem.

Rano obudziła się w ciepłym, skromnym pomieszczeniu. Obok łóżka stała starsza kobieta z gorącą herbatą w ręce. Dziewczyna była przerażona, a zarazem ucieszona ciepłem małej izdebki. Przedstawiła się, a staruszka nic nie mówiąc, podała jej gorącą herbatę. Wypiła cały napój ze smakiem. Już po chwili zaczęła się dziwnie czuć. Wkrótce zasnęła głębokim snem.

Obudziła się w ciasnej, zimnej izbie, zamkniętej na wiele zamków. Zewsząd spozierała ciemność, w której trudno było cokolwiek dostrzec. Po długim czasie w drzwiach pojawiła się staruszka, która oświetlona promieniami płynącymi z pozostałej części chaty, tylko zachichotała i powiedziała, że zna całą prawdę o Rozalii, o tym kim jest i jakie niezwykle umiejętności posiada. Powiedziała jej również, że nienawidzi Morza Bałtyckiego. Ochryplym głosem rzekła:

- Morze jest okrutne, ale dziś dało mi swój dar! Nadszedł czas zemsty!

Rozalia, nic nie rozumiejąc, siedziała zziębnięta i głodna przez kolejne dni. Nie wiedziała, kiedy dzień zmienia się w noc, a noc w dzień. Dookoła niej była tylko rozpaczliwa ciemność.

Pewnego dnia w skromnej chacie pojawił się nowy głos. Był to głos mężczyzny, do którego starowinka mówiła: Leszku. Głos Leszka na dobre zagościł w chacie okrutnej kobiety. Staruszka z wielką czułością obchodziła się ze swym młodszym synem. Mówiła do niego, niczym do kilkuletniego dziecka. Rozalia nasłuchiwała odgłosy z górnej części budynku i ryzykując wszystko, postanowiła krzyczeć z całych sił, gdy tylko zorientowała się, że w chacie został jedynie Leszek. Tego dnia usłyszała bowiem Rozalia, że matka wybiera się do lasu na jagody. Zdezorientowany mężczyzna chwycił siekiere do rąbania drzewa i rozwalił nią ścianę. Rozalia, zasłaniając twarz przed

promieniami, które oślepiły dziewczynę, rzuciła się prosto w ramiona pięknie zbudowanego młodziana. Płacząc, opowiedziała mu historię swojego uwięzienia.

Zauroczony urodą dziewczyny Leszek, przedstawił Rozalii historię tragicznej śmierci swojego brata na morzu. Młody Bolesław parał się połowem dorsza. Pewnego razu podczas sztormu jego łódź przewróciła się do góry dnem, a ciało jego brata nigdy nie zostało zwrócone matce przez morze.

Po powrocie starowinki z lasu Leszek wyznał matce, że uwolnił piękną dziewczynę z podziemi chałupiny. Staruszka, widząc zauroczenie syna dziewczyną, z niechęcią zgodziła się na ich wspólną drogę, jednak postawiła pewien warunek. Musieli przekonać ją w ciągu jednego dnia, że morze nie jest złe.

Tego samego dnia cała trojka wypłynęła w rejs łodzią na połów bursztynów. W sieci pojawiły się nie tylko miodowo - złote grudki, ale również mnóstwo dorszów. Rozalia doskonale orientowała się, w jakich miejscach jest ich najwięcej. Jedna z ryb miała w skrzelach guzik, który matka niegdyś przyszyła swemu młodszemu synowi Bolkowi do czapki. Matka zrozumiała, że morze zabrało jej syna, ale dało córkę. Po raz pierwszy na jej lichach pojawił się uśmiech.

Z kolejnymi dniami staruszka miała coraz mniej żalu do morza. Młodzi układali sobie życie, a wyjątkowo udane połowy dorsza sprawiły, że ubogie dotąd życie Leszka i matki zmieniło się zupełnie. Młodzi żyli długo i szczęśliwie, a starowinka pielęgnowała z czułością swojego pierwotnego wnuka, któremu na pamiątkę dano imię Bolesław.

Ewa Bartkowiak

Dobry człowiek

Był zimny, grudniowy wieczór. Ludzie już zapalali w domach światła. Idzie zmęczona mała dziewczynka. Trzyma w rękach koszyczek osłonięty chusteczką. Śnieg skrzypi pod nogami, a wiatr świszczy coraz głośniejsze. Idzie naprzód, próbując przedrzeć się przez wichurę. Dzieci patrzą na nią z pogardą. Chuda, lekko zgarbiona, ma na sobie brzydką, starą sukienkę. Zielonym szorstkim szalem ociera zmęczoną twarz.

Podchodzą do niej dzieci. Śmieją się z niej i śpiewają prześmiewcze rymowanki. Wyrzucają jej z ręki koszyk, z którego wypada bochenek chleba. Dzieci kradną jedzenie i uciekają.

Idzie dalej, nie mając już nic. Mija pomnik Bamberki na poznańskim Rynku. Patrzy na jej ciężką pracę i myśli o tym, jak chodzi biedna z wiadrami. Nikt jej nie pomaga. Dziewczynka usiadła ze zmęczenia na śniegu. Nagle patrzy, a w małej kamienicy nadal świeci się światło. Podchodzi bliżej i widzi sklep z tradycyjnymi poznańskimi potrawami Patrzy przez szybę na pusty już sklepik. W brzuchu zaczęło jej burczeć, bo była głodna. Weszła do środka. We wnętrzu stał stary sprzedawca.

- Czego tutaj?! Napisane, że zamknięte! - krzyczy mężczyzna.

- Ma pan może trochę chleba? Albo chociaż kawałek pyrki?

- Cóż to za dzieciak! Wchodzisz tu brzydoto bez zapowiedzi i jeszcze jak żebrak o jedzenie błagasz?! Wynocha!

Dziewczynka wyszła ze sklepu. Przypomniała sobie, że musi iść do domu, więc grzęznąc w śniegu, szła przed siebie.

Spotkała kobietę. Ubrana była w bogato zdobioną suknię, skórzane trzewiki i ciepłe rękawiczki. Z drwiącym uśmiechem spojrzała na brzydkie dziecko.

- Ma pani może trochę chleba? - spytała dziewczynka.

- Nawet gdybym miała kilka bochenków, nic bym ci nie dała. Takie brzydactwa jak ty nie powinny istnieć! Kto wie, czy jakiejś zarazy nie przenosisz!

I kobieta odeszła.

Dziewczynka poszła dalej. Wiedziała, że do domu ma jeszcze długą drogę. Jeszcze nigdy wcześniej nie była tak głodna. Bezlitosny wiatr uniemożliwił jej przemieszczanie się. Przed sobą ujrzała starszego mężczyznę. Był biednie ubrany i brudny. Trzymał na sznurku dwa łagodne koziołki.

- Witaj, dziecko. Dlaczego samotnie chodzisz po ciemnym mieście?

- Muszę dostać się do domu, ale jest bardzo daleko. Jestem tak strasznie głodna.

- Jestem biedny. Nie mam wiele, ale dam ci tyle, ile mam. Została mi tylko pyra z gzikami.

Mężczyzna podał dziecku porcję ziemniaka z białym serkiem. Szczęścia dziewczynki nie dało się opisać. Starła się jak najszybciej zjeść to, co ofiarował jej nieznajomy.

- Jest śnieżycy, a więc sama nie dojdiesz do domu. Jesteś mała, dlatego możesz wsiąść na któregoś z moich koziołków, a ja odprowadzę cię do domu.

I tak też dziecko dosiadło koziołka. Zmęczone przespało prawie całą drogę. Gdy byli już blisko domu dziewczynki, ta nagle zapytała mężczyznę:

- Dlaczego ludzie nie chcą sobie pomagać?

- To zależy... Czasami nie mają sumienia, czasami nie rozumieją potrzeb innych. Są też tacy, którzy nie chcą odstawać od innych ludzi albo tacy, którzy nie akceptują innych od siebie. Ale nie można na nich zważać...

Pamiętaj, bądź dobra dla wszystkich.

Te słowa wypowiedziane w mroźną wigilijną noc przez nieznajomego staruszka dziewczynka postanowiła wziąć sobie do serca i zapamiętać na całe życie.

Dys i Eliza

Dawno, dawno temu za górami, za lasami i siedmioma jeziorami w przepięknej lessowej krainie, w dolinie rzeki Ciemięgi żył pewien młody chłopak. Miał na imię Dys. Nie był bogaty, a jego chata, położona na skraju rozciągających się w nieskończoność lasów kozłowieckich, wyglądała bardzo ubogo. Na co dzień nosił słomiany kapelusz otoczony czarną wstążką. Białą, długą, płócienną koszulę miał wyłożoną na spodnie, a ich nogawki schowane były w cholewy wysokich butów z podkutymi obcasami. W odświętne dni koszulę przewiązywał pasem ozdobionym przekładanymi przez okrągłe otwory tasiemkami, cekinami i koralami, następnie ubierał krótki kaftan, upiększony podobnie jak pas. W kapelusz wkładał kwiaty i pawie pióro.

Tak wystrojony w najlepsze swoje ubranie, wybrał się do miasta w poszukiwaniu pracy. Pomyślał, że może na Zamku Królewskim w Lublinie znajdzie jakieś zajęcie. Akurat poszukiwano stajennego. Chłopak od razu zdecydował się na tę posadę. Bardzo lubił wszystkie zwierzęta, zatem praca z końmi nie wydawała mu się trudna. Zamieszkał w małym pokoiku przy stajniach. Często, z rozmarzonym spojrzeniem podziwiał bogactwo, potęgę i majestatyczność królewskiej budowli.

Pewnego dnia, przechadzając się wokół zabudowań gospodarskich, zauważył małego słowika ze złamanym skrzydełkiem, który cichutko popiskiwał. Chłopak zabrał ptaszka i troskliwie się nim opiekował. Ukrył go, gdyż dzikie, czarne łabędzie, gwardziści króla na jego rozkaz więzili wszystkie ptaki na terenie królestwa. Władca, niegdyś dobry, a od pewnego czasu okrutny, obawiał się kłątwy rzuconej przez złą wiedźmę, która powiedziała mu, że straci tron przez ptaka, a ufać może tylko jedenastu czarnym łabędziom. Słowik, nabierając sił, zaczął przepięknie, choć bardzo cichutko śpiewać przy różnych okazjach swojemu opiekunowi. Dys był nim zachwycony i z czasem słowik stał się jego najlepszym przyjacielem. Praca w stajniach był bardzo ciężka, a śpiew zabierał go do utęsknionej krainy marzeń.

W sierpniową niedzielę podczas jarmarku na Starym Mieście, Dys zauważył przepiękną dziewczynę, przechodzącą właśnie przez Bramę Krakowską. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie wiedział jeszcze, kim jest piękna nieznajoma, ale marzył o niej przy śpiewie słowika. Wkrótce zorientował się, że piękną dziewczyną z jego snów jest księżniczka Eliza. Zdruzgotany tą wiadomością wrócił do swojej chaty w dolinie Ciemięgi i pogrążył się w rozpacz. Jedynym pocieszeniem był śpiew słowika. Wiedział, że nigdy nie będzie jej godny. Zaczął marzyć o bogactwie i urodzie. Pewnej nocy, gdy zasnął, siedząc nad rzeką, miał dziwny sen. Obudziło go trzaśnięcie gałązki i nagle... ujrzał młodą kobietę wyglądającą jak matanka, czyli laleczka, która może spełniać wszystkie marzenia. Na głowie miała piękny wianek z barwnymi kwiatami. Ubrana była w tradycyjny strój: koszulę białą jak śnieg z wyszywanym kołnierzem i rękawami oraz spódnicę u dołu ozdobioną pasami błyszczących tasiemek i koronek. Stała przed nim w gorsecie przepięknie zdobionym koralami i cekinami oraz w swoich czarnych trzewikach z czerwonymi sznureczkami. Dys zapytał:

- Co tu robisz?

- Jestem tu, by spełnić Twoje marzenie - odpowiedziała tajemniczo matanka.

- Chciałbym być bardzo bogaty i piękny, żeby księżniczka Eliza się we mnie zakochała - szybko odpowiedział uradowany Dys.

- Niech się tak stanie, ale musisz mi oddać małego słowika - odrzekła laleczka.

- Mojego przyjaciela? Nigdy!!! Nie chcę bogactwa. Znikaj matanko, nikomu go nie oddam, nie jest na sprzedaż. Nie mógłbym być szczęśliwy bez niego - krzyknął chłopak.

Laleczka zniknęła, a Dys zrozumiał, co jest dla niego najważniejsze, chociaż bardzo tęsknił za wybranką swojego serca.

Wkrótce królestwo obiegła wieść, że władca organizuje konkurs dla młodych mężczyzn na magiczną potrawę, która zachwyci księżniczkę. Zwycięzca otrzyma jej rękę. Dys potrafił dobrze gotować, więc z radością przystąpił do pracy, by starać się o ukochaną dziewczynę. Przygotował dla niej swoje ulubione danie - gryczaki, czyli pierogi wypełnione nadzieniem z kaszy gryczanej i sera. Połał je śmietanką ubitą z cukrem. Razem ze słowikiem, ukrytym pod kapeluszem, pojechał na Zamek Królewski do Lublina. Stała tam bardzo długa kolejka młodzieńców z wykwintnymi daniami. Ustawił się na jej końcu i cierpliwie czekał. Księżniczce nic nie smakowało. W końcu nadeszła jego kolej. Wszyscy zdumieli się, że taki biedny, a ma odwagę ubiegać się o rękę księżniczki. Już czarne łabędzie krążyły nad nim, by go wtrącić do lochu, ale księżniczka była zaintrygowana zapachem i wyglądem potrawy. Gdy jej spróbowała, wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Po chwili ciszy Eliza zawołała:

- Ale to pyszne! Czegoś podobnego nigdy nie jadłam!!!

Wówczas rozległ się cudowny śpiew, jakiego od dawna nikt w królestwie nie słyszał. Nagle, król upadł na ziemię. Otoczyły go czarne łabędzie. Słowik nie przestawał śpiewać. Coś potoczyło się po zamkowych schodach. Był to kawałek szkła, który wbił się kiedyś w serce króla. Pochodził on z lustra należącego do Złego Ducha. Dawno temu rozpadło się ono na tysiące drobnych kawałków. W tym samym czasie łabędzie odzyskały swoją biel. Zaklęcie złej wiedźmy też przestało działać. Król uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu lat. Poczul się szczęśliwy. Z radością oddał rękę księżniczki temu, kto przywrócił mu radość życia. Co na to Eliza? Ucieszyła się, gdyż była bardzo wrażliwa i spodobał jej się ten odważny chłopak, który podążał za swoimi marzeniami.

Kilka dni później na Zamku Królewskim w kaplicy Trójcy Świętej odbył się ślub, a potem huczne wesele. Wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Król stał się bardzo dobrym władcą, a łabędzie pomagały wszystkim mniejszym ptakom w królestwie. Młodzi zamieszkali w wybudowanym dla nich Pałacu w Kozłówce, niedaleko starej chaty Dysa. Lubili się przechadzać po leśnych ścieżkach i podziwiać przepiękne krajobrazy doliny rzeki Ciemięgi. W wąwozie, w skałach lessowych wyrzeźbili swoją historię. Słowik wszędzie im towarzyszył.

Dywanik babci Katarzyny

Bardzo dawno temu we wsi, w środkowo-wschodniej Polsce, pomiędzy rzeką Muchawką a Helenką, mieszkała biedna rodzina. Dom znajdował się w gęstwinie lasu, gdzie zamieszkiwało kilka rodzin. Mieszkańcy tam żyli w zgodzie z naturą, nawzajem się wspierali i pomagali sobie. Zajmowali się rolnictwem, hodowali zwierzęta, pszczoły, sadzili sady czereśniowe i jabłkowe. Lasy obfite były w grzyby, jagody i leśne maliny. Kobiety zbierały owoce lasu i zawoziły na targ do miasta. We wsi mieszkała rodzina z małym chłopcem - Staszkiem. Stasiu biegał od rana po podwórku, pomagał swojemu ojcu przy pszczołach albo w polu. Miał on kochającą mamę i babcię, która wiele czasu z nim spędzała. Mały Staś chodził z babcią zbierać zioła bo babcia zajmowała się zielarstwem. We wsi nie było lekarza i często leczyła ludzi ziołami.

Pomiędzy zagrodami a lasem, który oddzielał mieszkańców od kolejnej wsi stał ogromny krzyż. Postawili go ludzie w czasach gdy panowała we wsi zaraza tyfusa. Krzyż był wysoki, drewniany, stał pomiędzy dwiema pięknymi lipami. Ludzie znosili tam kwiaty i modlili się pod nim, kiedy groziło im niebezpieczeństwo albo choroba. Babcia Katarzyna zajmowała się także tkaniem gałgankowych dywaników, rozkładała krosna w kuchni, gdzie stał ogromny piec, a chłopiec uwielbiał przyglądać się babci. Leżał sobie przy piecu, słuchając babcinych opowieści. Pewnego dnia, gdy jego rodzice pojechali wozem na targ do miasta, on został z babcią. Babcia rozłożyła krosna i zaczęła tkąć piękny dywanik. Używała do tego najpiękniejszych różnobarwnych materiałów i gałganków. Nagle babcia powiedziała do Stasia:

- Kochany wnusiu, kiedy mnie już nie będzie, a ty opuścisz ten dom i wyjedziesz, zabierzesz ze sobą ten dywanik i on przyniesie ci szczęście i dostatek. Kiedy rozłożysz go w swoim domu, zapanuje tam miłość i radość.

- Babciu, przecież ja nie chce stąd odchodzić - powiedział chłopiec ze łzami w oczach.

Kobieta rozplakała się i odrzekła;

- Stasiu, wyjedziesz stąd i nigdy już nie wrócisz, a swoją ciężką pracą zdobędziesz szczęście i dostatek.

Chłopiec zmarszczył brwi i nic z tego nie zrozumiał. Babcia wręczyła mu skończony dywanik, a on zwinął go i schował. Staś kochał swoją babcię i wierzył jej jak nikomu na świecie.

Kiedy skończył szesnaście lat postanowił wyjechać do rodziny na południe Polski, do Mielca. Tu powstała fabryka samolotów, a marzeniem chłopaka była praca w niej. Najpierw poszedł do szkoły. Pod bacznym okiem ciotki ukończył ją i dostał pracę w fabryce. Poznał tam śliczną i dobrą dziewczynę o gołębim sercu. Pobrali się i Staś został w Mielcu na zawsze. Tu pracował i założył rodzinę, w której był szczęśliwy. W ich domu znalazł miejsce piękny, kolorowy dywanik od babci. Każdy kto ich odwiedzał, był ciepło przyjęty. Dom był pełen ciepła i miłości. Stasiowi dobrze się wiodło, ciężko pracował ze swoją żoną. Mieli dwie córeczki, a on wierzył, że jego biedne życie odmieniło się przez dywanik od babci.

Prawda jest taka, że babcia dobrze znała swojego wnuczka i wiedziała, że jest pracowitym i upartym chłopcem. A kiedy opuści biedną wieś, będzie ciężko pracował to osiągnie wszystko, czego zapragnie. Babcia Katarzyna wiedziała, że ciężka praca, pokora i uczciwe życie to klucz do sukcesu, a nie magia ukryta w dywaniku. Staś zrozumiał to z czasem. Zawsze raz w roku odwiedzał grób swojej babci, chociaż był bardzo daleko od jego domu a podróż zajmowała wiele godzi, zabierał tam swoje dzieci i wnuki.

W nieistniejącej już wsi nadal stoi wielki krzyż, nie każdy jest w stanie tam trafić, bo las zarasta ślady wsi...

Ci, którzy pamiętają czasami stawiają tam nadal świeże kwiaty.

Dywanik od babci został w rodzinie i jest ważną pamiątką, ale najważniejszy przekaz i motto życiowe Staś przekazał swoim dzieciom i wnukom: Ciężka praca popłaca.

Cyprian Sikora

Dzień Słonecznika

Kraszów jest niewielką wioską. Wśród pól i łąk rozciąga się krajobraz pagórkowaty, a nuta ciszy zamyka się w głębinach tutejszych stawów. Urokliwy pejzaż sprawia, że klimat służy każdemu, kto tutaj przybywa. Wśród malowniczego terenu, poruszają się swobodnie zwierzęta. Tam bocian klekocze, a motyl na maku porusza swoimi kolorowymi skrzydłami.

Jak co roku, gdy zbliża się lato, w dolinie kraszowskiej odbywa się festyn z okazji Dnia Słonecznika. Zapach kwiatów słonecznika unosi się nad całą okolicą. Ich żółte, promienne twarze wirują po całej dolinie. Mieszkańcy wioski wraz z sołtysem przygotowują poczęstunek, kiermasz, loterię i zabawę taneczną trwającą do białego rana. W organizacji festynu chętnie pomagali dwaj bracia - Ludwik i Piotr. Piotr był wyższy i dobrze zbudowany, dlatego dzieci wołały z nim nie zadzierać. Ludwik był młodszy i spokojniejszy.

- Chodźmy, Ludwiku, zobaczyć, jak wyglądają przygotowania do festynu - powiedział zadowolony Piotr.

Udali się w stronę starego dębu, pod którym stała szopa, w której sołtys trzymał swoje skarby.

- W czym możemy pomóc? - zapytali chłopcy.

- Super, że jesteście. Mamy jeszcze wiele do zrobienia - odpowiedział zadowolony sołtys.

Chłopcy zabrali się czym prędzej do pracy. Montowali namioty, układali stoliki. Skoczna muzyka, typowa dla tego regionu, sprawiała, że pracowało się szybko i przyjemnie. Słońce coraz mocniej dawało się we znaki. Było gorąco.

- Ludwiku, przynieś coś do picia, bo padam z nóg! - zawołał spragniony Piotr.

- Ale ty też masz nóżki i idź sobie sam, bo jestem zajęty - odpowiedział Ludwik.

Między chłopcami doszło do ostrej wymiany słów.

- To panom już podziękujemy. Nie chcę tutaj żadnej kłótni - zawołał z oddali sołtys.

Na wezwanie sołtysa chłopcy musieli opuścić boisko. Kierując się w stronę domu, wytykali sobie błędy. Nie zauważyli nawet, że minęli mamę, która krzątała się w ogrodzie. Miła woń lawendy, jak mgła unosiła się wszędzie.

- Oni nigdy chyba się nie pogodzą, zawsze się muszą kłócić o byle co! - te myśli nurtowały mamę od dłuższego czasu.

Nie czekając dłużej, podjęła decyzję, iż chłopcy muszą doświadczyć przygody, która zmieni ich relacje.

- Idźcie pojeździć na rowerach. Udajcie się drogą czereśniową na wzgórze kraszowskie. Jest tam kamień diabelski, ogromny granitowy głaz, który ugrzązł między dębami. Legenda mówi, że w wigilię Dnia Słonecznika nieliczni mogą doświadczyć historii, która wydarzyła się kilkaset lat temu. Wtedy może zrozumiecie, iż nie warto się kłócić, bo czart czerpie siłę ze słabości ludzkiej.

Chłopcy tak się spieszyli, że nie zauważyli, że biegł za nimi Wafel - wielki czarny owczarek. Dostrzegli już z daleka wielki kamień na wzgórzu.

Nagle zerwał się wiatr. Piękne łany pól przykryła ciemna noc. Rozpętała się burza. Dookoła widać było błyski piorunów. Ziemię ogarnął mrok. Lucyfer użył swych czartowskich mocy i sprawił, że pogoda się zmieniła. Niszczycielska moc, dym i duszący czad unosił się nad nimi. Potężny kamień odsunął się na kilkaset metrów, a zza niego wydostała się straszna postać, która miała ogromny ogon i cztery łapy. Piotr i Ludwik krzyknęli tak głośno, że od razu zostali dostrzeżeni przez potwora. Nagle zostali przeniesieni do podziemia, w którym wcześniej był on uwięziony.

- Gdzie my jesteśmy? - mówił zdenerwowany Ludwik.

- Uspokój się bracie! Zaraz coś wymyślę - powiedział Piotr.

Zapanowała całkowita ciemność, a wszędzie unosił się nieprzyjemny zapach. Na samą myśl, iż mieliby tutaj pozostać dłużej pojawiała się im na ciele gęsia skórka. Jednakże nadzieję przywrócił chłopcom blask migocącego światła.

- Chodźmy! To jest nasza szansa - oznajmił Piotr.

Podążali ciemnym korytarzem w stronę światła. Czuli strach i obawę, chcieli tylko wrócić bezpiecznie do domu. Jednakże to nie był koniec problemów. Przed wejściem stał dzielny ołowiany żołnierz, który oznajmił, że nie przejdą dopóki nie podadzą magicznego hasła. Ludwik wpadł na pomysł słowa, którego diabeł nigdy nie wypowiada i głośno powiedział: Przepraszam. Drzwi otworzyły się. Ujrzeni piękną salę z ogromnymi oknami. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające pejzaże wioski. Ich zachwyt przerwało szczekanie psa, które dochodziło za drzwiami.

- Wafel! Kochany piesku, to ty! - zawołał chłopcy na widok psa.

Byli bardzo szczęśliwi. Okazało się, że szukając wyjścia spod głazu, trafili do tajemnego przejścia, wykorzystywanego podczas wojny, a nawet może przez kraszowskich zbójników.

A co z kamieniem diabelskim? Diabeł chciał zniszczyć kościół, który był budowany w Międzyborzu. Rozkazał podległym czartom, aby nocą zrzuciły na niego ogromny głaz. Diabełki tak się ociągały z pracą, że nastał poranek. Dzisiaj, każdy turysta może w pobliżu małej wioski Kraszów podziwiać porzucony diabelski kamień z odcisniętą czarcią łapą. Podobno znajdują się pod nim skarby zbójnika Melchiora Hedlofffa.

Dzień Słonecznika to czas, w którym ludzie się jednoczą i dostrzegają wartość braterskiej miłości i życia zgodnego z prawami przyrody. Zegar zatrzymał się na czas przygody chłopców, która stała się dla nich lekcją życia. Zrozumieli, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Filip Tolarz

Francik i ta jedyna

Przed laty, kiedy największym skarbem Polski był węgiel kamienny, nieopodal źródła królowej rzek - Wisły, na Górnym Śląsku żył sobie stary kawaler imieniem Franciszek. Był to bardzo dobry i pobożny chłop, który nigdy nikomu nie odmówił pomocy. Nie był jednak szczęśliwy, gdyż marzył o ożenku, a dotychczas nie znalazł tej jedynej.

Pewnego dnia pod koniec szychty na kopalni, kiedy Francik miał już wypychać wagonik z węglem na powierzchnię, chłop dostrzegł wychodzącego z zawału elegancko ubranego górnika. Przetarł oczy ze zdumienia. Ów sędziwy, brodaty człowiek w czarnym mundurze i czapce z pióropuszem zmierzał ku niemu, w jednej ręce dzierżąc kilof, a w drugiej lampę górniczą świecącą na czerwono. Już wiedział, kto to, bo charakterystyczny kolor płomienia odróżniał Skarbka od zwykłych górników.

- Szczęść Boże! Czego chcesz ode mnie strażniku kopalni? - zapytał.

- Łaża po grubie i zaglondać niy moga jak ślimtosz tu na dole. Godej, co ci je, bo widza, że poradzić robocie niy umisz? - powiedział zdenerwowany Skarbek.

- Samotny jestem - odpowiedział pełen smutku i rozżalenia chłop.

- Trza ci sie wzionć do kupy, bo jeszcze co narobisz. Pomoga ci spełnić Twoi zyczeni, ale od Ciebie zależy, czy bydziesz miał baba. Mosz tytoń?

Francik dał Skarbkowi wszystkie listki tytoniu z worka zwanego pęcherzem. Ten oddał mu dwa, a resztę zaczął żuć. Po chwili zwrócił się do górnika:

- Zarozki po szychcie ciś do dom. Tam wsadź po tytoniowym listku do każdej szolki i zalej wrzątkiem. Nazajutrz zamiast tytoniu bydziesz miał dwie gryfne frele w chałpie. Bydom u ciebie, aże miesionczek bydzie w pełni. Do tego czasu musisz wybrać jedna. Jak wybieresz dobrze, to bydziesz miał libsta na całe życi, a jak wybieresz źle, bydziesz miał psińco i do końca żywota bydziesz som - powiedział Skarbek i zniknął w oddali.

Francik do końca zmiany nie wiedział, czy to, co widział, zdarzyło się naprawdę, czy mu się przyśniło. Wychodząc z kopalni, pomodlił się jeszcze do świętej Barbary na cechowni, a po powrocie do domu, zrobił tak, jak mu duch nakazał. Rano, gdy tylko otworzył oczy, zobaczył w swoim domu dwie panny krzątające się po kuchni. Sprawiały wrażenie, jakby były tu od zawsze.

- Kim jesteście? - zapytał przestraszony.

- Jak to kim? - roześmiały się panienki. - Przecież marzyłeś o towarzystwie. Dlatego jesteśmy!

- Jestem Dorota - powiedziała stanowczym głosem niewiasta przecudnej urody o długich kasztanowych włosach, pięknym rumianym licu i zadartym nosku. Trzeba przyznać, że Francik takiej kobiety jeszcze w życiu nie widział, dlatego wzroku od niej oderwać nie mógł.

- Ja mam na imię Anastazja - powiedziała nieśmiało druga niewiasta niskiego wzrostu, krągłych kształtów, z włosami schowanymi pod chustką.

Niestety Matka Natura nie była dla Stazyjki tak łaskawa jak dla Dorki, przez to też ta druga wydawała się bardziej nieśmiała i wstydliva.

Franciszek szybko przyzwyczał się do nowych współlokatorek. Dorka była piękna, toteż wpadła w oko panu domu, który niczego jej nie skąpił. Przez lata pracy na kopalni zgromadził wiele oszczędności, więc dziewczyna mogła kupować wszystko, na co tylko miała ochotę. Jej szafa pękała w szwach od haftowanych gorsetów, aksamitnych spódnic, jedwabnych fartuchów i aksamitnych pantofli. Razem z wybrankiem lubiła przechadzać się po wsi i słuchać o jego morgach ziemi. Wszyscy koledzy zazdrościli mu pięknej Dorki. Stazyja zaś nie chciała nic od Francka. Lubiła spędzać czas w domowym zaciszu. Gotowała i piekła mu różności. Na obiad były i kluski śląskie z roladą oraz modrą kapustą, i karminadle z ziemniakami czy wodzionka lub żur.

Tak mijały dni, a Francek nie mógł się zdecydować. Kamraci z kopalni doradzali mu, by wybrał Dorkę. On zaś wiedział, że tę decyzję musi podjąć sam.

Ostatniego dnia próby, gdy Francek wracał z szychty, zobaczył, jak pewna staruszka trzusi się, niosąc drewno z lasu.

- Gdzie to pani niesie? Pomogę.

- Do domu. Muszę napalić w piecu, bo wieczory już zimne - odparła starsza kobieta.

Nie czekając ani chwili, Francek pochwycił drewno, zaniósł na podwórko, a następnie porąbał i wniósł do starej chaty.

- Jak mogę ci się odwdziżyć, młodzieńcze? - zapytała kobieta.

- Pomoże mi pani w wyborze żony? - spojrzał na nią z nadzieją w oczach.

- Róże z mojego ogródka wskażą ci rozwiązanie - odpowiedziała starsza pani.

- Róże? - zapytał z niedowierzaniem Franciszek.

Staruszka już nic nie odpowiedziała, bo zajmowała się rozpalaniem ognia w piecyku, ale tajemniczo się uśmiechała. Francik więc poszedł do ogrodu, zerwał dwa najpiękniejsze czerwone kwiaty i udał się do domu.

Po wejściu do chaty obie niewiasty gorąco go powitały.

- Mam dla was prezent! - powiedział, przyglądając się im uważnie.

- Róża? To nazywasz prezentem? - dopytywała rozczarowana Dorota. - Nie masz nic innego? Naprawdę? Tak mało dla ciebie znaczą? - dodała oschle.

- Dziękuję ci, kochany Franciczku, że wracając zmęczony z pracy, pomyślałeś o mnie! - krzyknęła zadowolona Anastazja. - Siadaj do stołu i jedz, póki ciepłe.

Francek niewiele myśląc, powiedział:

- Podjąłem decyzję. Chcę dzielić swoje życie z Anastazją, bo to ona mnie kocha i troszczy się o mnie.

Wtem ziemia zadrżała, podłoga się rozstąpiła i pochłonęła Dorotę. Jasne światło rozpromieniło Anastazję, która zmieniała się nie do poznania. Była bowiem piękniejsza od swojej rywalki, a blask od niej bił na cały pokój.

- Wiele lat temu został na mnie rzucony urok i dopiero ty mnie uwolniłeś, bo wybrałeś sercem, a nie oczyma - wytłumaczyła niewiasta.

Franciszek podbiegł do lubej, przytulił ją i ucałował. Długo opowiadał ludziom o tym, co go spotkało, choć nie wszyscy dawali wiarę jego słowom. Kilka miesięcy później zakochani pobrali się, składając wzajemną przysięgę w obecności bliskich. Odtąd żyli długo i szczęśliwie.

▪ Słownik gwary śląskiej

Łaža po grubie i zaglondać niy moga jak ślimtosz tu na dole. Godej, co ci je, bo widza, że poradzić robocie niy umisz? - Chodzę po kopalni i patrzeć nie mogę, jak płaczesz. Powiedz, co ci dolega, bo widać, że na pracy skupić się nie możesz?

Trza ci sie wzionć do kupy, bo jeszcze co narobisz. Pomoga ci spełnić twoi życzeni, ale od ciebie zależy, czy bydziesz miał baba. Mosz tytoń? - Musisz się wziąć w garść, bo jeszcze dojdzie do tragedii. Pomogę ci spełnić twoje życzenie, ale od ciebie zależy, czy będziesz miał żonę. Masz tytoń?

Zarozki po szychcie ciś do dom. Tam wsadź po tytoniowym listku do każdej szolki i zalej wrzątkiem. Nazajutrz zamiast tytoniu bydziesz miał dwie gryfne frele w chatpie. Bydom u ciebie, aże miesionczek bydzie w pełni. Do tego czasu musisz wybrać jedna. Jak wybieresz dobrze, to bydziesz miał libsta na całe życi, a jak wybieresz źle, bydziesz miał psińco i do końca żywota bydziesz som. - Zaraz po pracy idź do domu. Włóż po tytoniowym listku do każdej szklanki i zalej wrzątkiem. Jutro zamiast tytoniu będziesz miał dwie ładne dziewczyny w domu. Będą u ciebie, aż będzie pełnia. Do tego czasu musisz wybrać jedną. Jak dobrze wybierzesz, będziesz miał żonę na całe życie, a jak źle, nie będziesz miał nic i do końca życia będziesz sam.

Gustaw Getka

Głupie myszątko

Na skraju dużego wesołowskiego lasu sosnowego, w małej norce na piaszczystej górze mieszkała spokojna i dobrze wychowana mysia rodzina. To była znakomita okolica. Babcia Myszka mówiła, że te wniesienia to pozostałości wielkiego lodowca, który, jak opowiadała podczas smażenia uwielbianych przez wszystkich racuszków, niewielkich placków z jabłkami, szedł i zostawiał za sobą te góry. Piaskową górę zamieszkiwało kilkadziesiąt mysich rodzin.

Śliczna Mysia była najmłodsza. Miała kochających rodziców, wiele sióstr i braci, babcie i dziadków, jak to w rodzinie myszek bywa. Mała Mysia wstawiała codziennie rano i budziła wszystkich radosnym uśmiechem.

Biegała po całym domu i wszędzie było jej pełno. Robiła co i rusz nowe rzeczy, rozpoczynała kolejne zabawy: a to przesypywała ziarna ze słoiczków z zapasami do skarpetek taty, a to wyciągała z szafek suszone truskawki, których późną wiosną było pełno w tej okolicy i ustawiała je w szeregu, mówiąc, że są w przedszkolu i muszą iść na spacer. Myszka uwielbiała się przebierać, bardzo lubiła czerwone korale babci, białą bluzkę, kwiecistą spódnicę i czarne trzewiki, ale mogła w nich chodzić tylko od święta. Chętnie przeglądała się w lustrze i była z siebie dumna.

Rodzice, przyglądając się swojej córeczce, śmiali się z historii, które opowiadała. Kochali Mysię za jej szalone pomysły. Wiedzieli też, że muszą bacznie obserwować

małą myszkę, bo nigdy nie wiadomo było, czego się można po niej spodziewać. Babcia nazywała Mysię żywym srebrem i ze śmiechem przyjmowała psikusy wnuczki.

Nadszedł czas, kiedy myszka miała iść do przedszkola. Rodzice trochę się martwili, bo przedszkole Mały Geniusz, do którego chodzili bracia Mysi, cieszyło się dużą sławą. Uczono tam nie tylko języka mysiego, lecz także i kociego, a oprócz tego dobrego zachowania, liczenia, pisania i wielu innych rzeczy potrzebnych dobrze wychowanym myszkom.

- A co będzie, jeżeli nie będzie posłuszna? - zapytał zmartwiony tata.

- A co będzie, jeśli się gdzieś schowa? - martwiła się babcia.

- Mnie martwi to, czy znajdzie tam przyjaciół - powiedziała mama.

Mysia jednak z chęcią ubrała się w przygotowaną białą bluzeczkę, dała rodzicom buziaka i radośnie poszła do przedszkola. Już pierwszego dnia schowała się za drzewem. Drugiego dnia wysmarowała koleżankę czekoladą. Trzeciego dnia powiedziała pani, że nie będzie się bawić w to, co inne dzieci. Czwartego wypluła jedzenie, które jej nie smakowało. I tak każdego dnia. Kiedy mama przychodziła po Mysię do przedszkola, zastawała ją smutną, samotnie bawiącą się w kącie. Codziennie dowiadywała się o nowych przewinieniach dziecka. Mama obiecywała, że będzie rozmawiać z Mysią i robiła to, a myszka mówiła, że to ostatni raz. Zachowanie Mysi jednak się nie zmieniało. Panie mówiły, że Mysia jest niegrzeczna i robi im na złość:

- Taka ładna, a taka niegrzeczna! I taka niemądra. Czy pani wie, że ona podarła dziś swoje zadania? - wykrzyczała pani, machając rękami.

Mama rozmawiała z Mysią, a ta mówiła, że nie robiła nic złego i tylko chciała się bawić, a język koci jej się nie podoba. Mama bardzo się martwiła. Inne dzieci nie chciały się bawić z Mysią i mówiły, że do nich nie pasuje.

- Głupia Mysia! Głupia Mysia - wołały, kiedy były na placu zabaw.

Mysia więc cichutko bawiła się swoimi kamyczkami i ziarenkami w kąciку sali przedszkolnej.

Stało się w końcu tak, że nawet już wszyscy w domu zaczęli myśleć, że Mysia jest dziwna i chyba rzeczywiście niemądra. Rodzice złościli się, że Mysia nie jest taka, jak inne dzieci i nawet babcia straciła cierpliwość do swojego żywego sreberka. Rodzice oczekiwali, że Mysia w końcu zacznie się grzecznie zachowywać, brać udział w zajęciach nawet, jeśli jej nie interesują. Bracia i siostry też nie chcieli się już z nią bawić i mówili, że sprawia tylko kłopoty. Przez to wszystko Mysia robiła się coraz smutniejsza. Już nie przeglądała się radośnie w lustrze. Mówiła, że jest głupia i brzydka. Nie wstawiała z radością, tylko od razu po przebudzeniu kłóciła się ze wszystkimi, była coraz bardziej niezadowolona i rzeczywiście stawiała się coraz niegrzeczniejsza. Teraz i rodzice wstawiali myszkę do kąta, dawali jej kary albo kazali robić jakieś zadania, których nie zrobiła w przedszkolu.

Pewnego dnia, kiedy mama odbierała Mysię, pani nauczycielka była bardzo zdenerwowana:

- Czy pani wie, że dzisiaj Mysia sama wyszła z przedszkola? - sroga nauczycielka ciągnęła dalej: - Tak nie może być dłużej! Przecież my musimy się opiekować także innymi dziećmi, nie tylko jedną niegrzeczną i niezbyt mądrą Mysią. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli poszukacie dla Mysi innego przedszkola.

Kiedy mama przekazała rodzinie tę wiadomość, wszyscy w domu pomyśleli, że to duży wstyd, ponieważ Mysia nie będzie już chodzić do prestiżowego przedszkola.

Jednak nie było rady: pozostawanie Mysi w Małym Geniuszu nie miało już sensu. Niedaleko od domu było też inne przedszkole *Wesołe Dzieci*. Rodzice opowiedzieli nowej pani, dlaczego Mysia trafiła do niej, a pani zamiast się zmartwić, ucieszyła się i pogratulowała rodzicom decyzji. Kiedy Mysia została w nowym przedszkolu, pani wyciągnęła swoją czarodziejską różdżkę, machnęła nią i powiedziała:

- Nasze przedszkole jest magiczne. Zapraszam cię do nas.

Czarodziejska różdżka pani nauczycielki sprawiała, że dzieci miały czas zajmować się też tym, co lubiły najbardziej. W nowym przedszkolu Mysia dużo rysowała i cały czas śpiewała. Miała koleżankę, myszkę *Basię*, z którą razem układały kamyki i żółędzie.

Kiedy pewnego razu znów spojrzała w swoje lustro zobaczyła, że jest mądrą, ładną dziewczynką. Mysia znów budziła się szczęśliwa.

Aleksander Klimowicz

Jak postaci z bajki malowały świat

Dawno, dawno temu, a może w niedalekiej przeszłości zdarzyła się rzecz niespodziewana, a zarazem straszna. Otóż na planecie Ziemia z nieba niczym śnieg złocisty zstąpiła *Królowa Śniegu*. Najwyraźniej miała okrutne plany wobec naszej planety. Niestety tak też się stało. Rzuciła straszliwą kłutwę, która dotknęła wszystkich ludzi. Otóż kłutwą tą wywoływała wirusa, który rozprzestrzenił się z człowieka na człowieka.

Ludzkość była w szoku i nie mogła się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Wkrótce władze poszczególnych państw zaczęły zamykać granice, zakazywać lotów samolotami, a nawet wprowadziły obostrzenia dotyczące zakazu wychodzenia z domów. Nastąpiły mroczne czasy. *Królowa*, jakby jej nie było mało, postanowiła zesaść z dalekiej krainy mazowieckiej smoka zwanego *Bazyliiszkiem*. Nie był to drobny stwór, lecz ogromny i groźny potwór posiadający skrzydła wielkości samolotu, a pazury ostre jak brzytwa. Panował chaos we wszystkich krajach, a ludzie coraz to bardziej się obawiali, jak to wszystko się dalej potoczy. Rozkazem samej *Królowej Śniegu*, *Bazyliiszek* palił i szerzył groźę w najróżniejszych miastach świata. W tymże czasie ludzie zwołali wielkie zebranie zwane *Kongresem Spraw Nadzwyczajnych*, na które zaprosili postaci z baśni. Mieli tam obmyślić strategiczny plan powstrzymania pandemii oraz pokonania okrutnej królowej i jej pomocnika. Niestety zebranie to nie mogło odbyć się w żadnym z krajów, ponieważ obawiano się wirusa. Toteż wszyscy wielcy przywódcy spotkali się wirtualnie. Głowili się długo, aż w końcu znalazł się śmiałek ze sprytnym, lecz ryzykownym planem. Był to szewczyk *Dratewka* we własnej osobie, a pomysłem jego na pokonanie smoka było kilka prostych manekinów wypełnionych siarką. Miała to być przynęta na smoka, po zjedzeniu której powinien eksplodować.

Wkrótce ludzie w specjalnych maseczkach i kombinezonach wybrali się do jamy smoka, by zostawić tam manekiny, przypominające ludzkie sylwetki. Po kilku chwilach *Bazyliiszek* wyszedł ze swojej groty i za jednym zamachem zjadł przynętę. Wtem zaczął ziać ogniem i wybuchł.

Zostały jeszcze dwa problemy do rozwiązania, pandemia i Królowa Śniegu. Dziewczynka z zapalkami wpadła na pomysł, żeby roztopić królową, a wtedy czar powinien prysnąć i wszystko wróci do normy. Wkrótce śmiałkom udało się zlokalizować zamek. Był cały z lodu i śniegu, a w środku znajdowała się ogromna sala tronowa z królową siedzącą na tronie. Ludzie postanowili za pomocą dronów rozłożyć wokół zamku generatory ciepła, które zaczęły roztopiać go szybciej, niż się tego spodziewano. Po kilkunastu minutach pałac się rozpuścił wraz z okrutną królową, a rzucony przez nią czar zniknął w niepamięć.

Po wszystkim świat ogarnęła ogromna radość. Ludzie znów mogli cieszyć się swobodą, spotykać, podróżować. Wkrótce nastał czas Bożego Narodzenia. A w dalekiej krainie mazowieckiej, jak zwykle co roku, gospodynie szykowały kolację wigilijną, kładły sianko pod obrus, a zwierzęta mówiły ludzkim głosem. Wszystko było jak dawniej, a ludzie i postaci z baśni żyli długo i szczęśliwie.

Maria Łobodzińska

Jak zwykły świat stał się niezwykłym

Pewnego dnia do pokoju Hani w internacie ktoś zapukał. Była to jej wychowawczyni. Przyprowadziła dziewczynkę w czarnej sukience, która miała na imię Natalia.

- Natalia będzie z tobą mieszkać w pokoju - powiedziała pani.
- Dobrze - odpowiedziała Hania.

Dziewczynka ucieszyła się, ponieważ nigdy nie miała prawdziwej koleżanki. Natalia miała ze sobą tylko jedną zniszczoną torbę. Hania oprowadziła ją po pokoju. Dziewczynka szybko się rozpakowała i usiadła na swoim łóżku. Wyglądała na nieśmiałą.

- Natalio, nie ma się czego bać, wszystkim cię przedstawię i pokażę ci cały internat i szkołę.

- Dziękuję - powiedziała dziewczynka.

Chwilę później zadzwonił dzwonek na kolację. Nowe przyjaciółki zeszły do stołówki. Po posiłku wróciły do pokoju i położyły się do łóżek.

Następnego ranka, podczas śniadania Hania zapytała koleżankę:

- Jak ma na imię twoja mama?
- Ja... - dziewczynka wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpląkać.
- No dalej, to przecież nic takiego! Pytam tylko o imię twojej mamy!
- Ja jej nigdy nie znałam - powiedziała smutno Natalia.
- Bardzo cię przepraszam, nie chciałam cię urazić - Hani zrobiło się dziwnie.
- Nic się nie stało.
- Jest sobota, może przejdziemy się ulicą Stefana Żeromskiego? - zapytała Hania.
- Świetny pomysł! - pochwaliła ją Natalia.

Kiedy dotarły w okolice fontann, Hania stanęła i spojrzała w kierunku ulicy Rwańskiej i ujrzała Kościół św. Jana Chrzciciela zamykający daleką przestrzeń. Przypomniała sobie, że jest to rzadko spotykane dzieło budowy miast, o którym uczyła się na lekcjach architektury i sztuki.

- Spójrz, Kościół wydaje się stać na samym końcu ulicy, a to tylko złudzenie optyczne, on przecież stoi po lewej stronie ulicy Rwańskiej - zwróciła się do Natalii.

- Rzeczywiście, to niesamowite! - krzyknęła Natalia.

Dziewczynki poszły dalej. Kiedy znalazły się na wysokości zapomnianej i opuszczonej drukarni Jana Kantego Trzebińskiego zauważyły staruszka, który szedł w kierunku tego budynku. Zaciekawione poszły za nim. Kiedy podeszły do drzwi drukarni, te otworzyły się i obie zostały wciągnięte do jej wnętrza.

W środku rozbłysło zielone światło. Po chwili znalazły się na zielonej polanie pełnej kolorowych kwiatów i drzew owocowych. Po ziemi biegały przeróżne zwierzęta. Dziewczynki doliczyły się dwunastu wiewiórek, dwudziestu fretek i czternastu mysz polnych. Latały tam egzotyczne i rajskie ptaki, a także fruwały motyle. Na środku polany stał znajomy staruszek z wielkim gęsim piórem i pergaminem.

- Kim pan jest? - zapytały zaskoczone.

- Nie poznajecie mnie? To przecież ja, Hans Christian Andersen!

- Naprawdę? Gdzie my jesteśmy?

- Jesteście w świecie waszej wyobraźni - odparł.

Nagle, pojawiły się postaci z baśni, które zaczęły witać się z Natalią.

- Skąd się znacie? - zapytała Hania.

- Jak to skąd? - zdziwiła się Calineczka. - To nie jest żadna Natalia, to jest tytułowa *Dziewczynka z zapalkami*, która chciała zaznać szczęśliwego życia w realnym świecie.

- To jest prawda - przyznała się Natalia. - Chciałam ci podziękować, że się mną zaopiekowałeś, że zostałeś moją przyjaciółką, że obdarzyłeś mnie dobrocią i szczęściem. Zapraszam cię na wspaniałą ucztę, która odbędzie się w zamku z baśni *Nowe szaty króla*.

Nagle oczom Hani ukazał się wielki zamek, z wyglądu przypominający pięknie odrestaurowany radomski Ratusz, projektu słynnego architekta Henryka Marconiego, na dziedzińcu którego ustawiono suto zastawione stoły. Goście mogli skosztować wspaniałej tradycyjnej radomskiej zalewajki, sporządzonej na barszczu od sióstr z ulicy Struga. Na deser podano radomiankę oraz tort Hiszpan prosto z Cukierni Grzeszczyk z Radomia. Hania najadła się do syta i zasnęła.

Kiedy się obudziła, stwierdziła że wcale nie znajduje się w zamku, ale na łóżku w internacie. Obok smacznie spała Natalia.

Jaki z tego morał? Warto czytać książki, a wtedy wyobraźnia człowieka nie będzie znała granic!

Julia Kłujso

Królewska jabłoń

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami żyła sobie piękna dziewczyna o imieniu Sofia. Nie mieszkała ona w wielkim pałacu, nie żywiła się rarytasami tradycyjnej kuchni i nie nosiła kolorowych, ozdobnych strojów dla bogatych kobiet. Paniątka czasami marzyła o byciu księżną, ale nie potrzebowała tego, póki mogła przebywać w królewskim sadzie, do którego dostęp mieli wszyscy mieszkańcy. Wyglądał jak

zwykła łąka, gdzie nigdzie porośnięta drzewami, ale był czymś więcej. Każdego ranka trawa mieniła się od rosy i promieni słońca, a wieczorami pachniało tam świeżymi owocami pomieszczanymi z nutką woni wiosennych kwiatów. Był dla niej miejscem rozmyślań i definicją spokoju. To z nim wiązały się wspomnienia z dzieciństwa Sofii. To w nim przeżywała najważniejsze chwile z jej życia i to do niego uciekała, gdy czuła się zagubiona.

Pewnego dnia, gdy szła na rynek, by kupić składniki na zupę, zauważyła, że wokół głównego placu zbiegło się wielu ludzi. Szybko podążyła w jego stronę, by zobaczyć co się dzieje. Gdy dotarła na miejsce, jej oczom ukazała się ogromna pozłacana karoca. Była ciągnięta przez trzy śnieżnobiałe konie o długich, brązowych grzywach. W wozie siedziała książęca para narzeczonych - książę Kaspian i księżniczka Dorelia.

Książę był ubrany w odświętny strój ludowy - białą koszulę z wysokim kołnierzem i szerokimi rękawami oraz czarną kamizelę z guzikami, przepasaną zieloną wstęgą. Nosił również długie, czerwone spodnie w pomarańczowe pasy. Na nogach miał wysokie skórzane buty, a na jego głowie widniał biały kapeluszek z karmazynowym kwiatowym wzorem. Za to królowa przywdziała przepiękną suknię uszytą przez najzdolniejszych krawców w królestwie. Miała szerokie, jasne rękawy, zdobione w łowickie wzory, oraz czarny gorset z kolorowymi zdobieniami. Na spódnicy widniał pasiasty, czerwono-szmaragdowy wzór. W dolnej części zauważalne były złote i srebrne kwiaty. Dopełnieniem jej stroju był wielobarwny naszyjnik z koralami, gęsty wianek z róż, niezapominajek i stokrotek oraz ciemne trzewiki na wysokim obcasie. Książęca para wyglądała jak dwa bożki piękna, które zaraz miały rozpocząć ludowe święto wraz ze swymi poddanymi.

Gdy Sofia skończyła przyglądać się parze, ujrzała świstki papieru latające po niebie. Okazało się, że książę organizował królewski bal i postanowił, że tym razem lista gości nie będzie ograniczać się tylko do elity królestwa. Uznał, że pozwoli zdecydować losowi o tym, kto będzie miał wstęp. Uradowana tą sytuacją dziewczyna poczęła szukać zaproszeń, które mogły leżeć na ziemi. Przez dłuższą chwilę nie mogła niczego znaleźć, lecz nie poddała się. Nagle, ni stąd, ni zowąd, bilet dosłownie wpadł jej do ręki. Ucieszona tym faktem, odeszła z miejsca zdarzenia, by przypadkiem ktoś nie odebrał jej nagrody. Dotarła do domu, i niezwłocznie zaczęła przygotowania do przyjęcia. Jej najpiękniejsza suknia była o wiele mniej urodziwa niż najbrzydszy strój Dorelii, ale nie miała wyboru. Usiadła na łóżku i patrzyła na zegar, odliczając minuty do rozpoczęcia balu. Czas zdawał się płynąć bardzo powoli, ale w końcu nadeszła oczekiwana godzina.

Na przyjęciu Sofia nie czuła się komfortowo. Okazało się bowiem, że arystokraci wykupili większość zaproszeń od biedniejszych za niewielkie pieniądze. Paniąka nie miała nawet ochoty jeść, mimo że stoły były zastawione pysznymi potrawami. Z racji tego, że na balu miał być głównie najuboższy lud, jedzenie było typowo tradycyjne. Nie zabrakło jej ulubionych zup, takich jak żur, rosół czy krupnik z kaszy jaglanej. Było tyle rodzajów pierogów, pasztecików, mięs i ryb, ilu dziewczyna nigdy na oczy nie widziała. Na talerzach gości pojawiały się typowe desery: makowiec, piernik oraz babka piaskowa. Mimo tych wszystkich wspaniałości, Sofia postanowiła pójść do sadu i zjeść jedno jabłko z jej ulubionego drzewa.

Gdy znalazła się w ogrodzie, ujrzała siedzącego obok jabłoni księcia. Zapytała go, czemu nie bawi się z innymi, a ten odpowiedział, że nie dogaduje się z nikim z tamtego

towarzystwa, nawet ze swoją narzeczoną. Kaspian i Sofia odbyli głęboką rozmowę na temat uczuć, a gdy książę odszedł, do ogrodu weszła Dorelia. Wyglądała na bardzo niezadowoloną. Zaczęła krzyżeć na dziewczynę i oskarżyła ją o próbę rozkochania w sobie królewicza. Tłumaczenie Sofii zdało się na nic. Księżniczka wyciągnęła ręce do przodu i zaczęła wypowiadać jakieś niezrozumiałe słowa. Wtedy Sofia zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Dorelia była czarownicą! Zanim dziewczyna zdążyła coś zrobić, poczuła, że całe ciało jej twardnieje. Nim się obejrzała zmieniła się w wielką jabłoń, z której spadał jeden liść za każdym razem, gdy dziewczyna uroniła łzę. Księżniczka szybko uciekła z sadu i wróciła na bal.

Następnego dnia Kaspian szukał Sofii po całym zamku. Pytał o nią wszystkich w mieście, ale niczego się nie dowiedział. W końcu postanowił zajrzeć do królewskiego sadu. Z jakiegoś nieznanego powodu jego wzrok przyciągało jedno drzewo bez połowy liści. Uznał to za wskazówkę od matki natury, która miała podpowiedzieć mu, gdzie szukać Sofii. Ukląkł przed drzewem i zaczął się modlić. Wyznał całemu sadowi swoją miłość do dziewczyny począł błagać o jej odnalezienie. Wtem, jabłoń pod którą klęczał, zaświeciła bardzo jasnym światłem i z powrotem przemieniła się w Sofię. Oboje poprzysięgli sobie wierność i zaręczyli się. Nagle do sadu wkroczyła wściekła Dorelia. Próbowała rzucić zaklęcie na zakochanych, lecz jej drogę zagroził pień, który w gnieniu oka wyrósł przed parą. Czar odbił się od rośliny i uderzył w księżniczkę. Zmieniła się w spróchniałe drzewo, na którym rosły tylko zgniłe i cierpkie jabłka. Wygląd jabłoni odzwierciedlał, jaka naprawdę była królowa z charakteru.

Parę tygodni później wydano huczne wesele. Niedługo po tym odbyła się koronacja i zakochani zostali oficjalnie mianowani królem i królową. Każda z tych ceremonii miała miejsce w ulubionym miejscu pary - w sadzie. Kaspian i Sofia żyli długo i szczęśliwie.

Wojciech Dembczyński

Książę na Kaszubach

Dawno temu, jak pewnie wiecie
rządził książę w kaszubskim powiecie.
W mieście Miastko - Bytów gmina
Byłem też ja i moja rodzina.
Dużo widziałem, wiele przeżyłem.
Pewną historię Wam powiem za chwilę,
Ale ostrzegam Was, niedowiarki,
Że bardzo lubię opowiadać bajki.
Nasz książę bardzo lubił komplementy odbierać,
Przez co miał w zwyczaju się ciągle przebierać.
Odwiedzali go najlepsi szwacze z okolicy,
Choć byli i tacy, co mieszkali w stolicy!
Księciunio się przed lustrem stroił godzinami,
później z uśmiechem szedł witać się z nami.

A my mówiliśmy, bijąc mu pokłony,
Takie komplementy, by był zadowolony.
Raz się spore u nas zrobiło zamieszanie,
Bo weszło dwóch szwaczy, szczęśliwych niesłychanie.
A w całym regionie się o nich mówiło,
Że takich jak oni tu jeszcze nie było.
Podobno oni talent taki mieli,
Że to co uszyli, nieliczni widzieli.
Każdy, kto był mądry i bardzo czytany,
Mógł ujrzeć te wępsy własnymi oczami.
Książę, gdy usłyszał szyjących tajemnicę,
Zawołał doradcę, by złożył obietnicę,
Że jako najmądrzejszy na Kaszubach człowiek,
Za nadzorowanie robotników odpowie.
Krawcy pracowali co dzień, bez wytchnienia,
Wszystkim wyjść miały oczy ze zdziwienia.
W końcu po kilku dniach bycia w niepewności,
Książę zaczął zwoływać najważniejszych gości,
I stojąc przy lustrze kolejną godzinę,
Każdy udawał zaskoczoną minę.
Nikt nie chciał się przyznać, choć władca był goły,
Bo wyszłoby na to, że wrócą do szkoły,
Że wszyscy są głupi, bo kaftana nie widzą,
A byli przecież najmądrzejszą ligą!
Gdy skomplementowali księcia nowe szaty,
Doradca powiedział, że nie skończy się na tym,
Że burmistrz Bytowa prosi, by magnat się pokazał,
Więc zgodził się, choć tego sobie nie wyobrażał...
Burmistrz zwołał ludzi, ucztę przygotować kazał,
Po chwili były frykasy z rąk najlepszego kucharza!
Wszystko, z czego region ten wspaniałały słynie,
Sprawiało, że zebrani wciąż połykali ślinę.
Zylc był na przystawkę, aż trudno nie spróbować,
Czôrnina na pierwsze, żal nie skosztować!
Piersnicza wędzona w zalewie peklowana,
A dla tych, co nie lubią ślédz był z pulkama.
Na koniec powiem tylko młodzowy kuch z kruszonką,
Bo jak wymienię wszystko, to zdąży już zająć słońko.
Niedługo po ratuszu powóz zaczął sunąć,
A każdy z poddanych księcia podziwiał z dumą.
Bo jakże tu się przyznać, że zero w nich mądrości?
Mówią, że wępsy widzą, by sąsiad im zazdrościł!
Burmistrz przygotował sprzęt głośnomówiący,
By każdy mógł usłyszeć rozmowę prowadzących.
Teraz wam przytoczę ten dialog, moi mili,
Byście wiedzieli, o czym mówili.
Burmistrz pyta księcia: „Mój wielmożny Panie,

skąd pomysł na takie pëszne ubranie?”
Książę z uśmiechem mówi do niego:
„Trzeba by spytać szwacza mego”.
„Gdzie szukać krawca, co szyje te ruchna?”
„Panie Burmistrzu, odpowiedź jest trudna.
Wszak mnie odwiedzili tacy styliści,
Na których już trzeba by mówić „artyści”!
„Władco, widzy mie sã dichtich gùtorzenie,
Le jo mom lëszt na to jedzenie”.
Gdy odjeżdżali z ratusza w kierunku ostoi,
Widzieli wszyscy księcia, co na powozie stoi.
Chwałą więc kolory, wzory i tkaninę,
nadeszła wreszcie kolej na moją rodzinę.
Pochód doszedł do nas i byłem zaskoczony,
Że każdy z domowników jest aż tak zachwycony.
Podszedłem troszkę bliżej, bo słabo tam widziałem.
Stanąłem i oczom swym nie dowierzałem.
W końcu myślę sobie, że chodzę do szkoły,
i powiem im prawdę: „Nasz książę jest goły!”
Tata mnie okrzyczał, że bzdury gadać chciałem
I kazał zjeść ruchanki, które z domu zabrałem.
Po chwili gdzieś z tłumu głos czyjś słyhać było,
Że nagi nasz książę i mi się nie śniło.
Lecz szopka trwała dalej, bo władca sztywno stał,
A każdy kto nie wierzył, za mały móźdżek miał.
W ten sposób moi drodzy oszuści mieli złoto,
A książę, choć był mądry, wykazał się głupotą.
Mnie za to po wszystkim mianowano „szandara”,
Bo pilnuję porządku i bardzo się staram.
A praca ta jest świetna i bardzo dobrze płatna,
Więc warto mówić prawdę nawet, gdy nie jest łatwa!!!

Julia Jaworska

Mysz kościelna

Pewnego upalnego popołudnia, w ubogiej starej chacie na skraju mazowieckiego lasu mieszkał staruszek. Był biedny i samotny, kilka dni temu musiał sprzedać ostatnią kurę, żeby mieć za co kupić chleb. Jak każdego popołudnia usiadł w fotelu zmęczony i zasnął.

Tymczasem przez szczelinę w podłodze wyglądała mała, szara myszka, mieszkała tu już od dosyć dawna. Cierpliwie poczekała, aż gospodarz zaśnie i bez wahania pobiegła do spiżarni w poszukiwaniu ziarna. Biegała po całej piwnicy, a to w korytku szukała, a to do beczki na kapustę zajrzała, worek na ziemniaki również przeszukała i nic. Pusto! Głośno zapłakała.

- Ach, ja biedna, nieszczęśliwa. Cóż ja będę spożywała?

Szlochając nie zauważyła, że zbudził się gospodarz.

- Ależ zgłodniałem, pójdę po stoik tegorocznych ogórków kwaszonych - pomyślał i ruszył w drogę.

Po chwili zorientował się jednak, że drzwi od spiżarni są uchylone, wszedł po cichutku do środka i zauważył małą, płaczącą myszkę. Złapał ją za ogon i unióś do góry.

- Oszczędź mnie! - wołała zapłakana myszka.

- Co ci się stało, moja droga? - zapytał zmartwiony.

Zwierzátko powiedziało staruszkowi, że bezskutecznie poszukuje jedzenia.

- Nie mam pieniędzy na nie - rzekł starzec ze smutkiem.

Posadził zwierzátko na leżance i przyniósł mu okruszyny chleba. Mimo, że sam nie miał co jeść, nie pozwolił myszce głodować, każdego dnia przynosił jej odrobinę chleba. Od tego dnia nie była już głodna, czuła się szczęśliwa, ponieważ nie musiała się już dłużej ukrywać. Żyła sobie spokojnie, a gospodarz uważał ją za swoją przyjaciółkę. Minęło wiele miesięcy, myszce podobało się jej nowe sielankowe życie, jednak zbliżały się żniwa... Zwierzátko pomyślało, że nie może dłużej wykorzystywać dobroci swojego przyjaciela. Postanowiło razem z innymi myszkami wybrać się do miasta na największe w roku, ludowe święto zwane dożynkami, połączone z obrzędami dziękczynnymi za ukończenie żniw i prac polowych.

Późnym wieczorem, gdy zaczęła padać na ziemię rosa a gospodarz położył się do łóżka, wyszła małą, wąską szparą w drzwiach, nie żegnając się ze staruszką. Razem z przyjaciółmi ruszyła w długą podróż, ścieżką pośrodku lasu, w oddali słychać było odgłosy dzikich zwierząt, a wiatr szeleścił liśćmi. Mimo lęku myszki szły dalej przed siebie, wiedziały bowiem, że nie ma odwrotu.

Zbierało się na burzę, domowe myszki nie miały pojęcia jakie to niebezpieczne. Zaczął bowiem wiać silny wiatr, na ziemię spadły pierwsze olbrzymie krople deszczu, a na niebie rozbłysnął pierwszy piorun. Przerażone myszy wpadły w panikę, rozbiegły się po lesie, jedna wpadła w głęboki dół, z którego nie mogła wyjść, inną zaś zabrał strumień wody płynący po wąskiej ścieżce. Na szczęście nasza mała bohaterka rzuciła się na ratunek i zdołała ocalić obie myszki.

Wczesnym rankiem ruszyły w dalszą drogę. Mijały łąki, na których leżały pokosy trawy, podziwiałały kobiety grabiące siano w pocie czoła. Mijały kołyszące się łany zbóż i gospodarzy młójących zboże. Szczególnie zdziwiły się, widząc kobiety, które wiły wieńce na polach wykonane ze zbóż, z kiści czerwonej jarzębiny, orzechów, owoców, kwiatów i kolorowych wstążek. Wieńce dożynkowe miały zwykle kształt wielkiej korony lub koła. Wieniec dożynkowy nazywany był plonem, ponieważ uosabiał wszystkie zebrane plony i urodzaj. Gospodynie śpiewały przy tym różne wiejskie przyśpiewki, natomiast sam piękny wieniec, miał być ofiarowany jako dziękczynienie Panu Bogu. Małe myszy usiadły na jednym ze ściernisk, by odpocząć.

- Ależ tu pięknie - powiedziała jedna z nich.

- A ile tu jedzenia - odpowiedziała druga.

- Muszą być tu pełne spichlerze ziaren - nie zdążyła dokończyć. - Kot!

Mysz bez wahania wspięła się na wysokie drzewo, słysząc głos przyjaciółki wołającej o pomoc i razem zdołały ukryć się w małej dziupli, gdzie kot nie mógł ich dosięgnąć.

Po chwili usłyszały głośny śpiew ludzi wędrujących w stronę miasta, tłum radujących się dzieci. Zobaczyły młode dziewczęta z wiankami na głowach, które oznaczały niewinność oraz ziarno wiezione na wozach przez konie. Zwierzęta te również były pięknie wystrojone. Myszka zazdrościła im stroju, ponieważ sama miała poszarpane i brudne ubranie. Mimo wszystko postanowiły pójść za nimi, bały się zostać same. Na głównym placu najadły się do syta, częstowały się wszystkim, co ludziom udało się zebrać z pola. Atmosfera była bardzo radosna, bo odbywały się właśnie coroczne uroczystości dożynkowe.

Nie potrafiła jednak zapomnieć o dawnym bezpiecznym życiu, za którym bardzo tęskniła i co wieczór myślała o swoim starym przyjacielu, którego opuściła bez pożegnania...

Aż pewnego dnia zamieszkała w jednym z najstarszych świątyń warszawskich, w Kościele Akademickim świętej Anny na Krakowskim Przedmieściu 68, ponieważ wszystkie inne domostwa były już zamieszkane.

Siedząc ukryta w konfesjonale, usłyszała znajomy głos. Wychyliła się i zobaczyła starca, swojego dawnego przyjaciela, za którym bardzo tęskniła. Szybko podbiegła do niego i wskoczyła mu na ramię. Starzec popłakał się ze szczęścia, bo odnalazł przyjaciółkę. Od tego czasu żyli razem długo i szczęśliwie.

Morał z tej baśni jest taki, że za dobre uczynki spotyka nas nagroda.

Zuzanna Akińcza

Nadodrzańska baszta

Dawno, dawno temu, za siedmioma rzekami, za siedmioma górami na wzgórzu, niedaleko morskiego brzegu, w pobliżu grodu Gryfitów stał zamek książąt pomorskich. Otoczony był pięknymi cisami, cypryśnikami błotnymi oraz cudownymi platanami. W zamku tym zamieszkiwał książę Bogusław wraz z małżonką Anną i córką Różą. Nad urodą księżęcej córki rozpisywali się wszyscy dworscy poeci. Księżniczka była bardzo ciekawa świata. Uwielbiała spacerować po książęcych ogrodach i udawać się wraz z rodzicami w egzotyczne podróże w najdalsze zakątki świata.

W dniu trzynastych urodzin Róży, jej matka niespodziewanie i ku rozpaczy poddanych zemrzała. Księżniczka została sama z ukochanym ojcem, który już nigdy nie obdarzył żadnej innej kobiety uczuciem. Ukojeniem dla zbolełej dziewczyny były samotne wędrówki.

Pewnego słonecznego dnia, Róża wybrała się na spacer po różanych ogrodach nad rzeką Odrą. Zapomniawszy się w marzeniach, oddaliła się od zamku niebezpiecznie daleko. W pewnym momencie zerwał się straszny wiatr, zrobiło się ciemno i zaczął padać deszcz. Księżniczka nie wiedziała, dokąd ma uciekać. Nie było nic widać. Ogromne lipowe drzewa odcięły jej drogę powrotną do zamku.

Nagle przed jej oczami ukazała się wielka, ceglana, otoczona starymi lipami baszta. Dziewczyna słyszała już niegdyś o wieży, którą zamieszkiwała zła wiedźma Germania. Nigdy jednak nie widziała budowli. Nikt nie mówił również, gdzie się znajduje. Nie myśląc długo, weszła do niej i w pośpiechu wbiegła po stromych schodach na sam jej

szczyt. Usłyszała, jak ogromny kamień spada i blokuje drogę wyjścia z baszty. Róża została uwięziona. Była przerażona, zagubiona i samotna.

Wszyscy na zamku myśleli, że Róża uciekła. Zrozpaczony ojciec wydał rozkaz, aby rycerze rozpoczęli poszukiwania. Niestety żaden z nich jej nie odnalazł. Dni mijały, a książę Bogusław powoli tracił nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy ukochaną córkę.

Z dalekiej podróży po bezkresach Morza Bałtyckiego powrócił młody, skromny rybak, o wdzięcznym imieniu Warcisław. Miał on wiernego i oddanego przyjaciela, gryfa Henryka. Przeżył z nim niejedną przygodę na swojej poniszczonej od morskich fal łajbie.

Warcisław przycumował do nabrzeża Odry, rozchylił gęsto rosnący tatarak i wysiadł na brzeg. Szybko doszła do niego wiadomość o zasmuconym księciu i tajemniczym zniknięciu Róży. Nadchodził zmrok. Młody rybak rozpalil ognisko, aby trochę się ogrzać. Wraz z przyjacielem zaczął rozmyślać, co mogło przydarzyć się młodej, pięknej pannie, która miała wszystko i wszyscy ją kochali. Co mogło ją skłonić do opuszczenia rodzinnego domu? Wpatrując się w pełne gwiazd niebo, zasnął.

We śnie poczuł, jak lekko na jego twarz spadają kropelki wody. Niespodziewanie przebudzony, rozejrzał się dookoła i dostrzegł, że z głębi Odry wynurzyła się piękna pani odziana jedwabistymi szatami. Otoczona była małymi płótkami, które pięknie śpiewały słowiańskie pieśni, a ich skoki z wody przypominały zjawisko tańczących na wodzie ryb. To Polonia. Piękna i dobrotliwa siostra wiedźmy Germanii.

- Warcisławie mój miły - powiedziała tajemnicza postać. - Przebudź się, dobry paniczu! Tam wysoko na wzgórzu, w magicznej baszcie, otoczonej starymi lipami, została uwięziona księżniczka Róża. Ma złą siostrę, Germanię, swymi czarami uniemożliwia wydostanie się księżęcej córki.

Przecierając oczy ze zdziwienia, zauroczony wodnym zjawiskiem Warcisław rzekł:

- Jak mogę jej pomóc Polonio? Powiedz, proszę? Cóż ja, rybak znad Odry, mogę uczynić?

Unosząc ręce ku górze, Polonia odparła:

- Z dawna znana historia mówi o zagadce, która unicestwia złe czary Germanii:

Potwór ze skóry! Nie żyje,

a bywa, że unosi palce do góry!

Rybak, nie myśląc długo, odgadł, że chodzi o rękawiczkę. W tej samej chwili z za wzgórza doszło do niespodziewanego rozbłysku na niebie. Polonia natychmiast zanurzyła się w odmętach Odry. Za nią jej tańczące ryby. Gryf Henryk, który miał ciało lwa i głowę orła, rozwinął swe wielkie, długie, pierzaste skrzydła. Nakazał rybakowi na nich usiąść i nagle unieśli się wysoko, podążając w kierunku świetlnej łuny na horyzoncie. Dolecieli nad sam szczyt magicznej baszty. U jej podnóża stała wystraszona Róża. Warcisław chwycił księżniczkę za rękę i przytulił do siebie. W tym samym czasie gryf ujął czarownicę szponami i odleciał z nią daleko, daleko za siedem rzek za siedem mórz, do odległego lądu.

Jakże wielką była radość na dworze księżęcym. Ukochany ojciec nie posiadał się ze szczęścia. Nie minęło wiele czasu i księżniczka wyszła za Warcisława. Nimfa Polonia została ich matką chrzestną, a o Germanii słuch zaginął. Ulubionym miejscem spacerów nowożeńców została nadodrzańskie wzgórze, na którym niegdyś królowała czarodziejska baszta.

Nieoczekiwana przygoda

Pewnego pochmurnego poranka Calineczka siedziała w niewielkim pokoju i opróżniała starą szafkę. Na jednej z półek dostrzegła poślizgniętą księgę z postrzępionymi kartkami. Postanowiła do niej zajrzeć. Kiedy otworzyła książkę, nagle zapadła ciemność. Ocknęła się na ławce pod kamiennym lwem. Przed jej oczyma rozciągało się wzgórze z górującym zamkiem, do którego prowadziła kamienna ścieżka. Oszołomiona rozglądała się wokół, kiedy podszedł do niej uśmiechnięty rudy chłopak.

- Cześć, jestem Kuba - przedstawił się. - Widzę, że jesteś zagubiona... Nigdy nie byłaś w Lublinie? Ta budowla przed nami to Zamek Lubelski. Chętnie oprowadzę cię po moim pięknym mieście.

- Dobrze - zgodziła się niepewnie dziewczyna i ruszyła za nowym znajomym.

Na początku Kuba pokazał jej Zamek Lubelski. Potem przeszli Bramą Grodzką, prowadzącą wprost na Stare Miasto. Wszędzie dookoła kręcili się ludzie w kolorowych ubraniach. Calineczkę bardzo to zaintrygowało.

- To strój lubelski - wyjaśnił chłopak. - Kiedyś, w świąteczne dni, takie jak dziś, a właśnie mamy tradycyjny jarmark jagielloński, mieszkańcy Lublina tak się ubierali. Lublinianki nosiły wianki na głowie, delikatnie haftowane białe koszule z aksamitnym gorsetem oraz szerokie, wełniane spódnice z zapaskami. Na nogi zakładały sznurowane trzewiki. Lublinianie natomiast na głowę zakładali kapelusze ozdobione wstążką i pawim piórem. Chodzili w białych płóciennych koszulach i welurowych kaftanach, a sukienne spodnie związane były welurowym pasem. Do tego - zaśmiał się Kuba - wysokie buty z cholewkami, takie jak moje, spójrz!

- Skomplikowane, ale bardzo kolorowe i efektowne. Muszę przyznać, że wygląda to uroczo - westchnęła zachwycona Calineczka.

Rozmawiając tak, doszli do placu Po Farze. Kuba nie mógł się powstrzymać od wskoczenia na kamienne murki. Przeskakiwał po nich niczym koziołek znajdujący się w herbie Lublina. Następnie ruszyli powoli w stronę Trybunału Koronnego i Bramy Krakowskiej. Calineczka podziwiała stare kamienice. I tak, nie wiadomo kiedy, doszli do Krakowskiego Przedmieścia. Tam uwagę Calineczki przykuła stara piekarnia.

- Uwaga, zapisy na bitwę o wielkiego cebularza się kończą! - krzyczał przez megafon prowadzący. - Pamiętajcie, kto pierwszy upadnie, przegrywa!

- Tradycyjny cebularz to jeden z najpopularniejszych przysmaków w Lublinie - wyjaśnił Kuba. - O, patrz na tego małego! Co roku startuje w tych zawodach ten biedny chłopak, który, z tego co wiem, ma szóstkę rodzeństwa. Bardzo chce wygrać cebularza, ale zawsze są lepsi od niego.

Calineczce zrobiło się żal chłopaka, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ktoś do nich podszedł.

- Cześć, jestem Darek - przedstawił się nieznajomy.

- To mój kolega - wyjaśnił zmieszanej dziewczynie Kuba. - A teraz wybaczcie, bo muszę na chwilę was zostawić.

- Bierzesz udział w konkursie? - zapytał Calineczkę Darek po chwili milczenia.

- Ja? Nie. Tak! Nie! Właściwie to tak. Chciałabym jakoś pomóc temu chłopakowi - odpowiedziała z ociąganiem dziewczyna.

- Chcesz pomagać temu mięczakowi? - odezwał się z pogardą Darek, ale widząc minę dziewczynki, po chwili zmienił swój ton. - Bo wiesz, mógłbym trochę pomóc ci wygrać, gdybyś nie dawała rady. Mam pewne sposoby...

- Ja nie zamierzam oszukiwać - odpowiedziała twardo Calineczka.

- Ale pomyśl... - dodał zjadliwym tonem - jeśli on wygra, z nikim się nie podzieli. Ale jeśli ty wygrasz, wszyscy coś dostaną. Oczywiście ja najwięcej, bo ci pomogłem.

- A jeśli on ma rację? - myślała Calineczka. - W końcu jeśli wygram, podzielę się ze wszystkimi. Ale ten chłopak potrzebuje pomocy...

- Nie. Nie potrzebuję pomocy - powiedziała zdecydowanie.

Chłopak tylko prychnął i odbiegł. Calineczka wiedziała, co ma zrobić. Zgłosiła się do konkursu. Zasady były proste: trzeba zrobić wszystko, żeby przeciwnik upadł na ziemię.

W finale spotkała się z biedakiem. Zaczęła delikatnie popychać chłopaka swoimi małymi rękami. Wiedziała, że gdyby tylko się postarała, mogłaby go przewrócić. Wtedy chłopak podciął jej nogi. Calineczka nie miała szans i runęła na ziemię. Ludzie zaczęli głośno wiwatować. Zwycięzca jednak tylko wziął cebularza i natychmiast odbiegł, jakby bał się, że ktoś zechce mu go odebrać. Wszystkie spojrzenia powędrowały na dziewczynkę siedzącą na chodniku. Ale ona tylko wstała, otrzepała sukienkę i odeszła. Zawiedzeni widzowie zaczęli się rozchodzić. Wtedy do Calineczki podbiegł Kuba.

- Wszystko w porządku? - zapytał zmartwiony. - Mocno się potłukłaś?

- Wszystko dobrze - odpowiedziała. - Idziemy zwiedzać dalej?

- Chodź! - zawołał Kuba, już się oddalając. - Zaraz zaczyna się pokaz fontann na placu Litewskim!

Calineczka pobiegła za nim. Zrobiło się ciemno, jednak mimo chłodu widowisko oglądała z zachwytem. W pewnym momencie w tłumie zobaczyła swojego konkurenta z finałowego pojedynku, wraz z młodszym rodzeństwem, jedzących ze smakiem wywalzonego cebularza. Łezka zakręciła jej się w oku.

Bum! Jedna z książek spadła z regału. Calineczka ocknęła się. Siedziała u siebie w domu oparta o jedną z półek. Musiała zasnąć. Jej błękitne oczy poraziło słońce. Postanowiła poczytać książkę, do której wcześniej chciała zajrzeć. Księga nosiła tytuł: *Opowieści i legendy lubelskie* i wyglądała na wiekową. Pierwszy rozdział był o Czarcię Łapie. Na jednej z pięknie zilustrowanych stron siedział rudy chłopak. Dziewczyna skądś go kojarzyła, ale nie mogła sobie przypomnieć. Wtedy rudzielec mrugnął do niej okiem.

- Nie, to tylko sen - pomyślała. - A może?

Niezwykły sen

Wrześnie słońce oświetlało ruiny łżeckiego zamku. U podnóża góry zamkowej z dala od innych zabudowań wznosił się niewielki drewniany dom i warsztat garncarski. Modrzewiowe ściany domu pokryte były malowniczymi mozaikami, a dach w swe władanie wzięły soczyście zielony mech. Tuż za domem rozciągał się malowniczy las brzozowy, w środku którego rósł potężny i stary dąb. Obok płynęła rzeka Iżanka, nad którą w jesienne poranki unosiły się mlecznobiałe mgły. Co rano przepięknie rechotały żaby i śpiewały ptaki. W domu tym zamieszkiwała rodzina Leśmianów. Tata Norbert był, tak jak jego przodkowie, garncarzem. Ciężko pracował w swoim warsztacie, aby utrzymać rodzinę. Był to wysoki, barczysty mężczyzna o kruczoczarnych włosach. Mama Anna, drobna, ale bardzo energiczna kobieta o jasnych włosach i szczerym uśmiechu z pasją zajmowała się też domem i wychowaniem ich dwóch synów. Wyrabiała też w domu proste lniane tkaniny, z których szła dla synów i męża koszule. Ojciec i synowie nosili też lniane spodnie, kaftany i kamizelki, a na głowach w lato mieli kapelusze plecione ze słomy lub sosnowych korzeni, zaś w okresie zimowym czapki zwane rozłupami. Mama zaś ubierała się w damską lnianą koszulę, kaftan, spódnice i dwie zapaski (przednią i naramienną), a na głowie nosiła tiulowy czepek lub chustkę.

Starszy syn miał na imię Adam zaś młodszy Paweł. Rodzice źle i niesprawiedliwie traktowali Pawła. Przymuszali go do ciężkiej pracy w domu i w warsztacie ojca, podczas gdy starszy brat całe dnie spędzał na zabawie. Adam szydził z brata, mówiąc, że do niczego się nie nadaje i dlatego musi tak ciężko pracować. Paweł miał dobre serce, był wrażliwym chłopcem i znosił w pokorze niedolę i nigdy nie przestał kochać rodziców i barta. Smutek przepełniał jego serce. Jedyne co pozwalało mu na chwilowe oderwanie się od ciężkiego losu, były wędrówki wzdłuż brzegów Iżanki i po brzozowym lesie.

Pewnej sobotniej nocy Pawłowi śniło się, że jest razem z rodzicami w lesie znajdującym się blisko domu, śniło mu się, że się śmieje i jest szczęśliwy. Kiedy przechodził obok potężnego dębu potknął się o jego korzeń i wpadł w dziurę. Nagle się obudził lekko przestraszony. Było wcześniej, słońce dopiero wschodziło, wesoło rechotały żaby znad Iżanki i śpiewały ptaki.

- Dzieci! Dzieci! Śniadanie, mam coś ważnego to powiedzenia, właśnie zdecydowaliśmy z ojcem, że Adam pojedzie w nagrodę na kolonię, a ty Paweł, przez to, że byłeś niegrzeczny, zostaniesz w domu - powiedziała mama.

Adam aż poczerwieniał z zachwytu i śmiał się z brata. Zdenerwowany i skrzywdzony Paweł wybiegł z domu.

Paweł pobiegł do lasu. Nagle zatrzymał się przed ogromnym dębem. Kiedy chciał zrobić krok do przodu zawadził o korzeń i wpadł w tunel. Pędził jak na zjeżdżalni w dół i nagle wpadł w wielką zaspę śniegu. Kiedy się z niej wydostał spostrzegł, że znajduje się w jakiejś dziwnej krainie. Wszystko było skute lodem. Kiedy zrobił kilka kroków zauważył, że podchodzą do niego stworzenia, których wcześniej nigdy nie widział. Przypominały trochę sarny, miały też pawie ogony i lisie łapy. Były całe

pokryte szronem i wyglądały na bardzo zmarznięte. Największe z tych stworzeń podeszło do Pawła i odezwało się do niego ludzkim głosem:

- Co ty tu robisz? Skąd przybywasz? Jak masz na imię?

Paweł w skrócie wyjaśnił, jak się tu znalazł i zapytał, co to za kraina. Przedstawił się swoim imieniem i powiedział, że jest człowiekiem.

- Ja mam na imię Matras - oświadczyła istota. - Kraina, w której się znajdujemy to Lodowy Cierń, a my jesteśmy Geborami. Dawno temu ta kraina nazywała się Oaza i żyliśmy w szczęściu i dostatku. Nasz przodek Rek za obietnicę dożywotniej władzy oddał nas we władanie złemu władcy o imieniu Zimny Mor, bratu Królowej Śniegu. Po śmierci Reka Zimny Mor zamienił naszą krainę w pokryte lodem pustkowie, pogasił wszystkie dzikie i naturalne ognie, które płonęły pośród pól i podtrzymywały życie naszej krainy. Zimny Mor skazał nas na powolną śmierć z zimna i głodu - skończył smutno swą wypowiedź Matras.

Chłopiec szczerze przejął się losem nowopoznanych istot.

- Jak wam pomogę pomóc? - zapytał.

- Musimy ponownie rozpałcić te dzikie ognie, żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu, ale nie umiemy tego zrobić - powiedział Matras.

Nagle odezwał się jeden z Geborów, stający nieco dalej od Pawła.

- Mam na imię Hern i jestem tu najstarszy, nie możesz nam pomóc, już kiedyś widziałem kogoś z twojego gatunku. Była u nas pewna mała dziewczynka, która chciała nam pomóc rozpałcić te ognie. Miała ze sobą zapalki, których nikt w waszym świecie nie chciał od niej kupić i dlatego zmarła ona z głodu i wyziębienia. Zapalki te rozpałała i tutaj, jednak one szybko gasły na mrozie i w końcu ona też zgasła tak jak w waszym świecie.

Paweł posmutniał. Przypomniawszy sobie, że ojciec nauczył go rozpałcać ogień przy użyciu krzemienia i kawałka kory. Zażądał więc, aby mu je podano. Matras podał mu dwa krzemienie oraz korę. Paweł pocierając jeden kamień o drugi wykrzesał iskry, które zapaliły korę. Oczom zebranych ukazały się płomienie, które dawały przyjemne ciepło. Geborowie wybuchnęli wielką radością i chodząc po całej krainie ponownie rozpalili dzikie i magiczne ognie, które szybko ogrzały i przywróciły ją do życia.

Szczęśliwy Matras i Hern przynieśli w podziękowaniu Pawłowi cały ganek złota.

- Wiem, że wy ludzie bardzo lubicie złoto, więc przyjmij ten dar jako dowód naszej wdzięczności - powiedział Hern.

- Nie chcę tego złota, nie zrobiłem tego dla zysku. Wiem, że zawsze trzeba czynić dobro i pomagać wszystkim w potrzebie, a zwłaszcza tym najsłabszym, nie oczekując nic w zamian - stwierdził Paweł.

Wówczas Hern przywołał go do siebie i nosem dotknął jego dłoni, następnie zaczął mówić:

- Ty uratowałaś nasz świat, a ten znak na twojej dłoni naprawi twój, bo serce twe przepelnia czysta miłość.

Paweł nie zrozumiał tych słów, nagle poczuł w sobie wielką i dziwną moc po czym stracił przytomność. Kiedy się ocknął leżał pod dębem w lesie. Pomyślał sobie, że był to tylko sen. Poczuł nagle swędzenie na dłoni i zobaczył czerwone znamię. Wygląd lasu całkowicie się jednak zmienił. Paweł zrozumiał wówczas, że naprawdę był w krainie Gaborów i to przez długi czas, a wydawało mu się, że to były tylko chwile. Kiedy wrócił do domu, zobaczył, że w łóżkach leżą ciężko chorzy rodzice.

- Co się stało? - zapytał Paweł matki, wchodząc do domu.

- Twój starszy brat opuścił dom i zostawił nas na pastwę losu, zbierając wszystkie pieniądze. Nie oczekujemy od ciebie pomocy, bo wiemy, że bardzo cię skrzywdziłeś - odpowiedziała, płacząc gorzko matka.

Paweł, nie wahając się ani chwili, podszedł najpierw do niej, potem do ojca i odruchowo dotknął ich naznaczoną przez Herna dłonią w czoła. Wtedy zrozumiał jego słowa. Moc przekazana mu przez niego uzdrowiła oboje rodziców. Matka z ojcem zaczęli płakać i przepraszać Pawła za całe zło, które mu wyrządzili. Syn był bardzo szczęśliwy, że rodzice odzyskali zdrowie.

- Wybaczam wam i choć wiem, że źle mnie traktowaliście, nigdy nie przestałem was kochać, bo tylko miłość może pokonać zło - powiedział Paweł.

Tak bezinteresowna miłość, jaką nosił w sercu swoim Paweł, przemieniła zatwardziałe serca rodziców.

Alina Brzezińska

Ogień

Zosia była dziewczynką niezwykłą w każdym tego słowa znaczeniu. Wyróżniała ją dobroć, uczynność, miłość do świata i bliźniego. Nie miała jednak przyjaciół. Ludzie się jej bali, nawet nie chcieli jej poznać.

- Ach, nikt na świecie nie ma gorzej ode mnie! - westchnęła dziewczynka, wpatrując się w lustro. Powodem wszystkich jej zmartwień i problemów były intensywnie czerwone oczy. Smutna i zdenerwowana wsunęła się pod kołdrę i śniła o pięknym błękicie i głębokiej zieleni.

Następnego dnia, w wigilię, wyszła na długi spacer. Przemykała wśród gęsto zabudowanych kamieniczek Warszawy, podążając ulicami wybrukowanymi kocimi łbami. Dotarła na Plac Zamkowy, minęła kolumnę Zygmunta i Zamek Królewski, po czym skręciła w wąski zaułek.

- Przepraszam, czy chciałaby pani kupić zapałki? - odezwała się drobniutka, bosa dziewczynka siedząca pod ścianą.

- Nie, dziękuję. Nie jest ci zimno? - odpowiedziała Zosia, przejęta kruchym głosem niewiele od niej starszej sprzedawczyni.

- Trochę. To nic takiego - rzekła mała z delikatnym uśmiechem.

- Czy chciałabyś pójść ze mną do domu i się ogrzać? Mieszkam niedaleko.

Zosia oddała swoją czapkę i rękawiczki nowo poznanej, za co dziewczynka podarowała jej paczkę zapałek.

Matka czerwonoookiej przeraziła się, gdy zobaczyła swoją córkę bez okrycia głowy, za to z zziębniętą osóbką.

- Dobry Boże, dziecko, przecież jest mróz na dworze, a ty chodzisz bez głanów? Pewnie już zmarłaś na śmierć w tym czerwonym paltociku. Wejdz, ogrzej się - matka przejęta wyglądem małej zaprosiła ją do środka. - Zosiu, to bardzo ładnie z twojej strony, że pożyczyłaś koleżance kепę i łapowniczkę, ale sama mogłaś się zaziębić.

Gdy dziewczynki wypłyły gorącą wodę i nieco się ogrzały, rozległo się pukanie do drzwi. Brzmiało ono jednak inaczej niż zwykle. Równo trzy uderzenia, głośne, przypominające raczej bicie dzwonów kościelnych niż głuche stukoty kołatki.

- Nowy rok nadchodzi, stary precz odchodzi! Niech każdy się z tego raduje, szczerakiem kolędników poczęstuje. Zdrowia, szczęścia, radości, urodzaju i miłości. Nasze przedstawienie obejrzyjcie, w głąb siebie zajrzyjcie. Cuda obserwujcie, w nieznane powędrujcie - zaśpiewał turoń, przewodnik grupy kolędników.

Chłopiec obok niego niósł gwiazdę betlejemską, kilku młodzieńców i panien przebrało się za zwierzęta i aniołki. Mieli ze sobą szopkę używaną jako rekwizyt. Według starych, mądrych ludzi przyjęcie kolędników zapewnia pomyślność, więc kobieta uśmiechnęła się do przybyszów serdecznie.

- Bardzo chętnie obejrzymy wasz występ.

Młodzi zaśpiewali skoczną kolędę i odegrali krótką scenkę dotyczącą narodzin Chrystusa.

- To było klawe przedstawienie - pochwaliła Zosia, gdy kolędnicy się uklonili.

Przyniosła kilka orzechów i owoców, i wręczyła je występującym. W ten sposób pozbawiła samą siebie porcji rarytasów, chciała jednak podzielić się z gośćmi wszystkim, czym mogła.

Nagle pociemniało jej przed oczami. Wznosiła się w pustce, nie mogła się ruszyć ani rozejrzeć. Wśród szarości dziewczynka widziała tylko iskrzące się czerwone ślepie.

- Pomogłaś dzisiaj wielu osobom. Uratowałaś dziewczynkę od mrozu i głodu, wsparłaś kolędników darem prosto z serca. Czego byś sobie życzyła w nagrodę? - odezwał się głęboki głos. Drżał, jak zbyt mocno naciągnięta struna i wypełniony był dziwną mocą.

Zosia wiedziała, czego pragnie. Nie zastanawiała się ani przez chwilę. To przecież było oczywiste, czekała na taką okazję przez całe życie.

- Chcę być normalna. Wyglądać jak wszyscy inni - poprosiła cicho.

- Jesteś pewna, że to normalności szukasz? Wiedz, że twoje oczy są takie nie bez powodu. Płonie w tobie gorący ogień miłości i dobroci, żarzy się i jaśnieje. Dzięki niemu lub też raczej przez niego, widzisz inaczej niż drudzy, słyszysz więcej niż inni. Rozumiesz i starasz się pomóc. Boli cię ludzka krzywda.

Zosia zastanowiła się nad wypowiedzią głosu i po chwili rzekła:

- Wszystko to brzmi tak pięknie i dobrze, jednak ludzie się mnie boją.

- W końcu trafisz na osoby, które cię pokochają. Twój ogień wzmocniony miłością może być źródłem wielkiego szczęścia, będziesz pomagać innym i szerzyć dobro. Pamiętaj, że każdy kto się wyróżnia ma trudniej w życiu. Potencjał niesie ze sobą ciężar odpowiedzialności. Dlatego daję ci wybór - odpowiedział głos.

Dziewczynka przemyślała usłyszane słowa. Dobro nie jest łatwą sztuką, przez nie trzeba nieraz cierpieć. Można jednak pomagać innym znieść ich trudy.

- Nie chcę rezygnować z ognia - wyszeptwała.

Nie widziała nic oprócz ognistych oczu, ale była pewna, że właściciel głosu uśmiechnął się szeroko.

- Jak sobie życzysz. Masz jeszcze życzenie do wykorzystania.

- Chciałabym mieć prawdziwą przyjaciółkę.

Wiele lat później, w niewielkim pokoiku warszawskiej kamienicy, stara kobieta o ognistych oczach leżała w łóżku. W mieście nad Wisłą panowała żaloba, bo dobra wróżka, kochająca i pomocna, odchodziła z tego świata.

-To było dobre życie - wyszeptwała Zofia. - Niczego w nim bym nie zmieniła. Nie było łatwo, lecz każdy uśmiech, który spowodowałaś, radował me serce i budował we mnie siłę na następny dzień.

- Jesteś największym darem, jaki Syreni Gród mógł otrzymać. Jaki ja mogłam otrzymać w tamten wigilijny wieczór- uśmiechnęła się ciepło Anna.

- Nie ja, Aniu, nie ja - odrzekła starszka. - Dobroć i empatia. Przyjaźń i miłość. Ogień, który płonie w każdym. Trzeba tylko wrzucić do niego wystarczająco dużo drewniek.

- Ja tam nie mam w sobie ognia. Rozpuściłbym się cały - mruknął sopol lodu, zwisając przy oknie i wpatrując się obojętnie w zmarłą kobietę.

Zofia Jagiełło

O nadziei, która może pojawić się znikąd

W mieszkaniu panowała błoga cisza. Chłopak wziął głęboki wdech, gdy nagle usłyszał wołanie mamy. Przewrócił oczami i niechętnie dźwignął się z łóżka, a telefon rzucił na poduszki. Ciężkim krokiem ruszył przez korytarz i w następnym momencie był już w kuchni, gdzie usłyszał podśpiewującą pod nosem kobietę.

- Co się stało? - westchnął i skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

- Och! Jesteś w końcu - spojrzała na niego wielkimi oczami i podjechała wózkem do kuchenki, na której smażyły się tosty francuskie. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Mhm... jak zwykle.

- Nie marudź. Widzisz, w jakim jestem stanie. Nie mogę robić wszystkiego.

- Dobra, dobra. Co mam zrobić? - przerwał matce, póki nie zaczęła swojego typowego wywodu na temat pomocy.

- Poodkurzaj, proszę. Będziemy mieć gości - odpowiedziała i wyjechała z kuchni.

Spojrzał za nią i niepostrzeżenie wrócił do swojego pokoju. O mało nie dostał zawału, gdy zobaczył wysoką postać, stojącą obok jednej z szafek. Była ubrana w chabrową sukienkę do kolan, a na rudych włosach miała tego samego koloru kapelusik z zawiązaną pod brodą wstążką. Spojrzała na niego, a młodzieńcowi w oczy rzuciła się twarz upstrzona piegami i duże zielone oczy, które lustrowały jego osobę.

- Myślałam, że masz coś do zrobienia - odezwała się w końcu.

- Kim jesteś? - zapytał chłopak.

Był wyraźnie zdezorientowany, jednak nie codziennie się widuje obcych ludzi we własnym pokoju.

- Jestem Savana - odwróciła się w jego stronę, w ręce trzymała ramkę ze zdjęciem. - Wróżka tancerzy i artystów.

- Nie wiem, czego tutaj szukasz, ale wiedz, że źle trafiłaś - odpowiedział jej, z całych sił powstrzymując się przed prychnięciem.

- Obawiam się, że nie masz racji, Tomaszu - powiedziała i uniosła zdjęcie tak, aby chłopak mógł je zobaczyć.

To był on. Era, kiedy Tomasz interesował się tańcem ludowym, skończyła się miesiąc po wypadku jego mamy. Po nim, nie było już noszenia pięknych, kolorowych strójów. Ciężkie, czarne jak smoła bucioro, wykrochmalone koszule ze zdobieniami i kamizelki ze wszytymi drobnymi koralikami poszły w zapomnienie.

- Chyba jednak dobrze trafiłam - stwierdziła, gdy z twarzy Tomasza wyparowały wszystkie kolory i została sama biel. - Usiądź, opowiem ci pewną historię.

Nastolatek szybko spełnił jej prośbę.

- Wiesz, że jestem wróżką tancerzy, taką trochę opiekunką - siadła obok niego. - Ale moja droga do zostania nią była... intrygująca, powiedzmy. W mojej krainie nie zawsze było kolorowo, kiedyś panowały surowe zasady, zakaz śpiewu, tańca, nawet uśmiechania się! Wszystko było szare i smutne - dziewczyna widocznie spochmurniała na to wspomnienie. - Ale pokonałszy to, zdjęliśmy koronę z głowy dawnej królowej. Nie było łatwo, a wydarzenia z tamtych dni dalej śnią mi się w najokropniejszych koszmarach. Pamiętaj, że dobro zawsze zwycięży, prędzej czy później - spojrzała na niego, ale szybko odwróciła wzrok i skupiła się na widoku za oknem.

Nie ma co się dziwić, zima w tym roku była wyjątkowo piękna. Tata nawet wysłał mu zdjęcia ośnieżonej Gubałówki.

- Dobrze, ale dlaczego mi to mówisz? - zapytał po chwili ciszy.

- Bo twoja mama też kiedyś była tancerką, a teraz nie może robić tego, co tak bardzo kochała. Ma jeszcze szansę wrócić do zdrowia, ale musisz jej pomóc. Miałeś coś zrobić. - spojrzała na niego z wyrzutem na twarzy.

Tomasz przetrwał powoli jej słowa. Nie wiedział nic o przeszłości swojej mamy, zawsze omijała ten temat i zaczynała mówić o czymś innym. Za to wspominała często o tym, że gdy była w jego wieku, to bardzo interesowała się kulturą ludową. Dużo mu opowiadała o kulturze Pomorza, świętowaniu Wielkanocy, podczas której turlała jajka ze wzgórza, o nocnych żniwach w towarzystwie muzyki. Fascynowała się starymi zwyczajami, na przykład, że ciężarna kobieta nie może gotować wody, bo może to zaszkodzić dziecku. Po wypadku jego mama ucichła jak jaskółki podczas deszczu, a chłopak tęsknił za tamtymi czasami, gdy ciągle ze sobą rozmawiali.

- Jak mogę jej pomóc? - zapytał w końcu.

- Wykonaj to, o co cię prosiła. Wtedy dam ci coś, co pomoże jej wrócić do pełnego zdrowia. Lekarze będą mówić, że to cud - rzekła, a w następnej chwili pozostał po niej tylko sypiący się brokat.

Chłopak westchnął i wstał. Poszedł do schowka i wyjął z niego odkurzacz. Po drodze jeszcze zajrzał do pokoju mamy, ale ta spała. Nie chciał jej obudzić hałasem odkurzacza, ale jeśli prawdą jest to, co powiedziała mu Savana? Podłączył sprzęt do gniazdka i zaczął odkurzać. Pochłonęły go myśli. Wierzył? Wierzył w tę całą bajeczkę o magicznej krainie, w której panował smutek i ból? Po tym, co przeszedł w ciągu swojego życia, nic by go nie dziwiło, więc jakaś częśćka jego wierzyła.

W tym momencie do kuchni wjechała jego rodzicielka, a w mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka. Tomasz poszedł otworzyć. Za drzwiami zobaczył dziwną parę, wysokiego chłopaka o czarnych włosach i śniadej cerze i dziewczynę, w której rozpoznał Savanę. Bez słowa podała mu pudełko, a gdy uchylił wieczko, ujrzał buteleczkę z czymś czerwonym w środku i dołączoną do niej karteczką: Trzy dni i wszystko wróci do normy.

I wtedy chłopak uwierzył, że do jego życia może powrócić muzyka.

O Zuzance

Działo się to w czasach, które mało kto już pamięta, w trakcie dni tak trudnych i upiornych, że raczej nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że takie chwile miały miejsce w naszej historii. Przerazające burze i deszcze, stada dzikich, wściekłych wilków i innych stworzeń niezwykle do nich podobnych, o niewyobrażalnym okrucieństwie, w krystalicznie niebieskich oczach niosące spustoszenie i śmierć. Siedziby ludzkie stały narażone na ataki, a ucieczka nie miała sensu.

Właśnie w owych czasach, w jednej z mazowieckich osad, żył Artur, określany też mianem Niedźwiedzia ze względu na niezwykłą siłę. W chłopcu tym pokładano wielkie nadzieje związane z obroną społeczności. W wiosce położonej w drugiej części regionu mieszkała zaś delikatna, małeńka dziewczynka zwana Zuzanką. Jej łagodność i dobroć niejednego potrafiły wprawić w osłupienie, a serdeczność i bezinteresowność kruszyły najbardziej skamieniałe serca. A trzeba wspomnieć, że było takich wiele, bowiem niejednokrotnie od bezwzględności zależała szansa na przeżycie w owych okrutnych czasach. Skoro strach było opuszczać domostwa, to i ciężko było zadbać o wykarmienie mieszkańców wiosek, dlatego co jakiś czas ochotnicy z poszczególnych osad wybierali się w głąb puszczy po skarby lasu, czyli nieco smakowitsze kęsy niż tylko tradycyjnie spożywane ziemniaki. Niestety nie wszyscy śmiałkowie wracali do domów...

Złożyło się tak, że zarówno w wiosce Artura jak i Zuzanki od kilku tygodni żaden odważny z lasu nie wrócił, a los sprawił, że akurat ta dwójka dzieci zadeklarowała chęć wyprawy. Rodzice Artura z wielkim przerażeniem, ale nieskrywaną dumą w spojrzeniu, zaaprobowali decyzję syna. Nieco inaczej sprawy się miały w wiosce dziewczynki.

- Małeńka nasza, gdzież ty do tego ogromnego lasu?! Dla paru grzybków czy jagód będziesz narażała życie?! - szlochała matka dziecka, a ojciec łkając skrywał twarz w dłoniach.

- Tak, mameczko, jestem pewna, że wrócę tu ze skarbem - odrzekła pogodnie dziewczynka.

Nie mając możliwości wpływu na decyzję Zuzanki, wiadomym bowiem było, że powstrzymanie śmiałka przyniesie wielkie nieszczęście i sprowadzi tragedię na jego rodzinny dom, rodzice z sercem na dłoni pożegnali dziecinę.

To był właśnie ów wyjątkowy dzień, w którym barczysty, silny Artur i drobna, subtelna Zuzanka ruszyli w głąb lasu z dwóch jego różnych stron. Wędrowali spokojnie, rozglądając się za skarbami. Ani chłopca, ani dziewczynki nie zaczepiały dzikie zwierzęta, wręcz przeciwnie - przestrzeń była jakby martwa i pusta. Każde z dzieci wiedziało, że nie był to stan normalny i knieje skrywały mroczne tajemnice... Zadziwiający był również brak chociażby popularnych kurek czy podgrzybków, a Artur tak bardzo marzył o parzybrodzie, ale nie byle jakiej! O, nie! Artur był smakoszem, zatem dodatek dziczyzny i grzybów był na wagę złota... Rozmarzony chłopak nie zauważył białych, błękitnych ślepi skrytych w gęstwinie, a wlepionych w niego bez pamięci. Nim zdołał się zorientować, co się dzieje, horda bestii otoczyła go, a przywódca stada rzucił się na niego i chwytając za kurtkę, przerzucił przez

zarośla, niczym zabawkę. Chłopak padł pod nogi Zuzance, która akurat w tę część puszczy zdążyła zawędrować. Dziewczynka nieco odbiegła, ale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji w jakiej się znaleźli. Zwierzę ominęło Artura i zbliżyło się do niej... Krystaliczne oczy w swojej srogiej dzikości wyrażały jeszcze więcej, niż wyszczerzone kły i sylwetka agresywnie wygięta w łuk. Ale dziewczynka stała bez ruchu, wpatrując się w stworzenie. Artur z daleka widział jedwabnicę, kolorową zapaskę i czerwone korale, tym czerwieniejsze, że na koszulce bielunce położone. Był pewien, że bestiom nie potrzeba większej prowokacji, by zaatakować dziewczynkę. Ta jednak podniosła dłoń jakby nieświadoma zagrożenia i skierowała ją w stronę przywódcy hordy. Twarz wyrażała bezgraniczne zaufanie, dobroć i szacunek. Zanim Artur zdążył zerwać się, by osłonić małą bohaterkę, bestia była tuż przy niej, ale niczym niesposzona Zuzanka zdążyła wyjąć spod zapaski pudełko zapałek i odpaliła jedną z nich. W płomieniu ukazał się obraz, którego chłopiec nie zdołał dostrzec, ale spowodował, że dzikie zwierzę odsunęło się o krok. Zapałka zgasła... Dziecko błyskawicznie potarło o pudełko kolejną zapałkę i sytuacja powtórzyła się kolejny raz i kolejny...

- Czy teraz rozumiesz? - głos dziewczynki, skierowany do krystalicznookiej bestii brzmiał oszałamiająco głośno w martwej ciszy lasu.

Zwierzę opuściło łeb, a wraz za nim wszystkie pozostałe. Można było dostrzec niepojętą dla obserwatora pokorę, zaś oczy - do tej pory okrutnie drapieżne, przybrały kolor orzecha jak u ślepego, który pozbył się bielma z oka i odzyskał wzrok. Dziewczynka uśmiechnęła się, a stworzenia, niczym zahipnotyzowane rozbiegły się po lesie tylko po to, aby po chwili przynieść pod nogi dzieci mnóstwo grzybów, jagód oraz drobnej zwierzyny znakomitej do sporządzenia potraw. Artur nie wierzył własnym oczom, wyobrażając sobie talerze pełne pysznych potraw, zaś twarz Zuzanki wyrażała aprobatę i dumę. Gdy leśnych skarbów było naprawdę mnóstwo, bestie usiadły, czekając na dalsze rozkazy dziewczynki.

- Pomóście, kochane wilkory i zanieście smakołyki do okolicznych wiosek. Cieszę się, że was spotkałam - po tych słowach wyciągnęła drobne rączki, a olbrzymie bestie przytulały się do niej, niczym bezbronne kocięta. Gdy odbiegły zwróciła się w stronę Artura:

- Wracaj spokojnie do domu. Opowiedz o tym, co tu zaszło.

- Jakże mógłbym?! Wrócimy razem! Nigdy nie spotkałem tak cudownej istoty jak ty! Przecież...

Zuzanka nie pozwoliła mu dokończyć myśli, stanowczo kontynuując:

- Musisz odnaleźć również moją wioskę i moich rodziców, bowiem ja już do nich wrócić nie mogę, choć zawsze będę blisko... Po tych słowach skuliła się na ziemi i nim się Artur spostrzegł, spod ubrań leżących na ziemi wyleciał maleńki słowik i świergocząc przysiadł przed nim na gałęzi. Chłopiec zrozumiał. Od dawna bowiem wiadomo, że prawdziwy słowik potrafi przepędzić śmierć i przywrócić zdrowie, nawet najbardziej chorym ze wściekłości bestiom.

Ptaszyna z Zielonej Doliny

Dawno, dawno temu, wśród rozległych lasów, znajdowała się Zielona Dolina, przez którą płynęła mała struga. Nad Doliną, w północnej części województwa opolskiego, na Ziemi Kluczborskiej leży uroczą wieś - Wierzbica Górna. W środku wsi stoi stary pałac otoczony parkiem. Rosną w nim wiekowe, rozłożyste drzewa. Park poprzecinany jest szerokimi alejami, na których stoją rzeźbione ławki. Konary drzew oplecione są ciemno-zielonym, błyszczącym, bluszczem, co powoduje, że park jest miejscem tajemniczym i magicznym.

Pewnego dnia właściciel pałacu Magnus Olsen, spacerując po parku przez kobierzec biało - fioletowych kwiatów, ujrzał wylatującego z krzaczka różanecznika, złoto - purpurowego ptaszka. Jego skrzydła przypominały wachlarze wysadzone drogimi klejnotami, ogon ptaka iskrzył jak posypany złotym pyłem, a łebek migotał jak diadem wysadzany drogimi szmaragdami. Śpiew ptaka był tak piękny i czuły jak głos mamy, która śpiewa kołysankę swojemu ukochanemu dziecku. Zafascynowany widokiem tego niecodziennego ptaszka, Magnus zajrzał w środek rozłożystego, pokrytego czerwonym kwiatem różanecznika.

- O Matko, co za cudo?! - krzyknął Magnus.

- Jak żyję, nie widziałem tak pięknego stworzenia!

W środku krzaczka było gniazdo z dwoma jajkami i siedzącym na nich złoto - purpurowym ptaszkiem. Właściciel pałacu poczuł łatwą szansę wzbogacenia się. Zaczął śpiewać i tańczyć z radości.

- Od dzisiaj będę trzy razy dziennie was doglądał, przynosił jedzenie, picie. Postawię tutaj daszek, aby deszcz was nie zmoczył, a wiatr nie oziębził - obiecał Magnus.

Jak postanowił, tak też i zrobił. Nie mógł się doczekać, kiedy ptaszki przyjdą na świat. Po około dwóch tygodniach, gdy promienie słońca głąskały konary drzew, właściciel pałacu zobaczył, że jedno z jaj zaczyna pękać. Krzyknął uradowany:

- W końcu zaczyna się coś dziać! Będę bogaty! Ale, ale..., co się dzieje z drugim jajem? Zamiast pękać, to rośnie i na dodatek jest jakieś kanciaste i szarobure. Muszę się go pozbyć, bo jeszcze zgniecie to małe, złote jajeczko i wtedy już nigdy nie będę bogaty!

Ciemną nocą zabrał jajko z gniazda i wrzucił do rzeczki Stobrawy, nie zważając na to, że jajko już zaczyna pękać i rodzi się nowe życie. Jajko płynęło z nurtem rzeczki, objijając się o wystające kamienie i połamane gałęzie drzew dryfujące po tafli wody. Woda była lodowata, a jajko pękało już coraz bardziej.

Nad brzegiem Stobrawy, porośniętym trzcina i tatarakiem siedział rybak Emil.

- Cóż, dzisiaj ryby nie biorą. Trzeba zabierać się do domu - powiedział Emil.

Wtedy zauważył unoszące się na wodzie duże, popękane jajko, z którego wystawała szara, przemoczona główka ptaszka.

- A cóż to takiego? - powiedział.

Emil wszedł do wody i w ostatniej chwili złapał jajko. W tym momencie jajko pękło. Oczom rybaka Emila ukazał się szary, niepozorny ptaszek.

- Biedaku, co tutaj robisz? Skąd się tu wzięłeś? Gdzie twoi rodzice? - rybak zadawał pytanie za pytaniem.

Wyciągnął z kieszeni chustkę i otulił przemarzniętego Ptaszka. Zabrał go do domu, ogrzał, nakarmił, napoił. Z pudełka po tabace zrobił mu łóżeczko i wyłożył je delikatnym siankiem z pierwszych pokosów trawy. Przykrył go suchym mchem, którego ma pod dostatkiem, gdyż okolica, w której mieszka słynie z pięknych lasów. Przyrządzał mu pyszne malutkie roladki wołowe, kluseczki śląskie oraz przepyszny rosół z gołębia i żurek śląski. Na deser serwował Ptaszkowi ciasteczka ze skwarek, zwane szpyrkami. Specjalnie dla niego, Emil przygotował syrop z pędów sosny oraz mleczu, zebranego z łąki koło jego chatki, osładzając go miodem lipowym z własnej pasieki. Z każdym kolejnym dniem Ptaszek stawał się coraz silniejszy.

Pewnego dnia, gdy słońko wyszło zza chmur, a rosa migotała jak diamenty na zielonych źdźbłach trawy, Ptaszek przemówił:

- Dzień dobry Człowieku o Złotym Sercu. Jak ci na imię?

- Jestem Emil - odpowiedział Rybak.

- Emilu, dziękuję ci bardzo, za to, że pochyliłeś się nad tak marną istotą jak ja i uratowałeś mi życie - powiedział Ptaszek. - W zamian spełnię twoje życzenie. Powiedz, co chciałbyś otrzymać za to, że uratowałeś mi życie?

Rybak bez chwili wahania, rzekł:

- Mój Drogi Przyjacielu, niczego nie potrzebuję. Mieszkam w małym domku wśród pięknych ukwieconych łąk i pachnących, pełnych darów lasów. Jestem zdrowy, głodny nie chodzę, a w tobie znalazłem przyjaciela.

Ptaszek słuchał w skupieniu i po chwili powiedział:

- Jesteś bardzo wartościowym człowiekiem, prawdziwym chrześcijaninem, ale pamiętaj, że jak tylko będziesz czegoś potrzebował, pragnął, to mi o tym powiesz.

- Zgoda - odpowiedział Emil.

Następnego ranka, idąc przez otuloną białym welonem łąkę, Emil zobaczył chyłą się ku upadkowi chatkę. Wówczas przypomniał sobie o wdowie Annie i jej chorej córeczce Emmie. Natychmiast zawrócił w stronę domu i pobiegł najszybciej jak potrafił.

- Mój przyjacielu, już wiem, jakie jest moje życzenie. Niedaleko ode mnie, mieszka biedna wdowa Anna ze swoją chorą córeczką Emmą, która już od bardzo dawna leży w łóżku i nie może zobaczyć otaczającego nas świata, pooddychać świeżym powietrzem, posłuchać śpiewu ptaków. Czy mógłbyś odmienić ich los? Nie proszę cię o bogactwo dla nich, tylko o zdrowie i normalne życie - powiedział Emil.

- Oczywiście, że spełnię twoje życzenie - odparł Ptaszek. - Wyjdź z domu, zbierz cztery krople porannej rosy, nektar z żółtego kaczęńca, dodaj czterolistną koniczynkę. Wymieszaj wszystko w szklanym słoju, potrząśnij nim trzy razy, a następnie wypij ten napój i zrób trzy obroty wokół siebie. Emil postąpił tak, jak kazał mu Ptaszek. Obracając się ostatni raz, zobaczył wdowę Annę i jej córkę Emmę, która biegała, śpiewała i tańczyła na łące wśród promieni słońca, żółtych kaczęńców i czerwonych maków.

Emil i Anna zakochali się w sobie, wzięli ślub. Żyli długo i szczęśliwie opiekując się wnukami.

A Magnus Olsen, właściciel pałacu, no cóż..., nigdy, ale to nigdy się nie wzbogacił. Ptaszek, którego sobie zostawił, okazał się tylko zwykłym, żółtym ptaszkiem. Chciwość tak przysłoniła mu oczy, że do końca swoich dni pozostał samotnym, zgorzkniałym człowiekiem.

Rzeka Pastęka - granica światów

Nad piękną rzeką Pastęką, zwaną onegdaj Pasarją, żyła sobie rodzina: ojciec, matka i trzy córki: najstarsza - Justyna, średnia - Katarzyna i najmłodsza - Barbara. Mieszkali w malutkim, skromnym domku zbudowanym z czerwonej cegły, jakich było wiele na warmińskiej ziemi. Byli biedni, ale szczęśliwi. Dziewczynki uwielbiały bawić się w lesie lub moczyć nogi w Pastęce. Rodzice wiedzieli, że ich pociechy nie zgubią się, bo przez cały las jak ogromna strzała, przepływała rzeka. Dzieci mogły bawić się swobodnie w jej okolicach, lecz zakazano im przechodzenia na jej lewy brzeg, gdyż - jak wierzono - była ona granicą pomiędzy światem ludzi a światem baśni. Kto przeszedł na drugą stronę, ten już nigdy nie powrócił. Niektórzy wierzyli, że kiedyś zagubieni odnajdą się. Inni zaś powiadali, że są tam portale, przez które raz w roku do świata ludzi przychodzą wysłannicy władców baśniowej krainy, aby pochwycić dla nich nowych ludzi. Nikt jednak nie wiedział kim są i co tak naprawdę dzieje się za rzeką. Co jest prawdą a co bajaniem starszych.

Była niedziela. W izbie na stole stały ugotowane ziemniaki i usmażona sielawa. Rodzina wyruszyła wzdłuż rzeki na coniedzielną mszę świętą do Gietrzwałdu. Matka z córkami ubrała się w ozdobne czepce haftowane z koronką, czerwone kitle oraz wysokie buty na niewielkim obcasie, w towarzystwie ojca ubranego w filcowy kapelusz, koszulę z kołnierzykiem na guzik, zieloną kamizelkę oraz spodnie buksy z płytkimi butami. Szli pewnie przed siebie, aż tu nagle stało się coś nadzwyczajnego. Nadeszła olbrzymia zielona chmura i niczym opar osiadła na mamę i tatę. Rodzice byli bezradni i przerażeni. Unosili się coraz wyżej i wśród chmur otworzyło się purpurowe przejście. Basia zaczęła płakać, Kasia panikowała, a Justyna stała jak sparaliżowana. Dziewczynki usłyszały tylko ciche:

- Żegnajcie!

Gdy przejście się zamknęło, zapanowała cisza, a po chwili spadł ulewny deszcz.

- Nie płaczcie - rzekła Justyna do siostr. - Odnajdziemy mamę i tatę. Obiecuję.

W myślach nie była tego taka pewna.

Dziewczynki wróciły do domu. Na dworze wielkimi strugami padał deszcz. Przemoczone i wystraszone usiadły i zjadły po dzyndzałku, które mama wczoraj gotowała. Potem poszły do łóżek, jednak żadna nie zasnęła. Brakowało im rodziców, ich miłości i czułości, bardzo tęskniły. W nocy Justyna postanowiła, że przejdzie rzekę i uratuje rodziców. Rankiem przy śniadaniu oświadczyła:

- Moje kochane siostry! Wyruszam ratować rodziców. Wy tu musicie zostać, bo to jest zbyt niebezpieczne. Gdybym nie powróciła, nie szukajcie mnie. Tam istnieje inny świat, z którego raczej nie ma powrotu. Musicie zostać.

Justyna, płacząc, przygotowała się do drogi. Spakowała do tobołka linę, pajdę chleba i wyruszyła. Znalazła starą łódkę, z której ojciec łowił ryby, chwyciła wiosło i odepchnęła się od brzegu. Gdy była już blisko drugiej strony, nadszedł wir. Wyszedł z niego skrzat, który zapytał o przyczynę wizyty.

- Wczoraj opar porwał moich rodziców - zaczęła niepewnie Justyna. - Przyszłam ich uratować - dodała nieco pewniej.

- Chcesz ich uratować, tak? - rzekł prześmiewczo skrzat. - To musisz wykonać zadania. Wtedy odzyskasz rodziców i wrócicie do swojego świata. Musisz wejść na Szklaną Górę bosą. Jak nie, to zaprowadzę cię do Baby Pruskiej i ona zmieni cię w łabędzia. Wskakuj do wiru, ruszamy na Szklaną Górę.

Wir pomknął jak zwariowana winda. Wysiedli. Oczom dziewczynki ukazała się wielka Szklana Góra.

- Masz kwadrans, zostaw tobołek - powiedział skrzat.

Czas minął, a dziewczynie nie udało się wejść nawet do połowy góry. Skrzat zabrał ją do Baby Pruskiej, a po chwili wir wypłynął pięknego białego łabędzia, który zaraz zaczął pływać po Pasłęce.

Zza rzeki wszystko widziała Katarzyna i pomimo tego, co stało się z jej siostrą, poszła w jej ślady, przyjmując wyzwanie od złego diabła z pudełka, który pojawił się zamiast skrzata. Doszła jednak do połowy szklanej góry. Przegrała. Nie zamieniła się jednak w łabędzia tylko w syrenę. Wyleciała z wiru i prawie wpadła na przemienioną najstarszą siostrę. Świadkiem tego wszystkiego była najmłodsza z sióstr. Wyruszyła na ratunek. Wpierw w swym warmińskim fartuszku z wielką kieszenią ukryła buty oraz linę. Na lewym brzegu rzeki pojawiła się nagle zimna jak lód Królowa Śniegu i oznajmiła to samo, co usłyszały wcześniej jej siostry. Wir porwał Basię i za chwilę byli u podnóża Szklanej Góry. Gdy lodowa władczyni patrzyła w klepsydrę, Basia zarzuciła linę jak łąso na szczyt. Wspiniała się naprawdę szybko. Dotarła. Kolejne zadanie polegało na zejściu na dół bez jednego zadrapania. I tym razem dzięki linie Basia poradziła sobie.

- Zostało ostatnie wyzwanie - rzekła Królowa Śniegu. - Jeśli uda ci się je wykonać, odzyskasz rodziców, siostry i dawny spokój. Musisz wyleczyć króla baśni. Przed tobą jego wysokość Cesarz. Czy wiesz, na co on jest chory?

- To proste. Mój ukochany ojciec czytał mi dużo baśni Hansa Christiana Andersena, więc wiem. Cesarz cierpi na chorobę niewidzialnych szat. Trzeba go ubrać w normalne szaty, aby nie był nagim, wtedy ogrzeje swoje ciało i wyzdrowieje.

- Dziękujemy ci, Basiu! Zaraz go odziejemy, a tam w twoim świecie czekają już na ciebie rodzice, siostry i inni, którzy weszli do świata baśni. Teraz już raz na zawsze zamknie się przejście między naszym, a waszym światem. Tu gdzie była nasza kraina powstanie region Mazury. Baśnie poznawać będziecie tylko w księgach! Żegnaj!

Za rzeką, na Warmii czekali już rodzice i siostry.

- Basiu, uratowałaś nas i innych ludzi! - zawołała rodzina.

- Nie mogłam bez was żyć. Musiałam po was iść. Pragnienie utraconego spokoju i miłości dało mi dodatkową siłę, mądrość i nadzieję na budowanie lepszej przyszłości. Tej bez was dla mnie nie było.

- A naszej bez ciebie - powiedziała mama. - Teraz myślę, że będziemy żyć długo i szczęśliwie! Nad naszą wierną rzeką Pasłęką.

Sen o stokrotce

Dawno, dawno temu, w odległej krainie zwanej Ziemią Lubuską, mieszkała piękna dziewczyna o imieniu Gerda i jej narzeczony Kay. Młodzi bardzo się kochali i wkrótce zamierzali się pobrać.

Pewnej nocy mieli taki sam sen. Śniło im się, że obydwójce są na łące. Pogoda była przepiękna. Wszędzie słychać było szum strumyka, który przepływał niedaleko. Gerda jak zawsze zachwycała urodą. Ubrana była w płócienną, białą koszulę, której ramiona pokryte były pięknie wyhaftowanymi drobnymi kwiatuskami. Gorset i spódnicę dziewczyny zdobiły zielone, żółte, czerwone i niebieskie pasy. Całość stroju dopełniały czarne trzewiki i czerwone korale wiszące u szyi. Jasne, rozpuszczone włosy zdobił piękny wianek z zielonych liści winorośli, których krzewy rosną na wzniesieniach.

Młoda dziewczyna siedziała na łące, zewsząd otaczały ją różnobarwne kwiaty. Jednak ona nie odwracała oczu od stokrotek. Cichutko śpiewała piosenkę i głaskała kwiatki po delikatnych płatkach.

Nagle przyjemny letni wietrzyk zmienił się w lodowaty podmuch, a z nieba zaczął padać gęsty śnieg. Wtem pojawiła się Lodowa Pani. Wszystko, na co spojrzała, zostawało pokryte szronem i lodem. Kwiatki, jeden po drugim, zaczęły marznąć. Wiedźma od dawna zazdrosna była o urodę Gerdy i o uczucie, jakim darzyło się tych dwoje młodych ludzi. Zerwała ostatnią żywą stokrotkę i powiedziała, że gdy spadnie z niej ostatni płatek, Gerda umrze. Uratować może ją jedynie inna stokrotka. Rośnie ona na łące pilnowanej przez zaczarowanego psa.

Sen skończył się gwałtownie i Kay natychmiast gdy się obudził, pobiegł do domu narzeczonej. Okazało się, że dziewczyna z niewiadomych przyczyn zachorowała i nie może wstać z łóżka. Koło jej pościania na stoliku w małym wazonie stała jedna stokrotka. Kiedy Kay spojrział na kwiat, jeden płatek upadł na obrus. Zrozpaczony zrozumiał, że sen był prawdziwy i gdy wszystkie płatki opadną, dziewczyna straci życie.

Nie zwlekając ani chwili, postanowił wyruszyć na poszukiwanie stokrotki. Na swojej drodze spotkał wiele kolorowych łąk. Niestety nie rosły na nich ulubione kwiaty Gerdy. Czas mijał i kolejny płatek kwiatka opadł na stolik przy łóżku dziewczyny. Zniechęcony młodzieniec doszedł do winnicy. Na winoroślach wisiały dojrzałe granatowe i zielone owoce. Starszy dżentelmen podszedł do młodzieńca i poprosił, aby ten pomógł mu pozbierać owoce. Kay nie miał wiele czasu, jednak kiedy zobaczył, jak zmęczony jest starzec, postanowił mu pomóc. Mężczyźni pracowali do późnego wieczora i udało im się zebrać wszystkie winogrona.

Po pracy staruszek zaprosił Kaya na kolację i uraczył go przepysznym winem własnej plantacji. Podczas posiłku chłopak opowiedział mu swoją historię. Gospodarz przypomniał sobie, że na zachód od rzeki Odry rozciągają się ogromne stokrotkowe pola. Niestety strzeże ich zaczarowany pies. Podobno potrafi mówić ludzkim głosem i zadaje przechodniom zagadki.

Kay rano podziękował starcowi za dobre rady. W zamian za pomoc dostał dużą, pięknie ilustrowaną książkę pełną rozmaitych baśni i bajek.

- Weź ją, jeszcze może ci się przydać - powiedział starzec.

Zdumionemu chłopakowi wydawało się, że książka jest ostatnią rzeczą, z której może mieć pożytek w podróży. Nie chciał jednak zrobić przykrości dziadkowi i schował podarunek.

Wędrował i wędrował, mijał pola i lasy, lubuskie miasteczka i wsie, aż doszedł do ogromnej łąki. Już z daleka widać było stokrotki, które pokrywały cały teren. Kiedy chłopak zbliżył się, pojawił się olbrzymi czarny pies. Jego oczy były wielkie jak koła młyńskie, a zęby groźnie wyszczerzone.

- Mam na imię Kay. Moja narzeczona umrze, jeżeli nie przyniosę jej jednej stokrotki. Długą przeszedłem drogę, aby się tu znaleźć. Proszę, wpuść mnie.

- Nie tak szybko, najpierw musisz odpowiedzieć na moje trzy pytania - rzekł pies.

- Co to jest? Jako młode jest szare, jako dorosłe śnieżnobiałe?

Kay nie znał odpowiedzi na to pytanie i nagle poczuł się bardzo zmęczony. Torba, którą niósł na ramionach, zaczęła mu bardzo ciążyć.

- To ta książka, którą dostałem jest taka ciężka - pomyślał chłopak.

Wyciągnął podarunek i już miał rzucić go w krzaki, kiedy strona otworzyła się na baśni *Brzydkie kaczątko*.

- To łąbędź! - wykrzyknął chłopak. Mały jest brzydki i szary, kiedy dorośnie, jest piękny i śnieżnobiały!

- Zgadłeś, chłopcze! Oto kolejna zagadka. Fala morska pluskiem ją sławi, ma piękny głos i rybaków wabi.

Kay szybko przejrzał strony swojej książki i trafił na baśń *Mała syrenka*.

- Oczywiście - pomyślał - to dlatego starzec dał mi tę książkę. Wiedział, że pytania będą dotyczyły baśni.

- Znam odpowiedź na to pytanie, to syrena - powiedział Kay.

- Znakomicie, podróżniku! Moja ostatnia zagadka brzmi: mała jak paluszek w płatkach róży spała, czy wiesz, jak na imię ta panienka miała?

- Tak, wiem. To Calineczka.

- Świetnie sobie poradziłeś, możesz wejść na łąkę i zrywać kwiaty do woli - powiedział pies.

Kay podziękował zwierzęciu i wręczył mu swoją książkę. Pies wzruszył się dobrocią chłopaka i w nagrodę podarował mu zaczarowane, czerwone trzewiki. Każdy, kto je założy, znajdzie się błyskawicznie w miejscu, o którym pomyśli. Uszczęśliwiony Kay szybko zerwał potrzebny mu kwiatek i pomyślał o Gerdzie. W jednej chwili pojawił się w pokoju ukochanej. Ostatni płatek stokrotki właśnie spadał na obrus. Kay wręczył zerwany przez siebie kwiat umierającej już narzeczonej. W jednej chwili w pokoju zrobiło się bardzo zimno, jak podczas najsurowszej zimy, ale już po chwili temperatura wróciła do normy. Gerda zdrowa usiadła na łóżku.

Od tej chwili młodzi żyli w szczęściu i zdrowiu. Podobno Lodowa Pani została zamknięta w lodowej skale i nie mogła już nikomu zaszkodzić.

Siła wyobraźni

Na pewnym półwyspie pojezierza brodnickiego rośnie stary dąb, który pamięta zamierzchnie czasy i jeśli dobrze się wsłuchacie, usłyszycie jedną z jego opowieści. Ja tak zrobiłam i przez zupełny przypadek stałam się częścią pewnej historii z 1836 roku. Nie pytajcie mnie, jak to się stało, bo sama tego nie rozumiem. Być może pomyślicie, że to wymysł wybujałej wyobraźni lub zwykła bujda, ale ja naprawdę tam byłam. Oceńcie sami...

To był słoneczny lipcowy dzień. Na owym półwyspie doszło do spotkania Jana Foluszniaka z królem wilków Basiosem. Pan Foluszniak był właścicielem nadziejnego młyna, w którym wyrabiał tkaniny z prasowanej wełny. Nie był zbyt lubiany wśród ludzi, dobrze mu się powodziło, a to rodziło zazdrość. Podobnie Basior, który również nie cieszył się sympatią okolicznej ludności, bo za sprawą wilków gospodarze ponosili straty w inwentarzu.

- Wenowejta, chcieliśta papraki mnie wyportkować! - powiedział bardzo niezadowolonym tonem pan Jan.

Na początku myślałam, że mówi w jakimś innym języku, ale po chwili zaświtało mi w głowie, że moja prababcia mówiła podobnie. Nie zmieniło to jednak faktu, że nic z tego nie rozumiałam.

- On mówi, że wilki chciały go oszukać - usłyszałam za moimi plecami. Odwróciłam się, ale nikogo tam nie było.

- Tutaj, na gałęzi tego wielkiego dębu - znów odezwał się głos.

Tak, teraz widzę, pomyślałam sobie, ale chyba zwariowałam, to słowik?

- Tak, jestem słowikiem z Fionii. Może o mnie słyszałaś i tak, ubiegając twoje kolejne pytanie, słyszę również twoje myśli.

Ręce mi opadły, nie wiedziałam co powiedzieć. Wtedy odezwał się wilk:

- Nie jadów się, nie rób termedji!

Słowik pośpieszył z tłumaczeniem:

- Nie denerwuj się, nie rób awantury i poradził mi - zamknij oczy i słuchaj sercem.

- Chtóren miglanc to zrobił? Chtóren chce w łeb? Gdzieśta wczoraj byli, pewnieśta na plachyndrach byli! Wej bogać, tam nie! Ista dwóch sznufli zmarnowali.

Nie wiem jak, ale tym razem rozumiałam, plachyndry to szwędać się po wsi, a sznuflę to dzieciaki. Teraz, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, Basior zwrócił się do mnie i słowika:

- Potrzebujemy waszej pomocy! Dwóch sznufli wczoraj wlażło do starego dębu i ślad po nich zaginoł. Ludzie myślo, że to my ich zmarnowali. Jeden z nich wzion i nakład nam chlubów (bił nas kijem), a po tym oba wleżli do dębu i ani widu ani słychu. My jim nic nie zrobili.

- Ja żem jich wysłał do wos, żebyśta znowu mi wełny nie pochrempolili (nierówno pocięli) i z farfoclami (nierównościami) nie przynosili. Kazołem jim wam pomoc. Tera ludzie gadajo com jich na śmierć do wilków posłoł - tłumaczył Foluszniak.

- To się porobiło - powiedziałam nieśmiało -ale co ja mogę zrobić, jak miałabym pomóc?

- Musisz wejść do dębu za sznuflami, słowik pójdzie z tobą i się dowiedzi czemu nie wyłażo. Jak te rojbry (łobuzy) nie wróco, to nas ludziska pozabijajo. Eno prędko, bo we wsi się już na nas szykujo - powiedział król wilków.

Tego się nie spodziewałam. Jak to ja, mam wchodzić do dębu ratować tych sznufli? Ja, której odwaga zaczyna się i kończy przy pierwszym spotkaniu z małym pajęczkiem lub myszką? Ja się do tego nie nadaje...

- Ino uważajta na gacopyrze (nietoperze), jak jich łobudzita to bendo złe. - ostrzegł Basior.

No świetnie, jeszcze do kompletu brakuje nam nietoperzy - pomyślałam i porozumiewawczo spojrzałam na słowika. Nie ma wyjścia wchodzimy. Ku mojemu zdziwieniu we wnętrzu drzewa było przestronnie, rzeško, zero pajęczaków. Po kilku krokach zrobiło się jaśniej, okazało się, że stoimy nad wielką przepaścią. Słowik uprzedzając moje pytania powiedział:

- Mam nadzieję, że Twoja wyobraźnia ma się dobrze.

- Moja wyobraźnia? Co ona ma do tego? Ale... rzeczywiście, wchodząc tutaj bardzo się uaktywniła. Wyobrażam sobie, co tu na nas czeka, chyba aż za bardzo.

- To bardzo dobrze, zaraz będzie ci potrzebna - oznajmił słowik, kiedy podeszliśmy do krawędzi przepaści. - Przed tobą Baśniowy Most.

- No pięknie, tylko ja tu nie widzę żadnego mostu.

- O to właśnie chodzi, zobaczysz go, jak tylko postawisz pierwszy krok nad przepaścią, w ten sposób udowodnisz siłę swojej wyobraźni. Przejście tego mostu to przepustka do Krainy Baśni. Tam właśnie zmierzamy, do mojego domu.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić - pomyślałam, ale jak trzeba to trzeba. Chwila skupienia, później wahania, ale w końcu postawiłam nogę nad przepaścią... most rzeczywiście się pojawił. To co wtedy zobaczyłam przeszło moje najśmielsze oczekiwania - feria barw, śmiech, gwar, błoga muzyka i unoszący się w powietrzu zapach magii i tajemnicy. Księżniczki, królowie, ludzie, syreny, anioły, krasnoludki, kury, łabędzie, najróżniejsze zwierzęta, żyjące przedmioty - wszystko to tworzyło niezwykłą krainę.

- Jestem pod wrażeniem, niesamowite - powiedział wyraźnie zaskoczony słowik.

- Mówisz tak, jakbyś był tu pierwszy raz, a przecież to twój świat.

- Tak, to mój świat, ja go stworzyłem, ale każdy, kto do niego wchodzi, widzi go inaczej. To wyobraźnia tworzy obrazy, postacie, kolory, dźwięki, zapachy. Ja tylko opisuję historie, a każdy, kto je czyta, przez okulary swojej wyobraźni, wpuszcza do nich światło życia ze sporą szczyptą magii.

- Niesamowite, nigdy w ten sposób o tym nie myślałam... - odpowiedziałam.

Znalezienie sznufli poszło szybko. Ole Zmruż Oczko usypiał ich do snu poprzedniej nocy, kiedy zmęczeni, błakali się po Krainie Baśni, więc wiedział gdzie są. Chłopcy bezpiecznie wrócili do swoich domów. Udało się zażegnać powstały konflikt i nikt nie ucierpiał.

Słowik z Fionii powiedział mi na pożegnanie: „Cały świat jest serią cudów, ale jesteście do nich tak przyzwyczajeni, że nazywamy je zwykłymi rzeczami. Wszystko na co patrzysz może stać się bajką, ze wszystkiego czego dotkniesz możesz wydobyć historię”.

Tak kończy się ta baśń, ale tysiąc kolejnych czeka na odkrycie. To właśnie od nas, czytelników, wszystko zależy. Bez nas nie ma baśni, bo one żyją w naszej wyobraźni.

Ukryte piękno

Od setek lat wszyscy zadają pytanie:
„Gdzie piękno jest ukryte?”
Wciąż jednak odpowiedzi są niezdobyte.
Może podpowie baśń, legenda albo podanie?
Zrozpaczone kaczątko opuściło podwórko na zawsze,
„Może życie jeszcze będzie dla mnie łaskawsze?”
Szło, szło, aż zawędrowało do niezwykłej krainy,
gdzie zamki, tajemnicze jaskinie i głębokie doliny.
Od Częstochowy do Krakowa rozciągają się skaliste wzgórza,
a na nich Orle Gniazda - oto jest malownicza Jura.
W krainie białych skał kaczątko się spodobało,
wielu dobrych ludzi po drodze spotkało.
Tam domy, stodoły wypełnione śmiechem i gwarem,
bogatymi zagrodami każdy gospodarz się chwali.
Na Jurze od wieków tradycje i obyczaje się utrzymują,
w każdym domu przepyszne potrawy przygotowują.
Ziemniaczane pieczonki z boczkiem w żeliwnych garnkach,
gryczane tatarczuchy spotykane na jurajskich jarmarkach.
Pstrągi żywe, grzyby, żurki i zakwasy,
czulent, wędzonki, jesiotry to prawdziwe rarytasy.
Przy stołach wszyscy razem biesiadują,
radością wzajemnie się obdarowują.
Krowy, konie i kozy w słońcu się wygrzewają,
kaczki, gęsi i kury do grona kaczątko zapraszają.
Szczęśliwe dni mijają mu w nowej rodzinie,
aż zapomniał o smutnej dzieciństwa godzinie.
Kaczątko patrzyło na panny i gospodynie cudnie ubrane,
w zapaski naramienne, fartuchy białe w kwiaty haftowane,
spódnice w pasy trójkolorowe, wełniane,
i czarne buciki do pół łydki sznurowane.
Gospodarze w niebieską lub czarną kapotę ubrani,
rzemiennym pasem przepasani,
na nich płócienne koszule ze wstążkami,
parciane spodnie wraz ze skórzanymi butami.
Tak się kaczątko ludźmi zachwycało,
że o brzydocie swej zapomniało.
Sami zaś ludzie nim oczarowani
jak członka rodziny go traktowali.
Piękną wiosną nad jezioro się wybrało,
pośród zarośli główkę schowało,
aż w końcu łabędzie śnieżnobiałe
na jego widok oniemiały.

W tym pełnym cudów, rajskim regionie,
kaczątko w łabędzia zostało przemienione.
Odtąd już nigdy krzywdy nie zaznało
i zawsze do wszystkich się uśmiechało.
Lecz o jednym nikt mu nie powiedział,
że w grotach, pośród lasów i skał,
mieszkają diabły, diabełki i licha,
co sił przed nimi trzeba umykać.
Legenda mówi, że raz do roku
diabły zbierają się razem wokół
najwyższego szczytu Sokolich Gór,
by potem zbiegać z wysokiej góry na dół.
Najważniejszy z diabłów sygnał im daje,
nic nie przeszkodzić im nie jest w stanie.
Hałas przy tym robią straszny,
kto ich napotka - los jego marny.
Razu pewnego łabędź wędruje po okolicy,
podziwia, aż nastaje środek nocy,
wicher targa piórami, szaleje po lesie,
piękno łabędzia diabelska dusza uniesie.
Diabły białe pióra zabrały,
lecz za życie szare mu oddały,
wróciła brzydota okrutna,
zagościła na dziobie mina smutna.
Wrócił do wioski zdruzgotany,
już nigdy nie będzie podziwiany.
Ludzie nawet brzydoty nie zauważyli,
tylko jego powrotem się ucieszyli.
Znów kaczątko zadaje sobie pytanie:
„Czy piękno to oczarowanie?”
Tak blisko, na wyciągnięcie ręki
ukryte są dobro i piękno.
Błękitne niebo,
po którym suną chmury białe jak wełna.
Srebrzysty deszcz,
który melodyjne wystukuje dźwięki.
Złociste pola
jak skarbcę, porośniętą pszenicą.
Granatowe jeziora
jak wielkie pałace owiane tajemnicą.
Kręte rzeki,
w których podwodny świat tętni życiem.
Zielone lasy,
w których wiatr szumi zaczarowanym rytmem.

Wigilijne cuda

W wigilijny wieczór siedziałam na parapecie i czekałam na pierwszą gwiazdkę. Żeby skrócić sobie czas oczekiwania, zaczęłam czytać moją ulubioną baśń o *Dziewczynce z zapalkami*. Na chwilę przymknęłam powieki, zastanawiając się, co zrobiłabym, gdybym spotkała taką dziewczynkę. Kiedy otworzyłam oczy, siedziałam dokładnie w tym samym miejscu, ale za oknem stała dziewczynka. Miała smutny wyraz twarzy, a w oczach ukryte cierpienie. Ubrana była w zniszczony płaszczyk, spod którego wyglądała podarta sukienka, zaś bose stopy, zziębnięte z zimna, co chwila podnosiła w górę to jedną, to drugą. W rękę trzymała pudełko zapalek. Przypatrywała mi się z uwagą. Po chwili namysłu rozpoznałam w niej dziewczynkę z zapalkami. Otworzyłam okno i zapytałam:

- Skąd się tu wzięłaś? Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Przyszłam prosić o pomoc, jestem głodna.

- Zapraszam do mnie na Wigilię!

- Naprawdę?! Chcesz mnie zaprosić? Tylko... ja mam jeszcze przyjaciół, którzy są w podobnej sytuacji! - dziewczynka nieśmiało patrzyła na mnie.

- Oczywiście, poczekaj chwilkę, zaraz do ciebie przyjdę.

Ubrałam się szybko i zesłam do dziewczynki. Stała w tym samym miejscu.

- A gdzie są twoi przyjaciele? - zapytałam.

- Ukryli się między kamienicami Starego Miasta.

- No to idziemy! Prowadź! - rzekłam do dziewczynki.

Szybkim krokiem ruszyliśmy uliczkami miasta. Szliśmy od strony Zamku Lubelskiego ulicą Zamkową, a potem Grodzką i Złotą, gdzie niegdyś była granica getta. Po kilkunastu minutach dziewczynka zatrzymała się przy osłoniętym przez kamienice pomieszczeniu. Siedziały tam skulone z zimna postacie, które rozpoznałam z baśni: Calineczka, pasterka wraz z kominiarczykiem, dzielny ołowiany żołnierz i księżniczka na ziarnku grochu. Zobaczyłam ich ukrytych w kątku, smutnych i ogrzewających się nawzajem. Mimo że nie mieli sobie nic do zaoferowania, pocieszali się nawzajem i podtrzymywali na duchu. W głębi serca wiedzieli, że gdyby nie wzajemne wsparcie, nie przeżyliby ani jednego dnia w tych warunkach. Ożywili się na widok dziewczynki z zapalkami.

- Poznajcie moją nową przyjaciółkę, Emilkę - rzekła. - Gdy chodziłam od domu do domu, prosząc o pomoc, zaprosiła mnie do siebie na Wigilię. Zgodziła się również, żebyście poszli ze mną.

- Naprawdę? - zapytała Calineczka.

- Tak, zapraszam do mojego domu, ogrzejecie się i skosztujecie tradycyjnych potraw wigilijnych - powiedziałam, uśmiechając się do nich.

Bajkowe postacie śpiesznie ruszyły za mną. Prowadziłam je inną drogą niż szliśmy z dziewczynką z zapalkami. Chciałam pokazać im rzekę Bystrycę, przepływającą przez Lublin, wzdłuż której przebiegała licznie uczęszczana trasa rowerowa. Po kilkunastu minutach staliśmy przed moim domem. Z okna widać było choinkę ozdobioną kolorowymi bombkami, pierniczkami, łańcuchami z kolorowego papieru

oraz migającymi świecidełkami. Poprowadziłam ich korytarzem do salonu, gdzie miała odbyć się wigieczera wigilijna.

- Czy chcecie posłuchać jak u mnie przebiega Wigilia? - zapytałam.

- Bardzo chętnie! - wykrzyknęli chórem.

- To najpierw opowiem, jak należy się do niej przygotować. Kiedyś wierzono, że jaka Wigilia, taki cały rok - opowiadałam, jednocześnie nakrywając do stołu. - Pod biały obrus wkładamy żdźbła sianka, symbolizujące ubóstwo i żłóbek, w którym przyszedł na świat Pan Jezus. Zapalamy świecę na znak zaproszenia Maryi i Józefa do naszego domu. Ustawiamy dodatkowe nakrycie dla zbłąkanego wędrowca. Zaraz - zatrzymałam się na chwilę - przecież dla mnie dzisiaj wy jesteście tymi wędrowcami! Ale się cieszę! - nie wytrzymałam i uściskałam każdego z nich po kolei.

- Potraw wigilijnych powinno być dwanaście - po chwili opowiadałam dalej - z których najpopularniejsze to: barszcz z uszkami, pierogi z kapustą i grzybami, ryba po grecku, karp i śledzie pod różnymi postaciami, racuchy, strucla makowa, kompot z suszu, kutia i ...

- Co to jest kutia? - przerwała mi Calineczka.

- Kutia to lubelska potrawa regionalna z utartej pszenicy z makiem i bakaliami, osłodzona miodem. To moje ulubione danie - wyjaśniłam. - Najważniejszym zaś punktem Wigilii jest dzielenie się opłatkiem i składanie życzeń. Zapraszam więc do stołu, aby tradycji stało się zadość.

Odmówiliśmy modlitwę, podzieliliśmy się opłatkiem, a potem zabraliśmy się za wigilijne potrawy. Nagle moich gości zaskoczył hałas dochodzący zza okna. Byli to kołędnicy, którzy chodzili od domu do domu, śpiewając kolędy i życząc pomyślności w Nowym Roku. Mieli ze sobą kolorową, podświetlaną gwiazdę oklejaną kolorowym papierem, która obracała się podczas śpiewania kolęd. Baśniowi bohaterowie zachwyceni byli tym widokiem, gdyż w swoim świecie nie znali podobnych tradycji. Potem usiedliśmy z małymi przyjaciółmi wokół choinki i zaśpiewaliśmy kolędy. Miałam wrażenie, że *Cicha noc* unosi się wysoko do nieba, łącząc ze sobą wszystkie światy.

Po skończonej wigieczery przyszedł czas na pożegnanie. Każdy otrzymał na drogę pierniczka, a ja w dowód wdzięczności dostałam czarodziejski gwizdek. Wytłumaczyli mi, że jeśli będę smutna i będzie mi źle, to wystarczy, że zagwizdę, a dzielny ołowiany żołnierz przybędzie z pomocą i zabierze mnie do krainy baśni, a oni będą tam na mnie czekać gotowi do pomocy.

Potem odprowadziłam ich do miejsca, w którym spotkaliśmy się.

- Emilko! - usłyszałam wołanie mamy.

Otworzyłam oczy i byłam zdziwiona, że siedzę na parapecie, a w ręce trzymam gwizdek. Zastanawiałam się, czy to wszystko, co przeżyłam, było prawdą czy snem. Myślałam o moich nowych przyjacielach, jak bardzo się kochali, mieli dla siebie czas i w trudnych sytuacjach pomagali sobie i wspierali się. Nawet mnie zaoferowali swą pomoc.

Gdyby nasz świat taki był...

Wody niosące śpiew

W jednej z nadwiślańskich miejscowości niedaleko Warszawy mieszkała trzynastoletnia Marysia, której słowiczy głos był znany w całej okolicy. Dziewczynka spędzała każdą wolną chwilę na śpiewie i tańcu, które kochała najbardziej. W tańcu wirowały jej długie blond włosy, a podczas śpiewania błyszczały jej niebieskie oczy.

Marysia pochodziła z rodziny, która niedziele i święta spędzała na wspólnym muzykowaniu. Podczas Wigilii, gdy na niebie pojawiała się pierwsza gwiazda, domownicy siadali przy stole i otuleni aromatem tradycyjnych potraw takich jak: kapusta z grochem, barszcz grzybowy czy kluski z makiem - śpiewali kolędy, dzieląc się na głosy. Tata grał na akordeonie, który odziedziczył po swoim dziadku, a brat wtórował mu dźwiękami klarnetu. W ten sposób akompaniowali głosom mamy i babci, a zwłaszcza Marysi, której śpiew urzekał każdego, kto tylko go usłyszał. Dziewczynka bardzo kochała swoją rodzinę, lecz szczególnie więź łączyła ją z babcią, od której nauczyła się śpiewać ludowe melodie.

W pewną niedzielę rodzice zabrali Marysię do sąsiedniej miejscowości Otrębusy, w których mieścił się pałac - Karolin. Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że przyjechali na występ Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca *Mazowsze*. Czegoś takiego Marysia nigdy jeszcze nie widziała! Z zachwytem przyglądała się wirującym spódnicom, długim warkoczom, wzorzystym chustom, koralom i urokliwym uśmiechom pań i panów, którzy tańczyli w rytm ludowej muzyki i śpiewali tradycyjne pieśni. Ich dźwięczne głosy roznosiły się dumnie po całej okolicy.

Marysia była tak oczarowana tym, co usłyszała, że w drodze powrotnej nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Siedziała tylko skulona na wozie i nuciła melodie, które usłyszała podczas występu.

Po powrocie do domu mama zapytała, dlaczego córka jest taka smutna i czy występ jej się nie podobał.

- Och, mamusiu, zupełnie nie o to chodzi. Występ podobał mi się jak nic innego w życiu! Poczułam, że chciałabym w przyszłości dołączyć do takiego zespołu i równie pięknie śpiewać i tańczyć, lecz boję się, że nigdy mi się to nie uda... - powiedziała Marysia, pochylając ze smutkiem głowę.

- Córciu, nie mogę ci obiecać, że w przyszłości dołączysz do tych wspaniałych artystów, ale wiem jedno, że wytrwałością i ciężką pracą można osiągnąć każdy cel - odpowiedziała mama, gładząc Marysię po lśniących blond włosach, które od tej pory dziewczynka zaczęła czesać w warkocze i przyozdabiać kolorowymi chustami.

Występ zespołu sprawił, że Marysia codziennie po szkole chodziła nad Wisłę. Rzeka była jej pierwszą widownią, przed którą dziewczynka śpiewała usłyszane ludowe melodie oraz tańczyła zapamiętane z koncertu tańce. Miała nadzieję, że zachwycała ją swoimi występami.

Jakiś czas później okazało się, że kompozytor Tadeusz Sygietyński wraz z żoną Mirą organizowali w Otrębusach przesłuchania dla uzdolnionej młodzieży, która chciała dołączyć do *Mazowsza*. Gdy wiadomość rozeszła się po okolicy i dotarła do Marysi, dziewczynka pobiegła do domu i zaczęła prosić rodziców, by pozwolili jej wziąć udział w konkursie. Mama i tata spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć,

ale wkrótce na ich twarzach pojawiły się uśmiechy. Kiwali głowami na znak zgody, a Marysia rozradowana biegała po domu, informując wszystkich o swoim szczęściu.

Z radości rzuciła się też babci na szyję. Starsza kobieta przytuliła wnuczkę, po czym zaprowadziła ją do swojej szafy, z której wyciągnęła białą haftowaną koszulę, spódnicę w kolorowe paski oraz czerwone buty.

- Gdy byłam w twoim wieku - zaczęła słabym głosem - śpiewałam i tańczyłam w tym stroju podczas każdej uroczystości. Od dzisiaj ten ludowy kostium należy do ciebie. Dbaj o niego i tańcz, ile sił w nogach - powiedziała do Marysi babcia i rozpromieniła się, przekazując jej swoją pamiątkę z młodości.

Łzy wzruszenia napłynęły dziewczynce do oczu, a jej wdzięczność nie miała granic. Począwszy od tamtej chwili, Marysia ćwiczyła nad rzeką dzień w dzień, wkładając całe serce w każdy swój ruch i każdą wyśpiewaną nutę.

Zbliżał się dzień przesłuchania, Marysia czuła, że jest już gotowa do występu, ale i tak nie opuszczała codziennych prób. Niestety, coś sprawiało, że nie czerpała ze śpiewu i tańca takiej radości jak wcześniej. Zdrowie babci było coraz słabsze, starowinka wymagała ciągłej opieki, a Marysia, przeczuwając kres, chciała z nią spędzać jak najwięcej czasu.

W dzień występu stan babci znacznie się pogorszył. Nikt z rodziny nie chciał odstąpić jej na krok. Mama wyjaśniła córce, że nikt nie może z nią jechać na przesłuchanie. Dziewczynce trudno było ukryć łzy, ponieważ dołączenie do ludowego zespołu było jej największym marzeniem. Z drugiej strony rozumiała powagę sytuacji.

Pobiegła nad rzekę, tylko ona mogła być powiernicą jej najskrytszych tajemnic. Wiedziała, że babcia chciałaby, aby wnuczka pojechała na przesłuchanie, jednocześnie dziewczynka wiedziała, że to mogą być jej ostatnie chwile spędzone z ukochaną osobą. Gdy wróciła do domu, chwyciła z czułością mamę za ręce i powiedziała:

- Babcia jest dla mnie najważniejsza, a na przesłuchania mogę przecież pojechać za rok.

Po policzkach mamy płynęły łzy wzruszenia.

- Jestem z ciebie bardzo dumna - powiedziała mama. - Masz dobre serce i nie myślisz tylko o sobie - dodała, przytulając córkę.

Następnego dnia babcia umarła. Marysia z żalu włożyła sukienkę, którą otrzymała od niej w prezencie, i znów pobiegła nad rzekę. Tańczyła i śpiewała, nieustannie myśląc o ukochanej babci. Wisła rozniosła jej piękny śpiew po całym Mazowszu.

Przypadkiem usłyszał go również Tadeusz Sygietyński. Wiedziony magicznym śpiewem płynącym z wodami Wisły, udał się do nadwiślańskiej wioski i zaczął wypytywać mieszkańców o to, która z dziewcząt śpiewa najpiękniej w okolicy. Każdy wiedział, że właścicielką słowiczego głosu jest Marysia. Kompozytor pojechał więc do jej domu i otrzymał zgodę rodziców, zaprosił dziewczynkę do zespołu *Mazowsze*. Od tamtej pory Marysia dedykuje swoje występy ukochanej babci, która nauczyła ją śpiewać, ponieważ wie, że równie ważne, co marzenia, są osoby, dzięki którym je spełniamy.

„Bo miłość jest jak drzewo: sama z siebie rośnie, głęboko zapuszcza korzenie w całą istotę człowieka i nieraz na ruinie serca dalej się zieleni”

Wiktor Hugo

Zaczarowane lubskie platany

Ilekoć przechodzę koło rzeczki, mijam piękne drzewa o niespotykanej, łuszczącej się korze przypominającej cętki. Ich korony są rozłożyste, a dźwięk szumiących liści zachwyca każdego przechodnia. Spoglądam w stronę nieba. Promienie wiosennego słońca ogrzewają moją twarz, a włosy w ich świetle zmieniają swoją barwę. Patrzę w niebo i myślę o babci. Nie była moją „prawdziwą” babcią. Opiekowała się mną, kiedy rodzice byli w pracy. Nie miała swoich wnuków, więc to mnie tak nazywała. Czułam się wyjątkowo. Była tylko moją babcią. Nie chciałam już innej. Ta wypełniała swoją rolę znakomicie. Często sadzała mnie na dużym krześle, przypominającym bardziej tron króla niż krzesło, i opowiadała historie, których nigdy nie wyrzuciłam ze swojej pamięci. To były opowiadki na każdą porę i każdą dolegliwość - kiedy płakałam za mamą, kiedy stukałam kolano i kiedy śmiałam się do łez. To były niezapomniane chwile. Zawsze zastanawiałam się, czy te opowieści są prawdziwe, było w nich przecież tyle magii. Babcia za każdym razem podkreślała: „To tylko baśń, taka czarodziejska opowieść, pełna dziwów i tajemniczych stworzeń”, ale byłam wtedy zbyt mała, by zrozumieć sens wypowiedzianych przez nią słów.

Lubiłam przychodzić do babci. Mogłam to robić o każdej porze. Mieszkała przecież nad moim domem, piętro wyżej. Za każdym razem, kiedy mama wychodziła do pracy, biegłam po krętych schodach na drugie piętro i pukałam w duże, dębowe drzwi najgłośniej, jak tylko potrafiłam. Z okna jej mieszkania w powojennej kamienicy widziałam często dzieci grające w piłkę na szkolnym boisku. Pamiętam zieleń, która wiosną miała soczystą barwę, tę najpiękniejszą o tej porze roku. Pełna zachwytu biegłam do niej, prosząc o kolejny spacer. To dziwne, ale te nasze wspólne wyjścia były ważną częścią najpierw dnia, a później całego mojego dzieciństwa. Dzieciństwa spędzonego w Lubsku, niewielkim miasteczku położonym nad rzeką Lubszą.

Tego dnia na pewno nie zapomnę. A zapowiadał się zupełnie zwyczajnie i niczym miał się nie różnić od pozostałych. Jak co dzień biegłam po schodach w stronę mieszkania babci z nadzieją, że znów wymyśli jakąś wspaniałą zabawę. Moim oczom ukazała się znajoma staruszka, która charakterystycznym gestem ręki wskazała mi drogę do mieszkania. W środku panował półmrok, a z głębi pokoju dobiegały niewyraźne odgłosy wydobywające się z telewizora. Zauważyłam, że w lustrze w przedpokoju odbijał się jakiś obraz. To zwierciadło także pamiętam doskonale - duże, z ciężką, drewnianą ramą i śladami po kornikach. Kiedyś podobne widziałam w filmie. Miało czarodziejską moc i można było przez nie przechodzić do innych wymiarów. To babci było bardzo podobne. Przez chwilę nawet myślałam, że to, co zobaczyłam w odbiciu, to złudzenie optyczne, ale nie...Obraz był dosyć wyraźny. Znałam to miejsce. Było to niedaleko naszej kamienicy. Babcia oznajmiła, że dziś zabiera mnie w czarodziejską podróż. Nagle, nie wiem jakim sposobem, ale znalazłyśmy się na zewnątrz. Szłyśmy wzdłuż szkoły, alei Niepodległości. Minęłyśmy pomnik upamiętniający poległych żołnierzy bohatersko walczących na wszystkich

frontach II wojny światowej. Wiedziałam, że będziemy szły w stronę fontanny. To miejsce darzyłam szczególną sympatią. Lubiłam chodzić po murku, starając się utrzymać równowagę. Babcia trzymała mnie za rękę, a ja czułam się przy niej bezpieczna.

Niedaleko miejskiego domu kultury rosną piękne drzewa. Tam przystanęłyśmy. Ławeczki zachęcały do odpoczynku, więc zatrzymałyśmy się na chwilę. Babcia Stasia wyciągnęła kanapki, termos z pyszną herbatką (to był stały element naszych wspólnych spacerów) i popatrzyła w stronę nieba.

- Zobacz dziecko, jaka piękna pogoda, w sam raz na baśń o Platance. Rozmarzyła się, a ja wiedziałam, że czeka mnie fascynująca historia.

- Platance? Jakie dziwne imię, chyba takiego nie ma - odpowiedziałam, ale nie oczekiwałam wcale zaprzeczenia. Mogłam tym babcie urazić, a wtedy nie dokończyłaby swojej opowieści. Postanowiłam zatem grzecznie słuchać. Wiosenny, majowy wietrzyk delikatnie muskał moje włosy. Zamknęłam oczy i dałam się ponieść dziecięcej wyobraźni.

- To opowieść o tajemniczych nasionach platana, które niegdyś stary mędrzec Hugo przechowywał w swojej pilnie strzeżonej spiżarni. Pewnego dnia dziewczynka o wdzięcznym imieniu Platanka postanowiła wykraść mędrcewi nasiona, gdyż wierzyła, że mają tajemną moc. Słyszała opowieści starych kobiet o tym, jak w nocy drzewa ożywają, stroszą swe gałęzie, a liśćmi przysłaniają taflę wody. Platanka chciała bardzo to widowisko zobaczyć na własne oczy. Była bardzo ciekawą dziewczynką i wiesz... nawet trochę podobną do ciebie. Wykradła mędrcewi zaczarowane nasionka. Pech chciał, że podczas ucieczki rozsypała wszystkie ziarenka wzdłuż rzeki. Wyrosły tam piękne drzewa platany, które każdy dziś może podziwiać. I my także. Zobacz, ile ich tu rośnie. Są wizytówką naszego małego miasteczka.

- Babcu, a dlaczego te drzewa mają taką korę? - usilnie chciałam, żeby babcia nie kończyła jeszcze swojej opowieści.

- Każdy się nad tym zastanawia. Być może to symboliczny znak mędrca, a może kara za zbyt ciekawość... Ale to już inna historia. Wkrótce ci ją opowiem. Nasze miasto skrywa w sobie mnóstwo ciekawych opowieści - odpowiedziała, ale ja miałam wrażenie, że baśń ma jednak inne zakończenie.

Dziś, kiedy mijam platany rosnące wzdłuż słonecznej alei, myślę o Tobie, babcu. I nadal spoglądam w niebo. Wiem, że Ty tam jesteś i wiem, że Twoje opowiadki zachowam dla swoich dzieci.

Zapomnienie

Dzieci usadowiły się wygodnie, oparły o Babcię i przytuliwszy ją patrzyły na iskierki wyskakujące z paleniska. Lubiły wieczory, gdy Staruszka opowiadała im o przodkach, którzy tańczyli w Wiejskim Zespole Tańca. Opisywała barwne stroje haftowane w polne kwiaty i zboża, piękne chusty, wyszywane przez tancerki oraz męskie czapki i kapelusze. Z tych historii dzieci poznawały również muzykę, do której tańczono mazura. Babcia często nuciła melodie, wspominając dawne dzieje. Czasami rodzeństwo patrząc w ogień widziało tancerzy, kolorowe ubrania, wirujące suknie, a ten widok przypominał im piękne, odpustowe wiatraczki. W takich chwilach nawet skaczące płomyki wydawały się radosne, a ich lekki blask rozświetlał małą, przytulną izbę.

Dziewczynka i Chłopiec, każdy letni wieczór mogliby spędzić w małym pokoiku, patrząc na ogień i przytulając Babcię, jednak los miał inne plany. Staruszka zmarła. Ten dzień przynębił całą rodzinę. Mama i Tata udali się do miasta, a dzieci zostały same. Ze smutkiem patrzyły na ogień, nie chciały wspominać radosnych wieczorów spędzonych z Babcią. Nie mogły pogodzić się z jej odejściem, wołały nie myśleć o przeszłości, a najlepiej w ogóle zapomnieć o Babci i chwilach z nią przeżytych, żeby nie dodawać sobie bólu.

Nagle małe okienko otworzyło się, wpuszczając do domu chłodne powietrze. Wiatr wezbrał, wiał coraz mocniej, a temperatura zaczęła spadać. Zrobiło się tak zimno, że woda w wazonie zamarzła, a stół, podłogę i meble pokrył szron. Dziewczynka spróbowała podejść do okna, lecz to się oddalało, aż w końcu śnieg i wiatr zasłonił je całkowicie. Drzwi i ściany również zniknęły z pola widzenia, a zasypane meble przemieniły się w oblodzone skały, stary dywan zamarzł, tworząc wielką lodową ślizgawkę. Z wazonu i doniczek wyrosły wielkie drzewa, gęsto pokryte igliwem i białym puchem. Przestraszone, lekko ubrane, dzieci przytuliły się do siebie, żeby się ogrzać.

- Bardzo mi zimno, gdzie my jesteśmy? - wyszeptał Chłopiec spoglądając na Siostrę.

- Nie wiem, ale ja też zamarzam - odpowiedziała Dziewczynka tak zziębnięta, że jej policzki były błękitne, a nos czerwony jak rozgrzany węgiel.

- Słyszysz? Coś dzwoni, tak cicho gra. To pewnie święty Mikołaj jedzie saniami. - wyjąkała Dziewczynka

- Nie, to raczej sople w moim nosie poruszane przez wiatr, one tak grają - wyszeptał Chłopiec, który prawie zamarzł na kość.

Wtem, między drzewami zaświeciło światelko, drugie, trzecie, czwarte, i tak kolejno w mroku pojawiały się lśniące punkciki. Miały różne barwy, pojawiało się ich coraz więcej i więcej, aż w końcu wyglądały tak, jakby ktoś rzucił w powietrze suche kwiaty. To, co zobaczyło rodzeństwo przypomniało im o tancerzach i wiatraczkach oraz... Babci. Chłopiec uronił łezkę, patrząc na iskierki, a jego oddech zatrzymał się w piersiach, lecz na krótko. Zaparło go coś innego. Świetliki zaczęły dobierać się w pary, a potem raz po raz mrugały, przybliżając się do dzieci. Gdy blask księżycyca

oświetlił pierwsze punkty wyłaniające się z lasu, w ciemności pokazały się grafitowe futro i czarne pazury.

- Wilki!!! - pomyślały spanikowane dzieci.

- Boję się, Braciszku. Czy one nas zjedzą? - wyszeptała Dziewczynka.

- Nie wiem, Siostró, przydałaby nam się pomoc - mówił Chłopiec, który zapomniał o zimnie, bo teraz rozgrzewały go ogromne emocje.

- Babcia wiedziałaaby co zrobić... - skomentowała Dziewczynka, myśląc o straszliwych bestiach.

- A my chcieliśmy o niej zapomnieć! - dodał ze skrucą Chłopiec, we wspomnieniach wołając Staruszkę. Aż nagle...

- A sio! Wy złe bestie! Zostawcie moje ukochane dzieciaki! Precz! Kysz! Sio! No już! Zmykać stąd! I żebym was więcej nie widziała! A sio!

- Babcia! - wykrzyknęły dzieci na widok Staruszki.

- Tak, to ja - radośnie przywitała swoje wnuki, lecz zaraz potem je skarciła. -Ach wy nicponie, zapomnieć o Babci?! Ładnie to tak?!

- Przepraszamy - odpowiedziały ze skrucą.

- No dobrze, już dobrze.

Staruszka przytuliła zmarzluchy.

- Mam dla was ciepłe kakao i fafernuchy.

Dzieci zjadły je ze smakiem.

- Usłyszałam wasze pytanie. Jesteśmy w Krainie Zapomnienia. Władą nią bezlitosna Królowa Śniegu. To ona nasłała wilki, chciała byście o mnie zapomnieli, bo jedyne co ogrzewa to miejsce, to ludzka pamięć o zmarłych. Pamiętajcie o przodkach, zapomnienie tylko na krótko przynosi ulgę i zmniejsza żalobę. Dla mnie i innych zmarłych najciężej jest znieść myśl, że ktoś, kogo kochamy o nas zapomniał. Ja, niestety w ogóle nie wiedziałam, gdzie zostali pochowani moi rodzice. Nie mogłam odwiedzać ich grobów. Mnie też żaloba doprowadziła do zapomnienia. Po odejściu kogoś bliskiego zawsze jest ciężko. Jeżeli będziecie mieć kłopoty lub zatęsknicie za mną, odwiedźcie mój grób. Pomódlcie się, i przywołacie mnie w duchu, a zawsze was wesprę.

Staruszka uśmiechnęła się łagodnie, a jej słowa tak wzruszyły Dziewczynkę, że uroniła łezkę. Kropla upadła na skutą lodem ziemię. Podłoże zaczęło rozmarzać. Ślizgawka stawiała się dywanem, wiatr ustał, a ściany i okno przybliżyły się. Drzewa zmalowały i na powrót były kwiatami. Wilki zniknęły w mroku, zostawiając po sobie jedynie kolorowe plamki. Światełka zawirowały wokół Babci, która pomachała na pożegnanie, uniosła się w górę i rozblęsnęła na niebie jako jedna z gwiazd. Wiatr zamknął okno, a ogień z paleniska pomału rozgrzewał dzieci skupione na modlitwie.

Od tamtego dnia dzieci, za każdym razem, rozpalając ogień, wspominały Babcię, chwile z nią spędzone, jej opowieści, a zbliżając się do okna widziały, jak pielęgnuje malwy i nasturcje w ogródku przed domem. Wspomnienia o niej dodawały im odwagi i siły w pokonywaniu trudności. Regularnie odwiedzały Staruszkę na cmentarzu, opowiadając jej o swoich przeżyciach. Wierzyły mocno, że ukochana Babcia jest przy nich. Ona rzeczywiście tam była i ścisłała je mocno, wiedząc, że nigdy o niej nie zapomną...

Uczestnicy XIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
województwo dolnośląskie					
1.	Motylewska Maja	<i>Lilianna</i>	Piast - Szlubowska Elżbieta	Szkoła Podstawowa nr 31 im. Janusza Korczaka	Białystok
2.	Dykie Liliana	<i>Starszy Pan</i>	Józefowicz Maria	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Szarych Szeregów	Lwówek Śląski
3.	Sikora Cyprian	<i>Dzień Słonecznika</i>	Zielińska Małgorzata	Szkoła Podstawowa im. Jerzego Badury	Międzybórz
4.	Dominika Zielińska	<i>Siostrzana miłość</i>	Zielińska Małgorzata	Szkoła Podstawowa im. Jerzego Badury	Międzybórz
5.	Męcik Lena	<i>Mur obronny</i>	Ratajczak Iwona	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Bronisława Malinowskiego	Ścinawa
6.	Musiał Michał	<i>O chłopcu zaklętym w drzewo</i>	Ratajczak Iwona	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Bronisława Malinowskiego	Ścinawa
7.	Puzio Liliana	<i>Zaczarowany i tajemniczy las</i>	Podgórnjak - Tymkowska Wanda	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Bronisława Malinowskiego	Ścinawa
8.	Polichowska Wiktoria	<i>Wyjątkowa Wigilia</i>	Olejniki Dorota	Szkoła Podstawowa	Trzebieszowice
9.	Wrona Dominik	<i>Zaczarowany las</i>	Olejniki Dorota	Szkoła Podstawowa	Trzebieszowice
10.	Cynar Wiktoria	<i>Historia pewnej księżnej</i>	Kiedrowska Maria	Zespół Szkolno – Przedszkolny nr 3	Wałbrzych
11.	Juraszek Klaudia	<i>Wszehobecny Andersen</i>	Kiedrowska Maria	Zespół Szkolno – Przedszkolny nr 3	Wałbrzych

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
12.	Karpowicz Wiktor	<i>Baśń o choince</i>	Kiedrowska Maria	Zespół Szkolno – Przedszkolny nr 3	Wałbrzych
13.	Niedbała Zofia	<i>O tym, jak Zosia uratowała Baśnie przed zapomnieniem</i>	Rodasik Radosława	Szkoła Podstawowa nr 34	Wrocław
14.	Pluta Aleksandra	<i>W krainie Andersena...</i>	Jełowicka Wanda	Szkoła Podstawowa nr 71	Wrocław
15.	Klimkiewicz Hanna	<i>Moniuszkowska brzoza</i>	Samol Marita	Szkoła Podstawowa nr 81 im. Wandy Rutkiewicz	Wrocław
16.	Gawryszczak Wiktoria	<i>Powrót z Baśniobioru</i>	Klockowska Beata	Szkoła Podstawowa w ZSP	Wysoka
17.	Gniłka Jagoda	<i>Justynka Choinka</i>	Klockowska Beata	Szkoła Podstawowa w ZSP	Wysoka
18.	Huniak Natasza	<i>Łucja</i>	Kalinowska - Kiewisz Anna	Szkoła Podstawowa w ZSP	Wysoka
<i>kujawsko - pomorskie</i>					
1.	Bartkowska Aleksandra	<i>Niezwykły dzień</i>	German Hanna	Zespół Szkół im. Mariana Rejewskiego	Ostromecko
2.	Rokicka Maja	<i>Zaklęty naszyjnik</i>	German Hanna	Zespół Szkół im. Mariana Rejewskiego	Ostromecko
3.	Szeląg Julia	<i>Królowa Śniegu cz. 2</i>	Dyrda Alina	Szkoła Podstawowa nr 8	Toruń
4.	Zabrzyska Maja	<i>Siła wyobraźni</i>	Pielacka Agnieszka	Zespół Szkół	Zbiczno

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
<i>lubelskie</i>					
1.	Pietrak Julia	<i>Kocie szczęście</i>	Katarzyna Topór	Szkoła Podstawowa im. Wandy Chotomskiej	Garbów
2.	Skałeczki Mikołaj	<i>Niezwykła przyjaźń</i>	Katarzyna Topór	Szkoła Podstawowa im. Wandy Chotomskiej	Garbów
3.	Dżaman Elżbieta	<i>Lipka</i>	Aneta Stadnik	Szkoła Podstawowa im. Tadeusza Kościuszki	Kamień
4.	Michałowska Lena	<i>Dziewczynka z cichego miasteczka</i>	Aneta Stadnik	Szkoła Podstawowa im. Tadeusza Kościuszki	Kamień
5.	Zawadzki Jakub	<i>Dys i Eliza</i>	Anna Woźniak - Łakota	Szkoła Podstawowa nr 4 im. Adama Mickiewicza	Lublin
6.	Ostrowska Monika	<i>Za górami za lasami</i>	Elwira Kasperek	Szkoła Podstawowa nr 10	Lublin
7.	Szewczyk Julia	<i>Wyprawa do lasu</i>	Elwira Kasperek	Szkoła Podstawowa nr 10	Lublin
8.	Wieprzowska Zuzanna	<i>Zaklęty pierścień</i>	Elwira Kasperek	Szkoła Podstawowa nr 10	Lublin
9.	Ślepko Barbara	<i>Nieoczekiwana przygoda</i>	Bożena Malec	Szkoła Podstawowa nr 45	Lublin
10.	Żelazowska Emilia	<i>Wigilijne cuda</i>	Malec Bożena	Szkoła Podstawowa nr 45	Lublin
11.	Ostrowska Martyna	<i>Najpiękniejszy strój</i>	Janisz Grażyna	Zespół Szkół Ogólnokształcących - Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Westerplatte	Michów

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
12.	Wałach Ilona	<i>Lord</i>	Janisz Grażyna	Zespół Szkół Ogólnokształcących - Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Westerplatte	Michów
13.	Cholewa Zuzanna	<i>Zamieszanie w świecie baśni</i>	Porczyńska - Wierzbik Aneta	Szkoła Podstawowa im. Mikołaja Kopernika	Piaski
14.	Michalak Zuzanna	<i>Magiczny ząbek</i>	Porczyńska - Wierzbik Aneta	Szkoła Podstawowa im. Mikołaja Kopernika	Piaski
<i>lubuskie</i>					
1.	Piotrowski Rafał	<i>O Damianku, który został bohaterem</i>	Piotrowska Ewelina	Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II	Lubiszyn
2.	Franczak Pola	<i>Zaczarowane lubskie płatany</i>	Abramowicz Aleksandra	Niepubliczna Szkoła Podstawowa	Lubsko
3.	Janiszewska Marika	<i>Bachusowe wzgórza</i>	Zienkiewicz - Franczak Ewa	Niepubliczna Szkoła Podstawowa	Lubsko
4.	Paulus Gabriela	<i>W malutkim sklepiku</i>	Abramowicz Aleksandra	Niepubliczna Szkoła Podstawowa	Lubsko
5.	Pańczuk Hanna	<i>Magia baśni</i>	Gańska - Lorenc Anna	Szkoła Podstawowa	Pszczew
6.	Kusz Emilia	<i>Warto żyć</i>	Sobasik Magdalena	Szkoła Podstawowa nr 1 im. Mikołaja Kopernika	Słubice
7.	Kołodziej Ewa	<i>Nowe przygody Calineczki</i>	Reimann Liliana	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Świdnica
8.	Nowacka Natalia	<i>Sen o stokrotce</i>	Reimann Liliana	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Świdnica
9.	Różak Kacper	<i>Pomóż, bo możesz</i>	Reimann Liliana	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Świdnica
10.	Suchocka Julia	<i>Baśń o winiarzu</i>	Miładowska Beata	Zespół Edukacyjny nr 2 Szkoła Podstawowa nr 17	Zielona Góra

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
<i>łódzkie</i>					
1.	Mastalerz Ernestyna	<i>Baśń o lisku obrońcy</i>	Kiereś Ewa	Szkoła Podstawowa nr im. Jana Brzechwy z oddziałami integracyjnymi	Bełchatów
2.	Kmita Kamila	<i>Czas nuda i czary, czyli jak „Baśnie” Andersena ocaliły świat</i>	Sałaj Sylwia	Szkoła Podstawowa im. Oddziału Partyzanckiego Armii Krajowej "Doliniacy"	Libiszów
3.	Sławska Aleksandra	<i>Złote serce Krzysia</i>	Pawlicka Justyna	Szkoła Podstawowa nr 48 im. Stanisława Moniuszki	Łódź
4.	Kmita Milena	<i>Pamiętaj</i>	Niemirska - Jędrasik Urszula	Szkoła Podstawowa nr 1 im. Kornela Makuszyńskiego	Opoczno
<i>małopolskie</i>					
1.	Adamska Małgorzata	<i>Zapomniane żywioły</i>	Ciepły Beata	Szkoła Podstawowa nr 129 im. Kornela Makuszyńskiego	Kraków
2.	Krzyżanowska Antonina	<i>Moja najpiękniejsza róża świata</i>	Ciepły Beata	Szkoła Podstawowa nr 129 im. Kornela Makuszyńskiego	Kraków
3.	Ozdoba Małgorzata	<i>Ania i portret</i>	Ciepły Beata	Szkoła Podstawowa nr 129 im. Kornela Makuszyńskiego	Kraków
<i>mazowieckie</i>					
1.	Witkowska Wiktoria	<i>Baśń o gwiazdach</i>	Małgorzata Bartosiewicz	Szkoła Podstawowa im. Oskara Kolberga	Karniewo
2.	Andruszuk Zuzanna	<i>Śmierć i rzeka</i>	Dorota Szymaniak	I Społeczna Szkoła Podstawowa STO	Radom

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
3.	Barszczyńska Helena	<i>Niezwykły sen</i>	Szymaniak Dorota	I Społeczna Szkoła Podstawowa STO	Radom
4.	Łobodzińska Maria	<i>Jak zwykły świat stał się niezwykłym</i>	Szymaniak Dorota	I Społeczna Szkoła Podstawowa STO	Radom
5.	Kopyt Malwina	<i>Doceńmy to, co mamy, zanim będzie za późno</i>	Janikowska Renata	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2 im. Hansa Christiana Andersena	Radom
6.	Hebda Zofia	<i>Po drugiej stronie lustra</i>	Janikowska Renata	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2 im. Hansa Christiana Andersena	Radom
7.	Grzyb Zuzanna	<i>Odwilż</i>	Janikowska Renata	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2 im. Hansa Christiana Andersena	Radom
8.	Zdziech Artur	<i>O Zuzance</i>	Sternalska - Zdziech Katarzyna	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 34	Radom
9.	Kamińska Katarzyna	<i>Ojcowska klątwa</i>	Kubik Anna	Szkoła Podstawowa im. Marii Skłodowskiej - Curie	Rusiec
10.	Gwiazda Anna	<i>Paskuda</i>	Kutra Iwona	Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Bitwy Warszawskiej 1920 roku	Stanisławów Pierwszy
11.	Balczyński Jakub	<i>Przygoda nad Rządzą</i>	Gałązka Urszula	Szkoła Podstawowa	Stary Kraszew
12.	Jusiński Jakub	<i>Przygody magicznej drużyny</i>	Gałązka Urszula	Szkoła Podstawowa	Stary Kraszew
13.	Radzki Piotr	<i>O nieznośnym goblinie</i>	Gałązka Urszula	Szkoła Podstawowa	Stary Kraszew

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
14.	Ciesielska Malwina	<i>Gawędziarz</i>	Wasiak Anna	Podstawowa Szkoła Międzynarodowa	Warszawa
15.	Getka Gustaw	<i>Głupie Mysiątko</i>	Misiak Magdalena	Dwujęzyczna Szkoła Podstawowa nr 1	Warszawa
16.	Skorupska Kaja	<i>Zmiana historii</i>	Misiak Magdalena	Dwujęzyczna Szkoła Podstawowa nr 1	Warszawa
17.	Wielądek Aleksander	<i>Magia świąt Gerdy i Króla</i>	Misiak Magdalena	Dwujęzyczna Szkoła Podstawowa nr 1	Warszawa
18.	Kochańska Matylda	<i>Życzenie</i>	Skowron Barbara	Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6 im. bł. M. Marceliny Darowskiej	Warszawa
19.	Żrebiec Maria	<i>Skrzypce Maciejka</i>	Skowron Barbara	Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6 im. bł. M. Marceliny Darowskiej	Warszawa
20.	Łazarowicz Anna	<i>Baśń o guziku, który marzył</i>	Skowron Barbara	Prywatna Szkoła Podstawowa nr 6 im. bł. M. Marceliny Darowskiej	Warszawa
21.	Bowtruczuk Zofia	<i>Księżniczka na ziarnku grochu czyli od zera do przyjaciela</i>	Olechowska Marlena	Spółeczna Szkoła Podstawowa Integracyjna nr 100 STO	Warszawa
22.	Gregorczyk Natalia	<i>Wody niosące śpiew</i>	Juraś Joanna	Szkoła Podstawowa nr 112 Przymierza Rodzin im. Jana Pawła II	Warszawa
23.	Brzezińska Alina	<i>Ogień</i>	Krakowska Wanda	Szkoła Podstawowa nr 124	Warszawa
24.	Smaga Patrycja	<i>Tajemnicze herbaty</i>	Krakowska Wanda	Szkoła Podstawowa nr 124	Warszawa
25.	Klimowicz Aleksander	<i>Jak postaci z baśni uratowały świat</i>	Pyrzanowska Jolanta	Szkoła Podstawowa nr 128	Warszawa

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
26.	Wagner Sonia	<i>Wilcza przyjaźń</i>	Grabowska Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 128	Warszawa
27.	Kłujso Julia	<i>Królewska jabłoń</i>	Krzyżanowska - Bednarz Hanna	Szkoła Podstawowa nr 222 im. Jana Brzechwy	Warszawa
28.	Pszczolińska Marta	<i>Tajemnicza księga</i>	Sokalska Agnieszka	Szkoła Podstawowa nr 225 im. Józefa Gardeckiego	Warszawa
29.	Szymczak Iga	<i>Szczur</i>	Prokopowicz Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 225 im. Józefa Gardeckiego	Warszawa
30.	Walczyk Weronika	<i>Ukryte piękno</i>	Żera Bożena	Szkoła Podstawowa nr 225 im. Józefa Gardeckiego	Warszawa
31.	Zalewski Karol	<i>Pościg</i>	Leszkiewicz Małgorzata	Szkoła Podstawowa nr 279 im. Batalionów Armii Krajowej „Gustaw” i „Harnaś”	Warszawa
32.	Sawuła Ignacy	<i>Zapomnienie</i>	Pijanowska - Rzczycka Małgorzata	Szkoła Podstawowa nr 289 im. Henryka Sienkiewicza	Warszawa
33.	Płaza Małgorzata	<i>Prawdziwe szczęście</i>	Płaza Jolanta	Szkoła Podstawowa nr 340 im. profesora Bogusława Molskiego	Warszawa
34.	Cichocka Ewa	<i>Sierp</i>	Cichocka Anna	Szkoła Podstawowa nr 341	Warszawa
35.	Jaworska Julia	<i>Mysz kościelna</i>	Świdarska Weronika	Szkoła Podstawowa nr 376 im. Bohaterów Westerplatte	Warszawa
36.	Błazejak Zuzanna	<i>Kaczuska i dziewczuszka z zapawkami</i>	Przepiórka Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 386	Warszawa

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
37.	Pańczyk Gaja	<i>Elfie trojaczki</i>	Przepiórka Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 386	Warszawa
38.	Szuba Jan	<i>Warszawskie szaty cesarza</i>	Przepiórka Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 386	Warszawa
39.	Sadowska Zuzanna	<i>Jedlińskie raki</i>	Wieczorek Patrycja	Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego	Wierzchowiny
40.	Górz Agata	<i>Przepowiednia Leśnej Pani</i>	Wojdyt Iwona	Publiczna Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego	Woła Solecka Pierwsza
<i>opolskie</i>					
1.	Drewnikowski Robert	<i>Baśń o królu i jego ródźce</i>	Trejten Agnieszka	Społeczna Szkoła Podstawowa Społecznego Towarzystwa Oświatowego	Kluczbork
2.	Mandela Piotr	<i>Czyste serce</i>	Calicka Katarzyna	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2	Opole
3.	Sekita Aleksandra	<i>Ania i wilk</i>	Ploch Aneta	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 5 z Oddziałami Integracyjnymi im. Karola Musioła	Opole
4.	Tokarska Magdalena	<i>Ptaszyna z Zielonej Doliny</i>	Kowalik Małgorzata	Szkoła Podstawowa im. Orła Białego	Wierzbica Górna

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
<i>podkarpackie</i>					
1.	Paszyńska Justyna	<i>Jeżyk Jurek</i>	Wodzińska - Rostek Marta	Szkoła Podstawowa	Długie
2.	Paszyńska Weronika	<i>Gołąb Grzegorz</i>	Wodzińska - Rostek Marta	Szkoła Podstawowa	Długie
3.	Bolechała Kacper	<i>Dywanik Babci Katarzyny</i>	Rumak - Markowska Magdalena	Szkoła Podstawowa nr 11	Mielec
4.	Kusowska Gabriela	<i>Baśń o gryfie</i>	Śmist Małgorzata	Szkoła Podstawowa nr 11	Mielec
5.	Widlarz Olga	<i>Zaczarowana jemiola</i>	Kucharska - Babula Agata	Zespół Szkół Muzycznych nr 1 im. Karola Szymanowskiego	Rzeszów
6.	Świetoń Julia	<i>Czarne złoto</i>	Kolasa Katarzyna	Zespół Szkolno - Przedszkolny nr 9	Rzeszów
<i>podlaskie</i>					
1.	Dobrowolska Nina	<i>W mroźną wigilijną noc</i>	Kopiczko Anna	Zespół Szkolno - Przedszkolny nr 1	Augustów
2.	Olszewska Karolina	<i>Tabetta - królestwo żywiołów</i>	Kopiczko Anna	Zespół Szkolno - Przedszkolny nr 1	Augustów
3.	Korbut Błażej	<i>Baśń o dwóch rybakach</i>	Łaszkiewicz Jolanta	Szkoła Podstawowa nr 47 im. Jana Klemensa Branickiego	Białystok
4.	Wysocki Kacper	<i>Konrad, młody książę</i>	Rudź Krystyna	Szkoła Podstawowa	Kuźnica
5.	Szewczyk Klaudia	<i>Baśniowa podróż</i>	Lubiejewska Dorota	Zespół Szkół	Szumowo

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
<i>pomorskie</i>					
1.	Matthes Jagoda	<i>Ach, imaginacja</i>	Bukowska Renata	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Pamięci Kolejarzy Chojnickich	Chojnice
2.	Rzepnicki Jeremi	<i>Baśń o magicznych leśnych stworzeniach</i>	Chudzik Marlena	Szkoła Podstawowa nr 19 im. Zasłużonych Ludzi Morza	Gdańsk
3.	Józefczyk Aleksander	<i>Baśń o skąpym Józku i dwóch workach</i>	Englert - Rudłowska Regina	Szkoła Podstawowa im. por. Jana Penconka	Gowino
4.	Józefczyk Roland	<i>Baśń o magu Kaszubie</i>	Englert - Rudłowska Regina	Szkoła Podstawowa im. por. Jana Penconka	Gowino
5.	Kotłowski Wiktor	<i>Baśń o Stolemach</i>	Englert - Rudłowska Regina	Szkoła Podstawowa im. por. Jana Penconka	Gowino
6.	Górlaska Maja	<i>Wigierskie Łabędzie</i>	Lassota Krzysztof	Publiczna Szkoła Podstawowa im. ks. kard. Stefana Wyszyńskiego	Lubichowo
7.	Dembczyński Wojciech	<i>Księżę na Kaszubach</i>	Wcisło Joanna	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Jana Pawła II	Miastko
8.	Szarejko Amelia	<i>Calineczka</i>	Wcisło Joanna	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Jana Pawła II	Miastko
9.	Bruszkiewicz Maja	<i>Kaczętko</i>	Kaczmarek Izabela	Szkoła Podstawowa nr 4 im. Janusza Korczaka	Rumia

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
<i>śląskie</i>					
1.	Wojciechowska Patrycja	<i>Cudowna Bendolandia</i>	Kata Mariola	Szkoła Podstawowa nr 9	Będzin
2.	Czaja Wanessa	<i>Tajemnicze źródelko</i>	Nowak Iwona	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Olszyna
3.	Sikora Emilia	<i>Elf Zgredek</i>	Nowak Iwona	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Olszyna
4.	Lenart Julia	<i>Lustro miłości</i>	Bugla Agnieszka	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Ornontowice
5.	Kowalczyk Wiktor	<i>Złota myśl Zony</i>	Hyra - Górecka Aneta	Szkoła Podstawowa im. Kazimierza Wielkiego	Poraj
6.	Bendkowska Julia	<i>Świąteczne drzwi</i>	Czmok Aleksandra	Szkoła Podstawowa nr 4 im. Józefa Lompy	Radzionków
7.	Mach Olga	<i>Bohater</i>	Czmok Aleksandra	Szkoła Podstawowa nr 4 im. Józefa Lompy	Radzionków
8.	Czmok Karolina	<i>Historia kłębka włóczki</i>	Pawlica Anna	Szkoła Podstawowa nr 4 im. Józefa Lompy	Radzionków
9.	Gibałka Karen	<i>Król Karol</i>	Bednarz Aneta	Szkoła Podstawowa nr 2	Siewierz
10.	Pawińska Julia	<i>Iskierka dobra</i>	Bednarz Aneta	Szkoła Podstawowa nr 2	Siewierz
11.	Góral Michalina	<i>Posłannictwo ducha</i>	Bednarz Aneta	Szkoła Podstawowa nr 2	Siewierz

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
12.	Tolarz Filip	<i>Francik i ta jedyna</i>	Świerczek - Tront Beata	Szkoła Podstawowa nr 16 im. Adama Dzika	Wodzisław Śląski
13.	Langer Aleksandra	<i>Colineczka</i>	Boriński Ewa	Szkoła Podstawowa im. Józefa Rymera w Zespole Szkolno - Przedszkolnym	Zabełków
14.	Gołąbek Nadine	<i>Rozpunka z wieży</i>	Boriński Ewa	Szkoła Podstawowa im. Józefa Rymera w Zespole Szkolno - Przedszkolnym	Zabełków
15.	Szyszka Emilia	<i>Mądrość starszych</i>	Boriński Ewa	Szkoła Podstawowa im. Józefa Rymera w Zespole Szkolno - Przedszkolnym	Zabełków
16.	Ordon Zuzanna	<i>O węgielku, który chciał być diamentem</i>	Krotofil Anna	Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 9	Zabrze
17.	Żur Julia	<i>Przygoda Lenki</i>	Buczek Katarzyna	Zespół Szkolno - Przedszkolny nr 5	Żory
świętokrzyskie					
1.	Oczkowicz Weronika	<i>O księżniczce Izabeli</i>	Dominowska - Cicha Ewelina	Szkoła Podstawowa nr 2 im. Komisji Edukacji Narodowej	Jędrzejów
2.	Łaszek Natalia	<i>Zaczarowany strumyk</i>	Bojarska Magdalena	Publiczna Szkoła Podstawowa	Pliskowola
3.	Dąbrowski Jessica	<i>Kromka chleba</i>	Więclaw Bożena	Zespół Szkolno - Przedszkolny im. Jana Pawła II	Rytwiany
4.	Wojciechowski Karol	<i>Baśń o samolubnym chłopcu</i>	Więclaw Bożena	Zespół Szkolno - Przedszkolny im. Jana Pawła II	Rytwiany
5.	Machnik Filip	<i>Miłość pokona strach</i>	Kuzincow Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 1	Włoszczowa

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
<i>warmińsko-mazurskie</i>					
1.	Czczka Pola	<i>Pierścionek i brama zamkowa</i>	Krumin Aneta	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Biesal
2.	Drozd Kornelia	<i>Trzeba pomagać</i>	Krumin Aneta	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Biesal
3.	Sacewicz Aleksandra Karolina	<i>Rzeka Pasłęka - granica światów</i>	Krumin Aneta	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Biesal
4.	Chrostowska Zuzanna	<i>Magiczne iskry</i>	Pstrągowska Justyna	Niepubliczna Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka	Biskupiec
5.	Kaliszewski Wiktor	<i>O warmińskim ptaku</i>	Pstrągowska Justyna	Niepubliczna Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka	Biskupiec
6.	Kotwasińska Julia	<i>Dziewczynka z zapałkami</i>	Pstrągowska Justyna	Niepubliczna Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka	Biskupiec
7.	Bartnicka Patrycja	<i>Szlachetna wiedźma</i>	Kowalczyk Alina	Zespół Szkół im. Władysława Jagiełły	Kurzętnik
8.	Bilski Bartosz	<i>O tym, jak wędrowiec króla rozumu nauczył</i>	Urbańska Joanna	Szkoła Podstawowa nr 1 z Oddziałami Dwujęzycznymi i Sportowymi im. Tadeusza Kościuszki	Lidzbark
9.	Kowalczyk Lena	<i>Bajka o Będzieciechu</i>	Kolterman Alicja	Szkoła Podstawowa nr 3 im. Jana Brzechwy	Morąg
10.	Błachowicz Monika	<i>Skrzypek z rogu ulicy</i>	Rynko Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 14	Olsztyn
11.	Jasiulewicz Zuzanna	<i>Buciki z napisem</i>	Romanowska Ewa	Szkoła Podstawowa nr 14	Olsztyn

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
12.	Nowakowska Wiktoria	<i>Bajka o Amelce i starym zegarku</i>	Romanowska Ewa	Szkoła Podstawowa nr 14	Olsztyn
13.	Zielaskiewicz Natalia	<i>Czarodziejski kamień</i>	Kraszewska - Szmidt Izabela	Szkoła Podstawowa nr 33	Olsztyn
14.	Glinka Amelia	<i>Nagi Król i święta Bożego Narodzenia</i>	Michalska Kinga	Zespół Szkolno - Przedszkolny	Wikielec
wielkopolskie					
1.	Wygrzywalska Maja	<i>Dziewczynka z rogalem</i>	Zyber Małgorzata	Szkoła Podstawowa nr 4 im. M. Kopernika	Piła
2.	Bartkowiak Ewa	<i>Dobry człowiek</i>	Jechalke Wiesława	Szkoła Podstawowa nr 61 im. Komisji Edukacji Narodowej	Poznań
3.	Majewska Maja	<i>Dziewczynka z rogalikiem</i>	Jechalke Wiesława	Szkoła Podstawowa nr 61 im. Komisji Edukacji Narodowej	Poznań
4.	Wieczorkowska Oliwia	<i>Prezent od mamy</i>	Jechalke Wiesława	Szkoła Podstawowa nr 61 im. Komisji Edukacji Narodowej	Poznań
zachodniopomorskie					
1.	Głuszak Wiktoria	<i>Mały renifer Rudolf</i>	Kisiel Monika	Publiczna Szkoła Podstawowa	Bierzwnica
2.	Mądrzak Zuzanna	<i>Mała</i>	Iwon - Sikora Monika	Szkoła Podstawowa nr 1 im. Wojska Polskiego	Choszczno
3.	Ludwisiak Mateusz	<i>Trzy jeziora i tajemniczy wir</i>	Jarosz Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 1 im. Wojska Polskiego	Choszczno
4.	Stawicki Robert	<i>Dzielny Choszcz</i>	Jarosz Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 1 im. Wojska Polskiego	Choszczno

Lp.	Autor	Tytuł	Nauczyciel	Nazwa szkoły	Miejscowość
5.	Norek Natalia	<i>O dziewczynce, która wpadła do bajki</i>	Norek Agnieszka	Publiczna Szkoła Podstawowa	Dobra
6.	Jagiełło Zofia	<i>O nadziei, która może pojawić się znikąd</i>	Lewandowska - Cebo Elwira	Szkoła Podstawowa nr 2 im. Henryka Sienkiewicza	Goleniów
7.	Bąk Aleksandra	<i>Leśna opowieść</i>	Pawlik - Burak Anna	Szkoła Podstawowa im. Polskich Olimpijczyków	Nowogard
8.	Wojciechowska Lena	<i>Kraina snu</i>	Pawlik - Burak Anna	Szkoła Podstawowa im. Polskich Olimpijczyków	Nowogard
9.	Akińcza Zuzanna	<i>Nadodrzańska baszta</i>	Górczewska - Rudnicka Joanna	Szkoła Podstawowa im. Bronisława Malinowskiego	Osina
10.	Kurek Aleksandra	<i>Dar morza</i>	Górczewska - Rudnicka Joanna	Szkoła Podstawowa im. Bronisława Malinowskiego	Osina
11.	Stępień Kacper	<i>Moje miasto</i>	Krześlak Przemysław	Szkoła Podstawowa nr 46	Szczecin
12.	Butoka Hanna	<i>Marzenie małego niedźwiadka</i>	Rybak Katarzyna	Szkoła Podstawowa nr 5 im. Jana III Sobieskiego	Szczecinek